

KURIER galicyjski

niezależne pismo Polaków na Ukrainie



17-28 listopada
2009
nr 21 (97)

DWUTYGODNIK

A MURY RUNĄ...

MARCIN ROMER

9 listopada 2009 roku Europa obchodziła święto. Dwadzieścia lat temu padł mur berliński, jaki przez ponad 28 lat był symbolem podziału Europy i Świata.

w Berlinie...

Do Berlina zjechały delegacje rządowe i głowy państw. Przybyły tłumy turystów. Kanclerz Angela Merkel w towarzystwie Lecha Wałęsy i Michaiła Gorbaczowa przeszła przez most przy Borholmer Strasse, który był 20 lat temu najbardziej wysuniętym na północ przejściem granicznym Berlina i pierwszym, które pod naciskiem tłumów ze Wschodnich Niemiec, zostało otwarte. Potem były polski prezydent i laureat



Szef Komisji Europejskiej Jose Manuel Barroso i przewodniczący Parlamentu Europejskiego Jerzy Buzek przewracają kostki domina



Do Berlina zjechały delegacje rządowe i głowy państw

Nobla – Lech Wałęsa pchnął pierwszą z tysiąca kostek styropianowego domina, ustawionego w centrum Berlina jako symbol upadającego muru.

Szefowa niemieckiego rządu podkreśliła również rolę „Solidarności”, która wielu obywatelom NRD „w niewiarygodny sposób dodała odwagi”. Angela Merkel przypomniała, iż to właśnie „Solidarność” i zachodzące wówczas zmiany w Polsce przyczyniły się do silnego osłabienia komunistycznej władzy. „Dzisiaj wyrasta nowe pokolenie ludzi, którzy są otwarcy na świat.

Dla takiego celu oplotać się walczyć” – powiedziała Merkel.

Cuda Świata

Wielki Mur Chiński ma długość 2400 kilometrów i jest największą budowlą, wzniesioną kiedykolwiek przez człowieka. Za panowania Pierwszego Cesarza w pracach budowlanych brało udział około 300 tysięcy żołnierzy i 500 tysięcy chłopów. W późniejszym okresie w pracach uczestniczyło 1,8 miliona przymusowych robotników, głównie więźniów i chłopów, z których



Lech Wałęsa

tysiące zmarło w czasie pracy. Wielki Mur Chiński ma wysokość 5-10 metrów i szerokość 5-8 metrów. Co 100-200 metrów wznoszono wieżę obserwacyjną. Na całej długości muru jest ich około 20 tysięcy. Wielki Mur Chiński stanowi największą atrakcję turystyczną Chin.

Jego dokładny opis można znaleźć w Internecie, wpisując hasło: cuda świata.

nie przyjechali...

W historii ludzkości powstało wiele murów, jakie wznoszącym je wydawały się panaceum na trapiące ich problemy. Wciąż powstają nowe. Nie zawsze do ich wzniesienia potrzebne są materiały budowlane. Dziesiątki tysięcy robotników zastąpiła armia urzędników, prawników, polityków.

Na berlińskich obchodach daremnie by szukać młodych turystów ze Wschodu.

Mury

On natchniony i młody był,
ich nie policzyłby nikt
On im dodawał pieśnią sił,
śpiewał że blisko już świt.
Świec tysiące palili mu,
znad głów podnosił się dym,
Śpiewał, że czas
by runął mur...

Oni śpiewali wraz z nim:
Wyrwij murom zęby krat!
Zerwij kajdany, połam bat!
A mury runą, runą, runą
I pogrzebią stary świat!
Wkrótce na pamięć znali pieśń
i sama melodia bez słów
Niosła ze sobą starą treść,
dreszcze na wskroś serc
i głów.

Śpiewali więc, klaskali
w rytm, jak wystrzał
poklask ich brzmiał,
I ciężły łańcuch, zwlekał świt...
On wciąż śpiewał i grał:
Wyrwij murom zęby krat!
Zerwij kajdany, połam bat!
A mury runą, runą, runą
I pogrzebią stary świat!
Aż zobaczyli ilu ich,
poculi się i czas,
I z pieśnią, że już blisko świt
szli ulicami miast;
Zwalali pomniki i rwali bruk –
Ten z nami! Ten przeciw nam!
Kto sam ten nasz
najgorszy wróg!

A śpiewak także był sam.
Patrzył na równy
tłumów marsz,
Milczał wsluchany
w kroków huk,
A mury rosły, rosły, rosły
Łańcuch kołysał się u nóg...
Patrzy na równy
tłumów marsz,
Milczy wsluchany
w kroków huk,
A mury rosną, rosną, rosną
Łańcuch kołysze się u nóg...

Jacek Kaczmarski
1978

Brat
Symona Petlury
– oficerem
Wojska
Polskiego
DR STANISŁAW STĘPIEŃ
- s. 12



Pasje określają
życie
BARBARA STASIAK
- s. 20



Kresy jutra
- s. 24



„Tri tankista”
SZYMON KAZIMIERSKI
- s. 18



Rozmowa
z Ihorem
Cependą
MARCIN ROMER
- s. 16

NASI PARTNERZY MEDIALNI

GŁOS

pogranicze.eu

DZIENNIK POLSKI

WÓW
RADIO

BEKA
www.vezha.org

RADIO
OPOLE
twoje sprawy, twoja muzyka

Kupując nasze pismo, wspomagasz słowo polskie na Wschodzie

ISSN 1996-2304



91 lat temu na ulicach Lwowa toczyły się walki

MARCIN ROMER

Czy wojna polsko-ukraińska w latach 1918-1919 była potrzebna? Komu dała korzyści? Pytania z gatunku „political fiction”. Jednak coraz częściej, są one stawiane przez dziennikarzy i historyków – także ukraińskich.

W jednej ze swoich wypowiedzi profesor Uniwersytetu Lwowskiego Jarosław Hrycak postawił tezę, że gdyby ukraińskie i polskie elity zdołały się wówczas porozumieć, być może bolszewicy nigdy by nie zajęli Kijowa, a historia Europy potoczyła się zupełnie inaczej.

Ostatnio obwodowa gazeta „Halycyna”, wychodząca w Iwano-Frankowsku (d. Stanisławowie) opublikowała artykuł Petra Parypy (red. naczelny) i Jarosława Olenczuka: „Zmarnowane szanse ZURL”. Przywołuje się tu sprawę odrzucenia przez władze Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej propozycji Ententy zawarcia pokoju z Polską (lub chociażby zawieszenia broni) w zamian za pomoc i uznanie państwowości ZURL przez mocarstwa zachodnie. Lwów pozostawał po polskiej stronie.

Linia, zawieszenia broni miała przebiegać wzdłuż Bugu do Kamionki Strumiłowej, następnie granicą powiatów do Bóbrki, wzdłuż linii kolejowej Bóbrka-Wybranka, w kierunku zachodnim do Mikołajowa (zostawiając Mikołajów po stronie ukraińskiej), następnie wzdłuż linii kolejowej Lwów-Stryj do granicy Galicji w Karpatach Wschodnich. Boryslawskie Zagłębie Naftowe miało pozostać po polskiej stronie linii demarkacyjnej (pod zarządem komisji międzynarodowej), przy czym 50% wydobycia ropy miało być przekazywane stronie ukraińskiej. Miała to być linia tymczasowa, do czasu rozstrzygnięcia sprawy przez komisję pokojową.

Przyjęcie tej linii, zwanej linią Barhelemy (od nazwiska francuskiego generała Josepha Barthelemy, który był autorem tej propozycji) dawała szanse na uznanie ukraińskiej państwowości na arenie międzynarodowej.

Strona polska skłaniała się do przyjęcia tego rozwiązania, jednak delegacja ukraińska upierała się przy „linii Sanu”. Rozsądziły nas „krew i żelazo”. Po dwudziestu latach na tereny te wkroczyła Armia Czerwona.

Charytatywny koncert „Solidarni z Ukrainą” w TVP1

W niedzielę, 15 listopada Caritas Polska wraz z Telewizją, w odpowiedzi na apel Ukrainy o międzynarodową pomoc w walce z epidemią grypy – zorganizowały charytatywny koncert „Solidarni z Ukrainą”. Honorowy patronat nad koncertem objął Prezydent RP Lech Kaczyński. W koncercie wystąpili: Patrycja Markowska, Marysia Sadowska, Olga Bończyk, Andrzej Krzywy, Dorota Miśkiewicz, Łukasz

Zagrobelny, Golden Life, Paweł Kurkiz, Marek Piekarczyk i gość specjalny ukraiński zespół Berkut.

Koncert poprowadzili prezenterzy Jedyinki: Iwona Schymalla i Artur Orzech.

Podczas koncertu uruchomiona była linia sms-owa, aby każdy z widzów mógł włączyć się do akcji zbierania pieniędzy na rzecz potrzebujących pomocy mieszkańców Ukrainy.

www.tvp.pl

POSZUKUJEMY PRACOWNIKÓW

Agencja pracy poszukuje pracowników w zawodach: fizjoterapeuta, psycholog, pielęgniarka, lekarz, celem pracy po przeszkoleniu w UE. Po wypełnieniu ankiety, zgłoszenie przesłane pocztą elektroniczną.



Informacje na stronie: www.bcj-konsalting.eu

Nie pijcie lwowskiego piwa!

MARCIN ROMER

Kilka tygodni temu w telewizji ukraińskiej pojawiła się reklama lwowskiego piwa, wykorzystująca jako materiał reklamowy... rzeź w Humaniu.

„Ukraińscy piwowarzy dziarsko reklamowali swoją produkcję w nader oryginalny sposób. Opowiadali, jak sławny Maksym Żeleźniak, napivszy się, trzeba rozumieć, lwowskiego piwa i sławno pohulawszy ze swoimi chłopcami w Humaniu, powiesił na kościelnej wieży „Lacha, Żyda i psa – bo ich wiara jednakowa” (Lach, Żyd i sobaka – wira odnaka). Czy ta reklama miała zdopingować widzów tylko do picia piwa, czy również do wieszania na kościelnych wieżach Żydów i Lachów – pozosta-

ło niezrozumiałym” – opisuje Mykoła Riabczuk, ukraiński krytyk literacki, eseista i publicysta, poeta.

„Na żadnym z cywilizowanych kanałów Europy nie można tak po prostu zobaczyć i wybaczyć prezentacji już nawet nie wiem czego – czy to jaskiniowej ksenofobii, czy dzikiej obojętności wobec uczuć innych” – komentuje na swoim blogu z kolei Taras Woźniak, politolog, redaktor naczelny lwowskiego kulturologicznego czasopisma „Ji”.

Swój felieton w „Gazecie po ukraińsku” Riabczuk podsumowuje słowami: „To, że w XXI wieku w kraju, który uważa się za europejski, producenci i twórcy reklamy piwa uważają za możliwe posługiwanie się takimi „argumentami”, a społeczeństwo pokor-

nie to wszystko ogląda i nie protestuje – dużo wyjaśnia. Przede wszystkim – że ten kraj nie jest europejski i że do XXI wieku od epoki Żeleźniaka mu bardzo daleko”.

Głos w tej sprawie zajęli również Ostap Slywyński i Andrij Lubka, a Jurij Wynnyczuk poświęcił mu część swojego stałego felietonu „Lwowskie Obserwacje” pod wymownym tytułem „Świństwo”.

Ta reakcja wzbudza optymizm. Nie doczekaliśmy się tylko reakcji ze strony zamawiających i sponsorów tego jaskiniowego spotu reklamowego. Proponujemy: póki nie zdobędą się na słowo przepraszam – NIE PIJ CIE LWOWSKIEGO PIWA!

POLACY (NA LITWIE) TRZYMAJĄ SIĘ MOCNO!

Leonard Talmont z Akcji Wyborczej Polaków na Litwie wygrał wybory uzupełniające do litewskiego parlamentu! Wyniki potwierdziły dominację partii Polaków w okręgu Wilno-Soleczniki. Wstępne informacje wskazują, że Polak uzyskał 80 proc. głosów, więc jego zwycięstwo jest w zasadzie pewne.

„Wynik tych wyborów potwierdza, że na Wileńszczyźnie zachowujemy



niezmiennie bardzo dobrą pozycję, że mamy tu duże poparcie” – powiedział Waldemar Tomaszewski przewodniczący AWPL. To właśnie odejście Waldemara Tomaszewskiego do Parlamentu Europejskiego spowodowało konieczność przeprowadzenia wyborów uzupełniających.

(kresy24.pl)

Święto Polaków Żytomierszczyzny

Z inicjatywy prezesa Żytomierskiego Obwodowego Związku Polaków na Ukrainie Wiktorii Laskowskiej -Szczur 20 listopada br. w ramach „Dni Kultury Polskiej w Żytomierzu” oraz XV Międzynarodowego Festiwalu Kultury Polskiej „Tęcza Polesia” zostanie otwarta wystawa gobelinów Katarzyny Bali.

Były one pokazywane wcześniej w wielu miejscach na świecie. Niektóre prace tej artystki zdobią też Zamek Królewski w Warszawie. Do Żytomierza prace trafiły nie przypadkowo. Katarzyna Bali jest bowiem wnuczka siostry ks. Stanisława Szczypty, bohaterki kapłana, który przez wiele lat był

proboszczem parafii katedralnej w Żytomierzu i jednym z nielicznych kapłanów, pracujących na Żytomierszczyźnie. Położył on ogromne zasługi dla przetrwania na tym terenie Kościoła rzymskokatolickiego i polskości.

(Kresy.pl)

Odpowiedź Konsula Generalnego RP we Lwowie na list pana Stanisława Maldzińskiego zamieszczony w poprzednim numerze KG

W odpowiedzi na Pańskie pytania, zamieszczone w poprzednim numerze „Kuriera Galicyjskiego” uprzejmie informuje:

1. KG RP we Lwowie niejednokrotnie wyrażał swoje ubolewanie w związku z zaistnieniem, jak Pan pisze, „konfliktu między prezesem TKPZL a Fundacją Pomoc Polakom na Wschodzie”. Dokładamy wszelkich starań, by doprowadzić do rozwiązania tej trudnej sytuacji. Podkreślam, że obowiązek rozliczania się z przyznanych dotacji dotyczy wszystkich organizacji i towarzystw polskich i jest sprawą kluczową dla dalszej dobrej współpracy tych środowisk z partnerami w Polsce.

2. Sprawa przekazywania polskiej prasy środowisku Polaków we

Lwowie, nie tylko TKPZL, była niejednokrotnie przedmiotem rozmów z przedstawicielami tychże środowisk. Rozmowy na ten temat prowadził również Pan osobiście. Zasadniczą przeszkodą w pomyślnym sfinalizowaniu tego przedsięwzięcia była nikła chęć partycypowania przez przedstawicieli środowisk polskich, w dystrybucji tej prasy już we Lwowie. Brak konstruktywnych propozycji odnośnie kwestii zorganizowania efektywnie działającego systemu dystrybucji we Lwowie nie może stanowić przesłanki do zarzucania placówce bierności w tej sprawie.

3. Z przykrością stwierdzam, że nie odpowiada prawdzie sugestia jakoby Konsulat nie informował środowisk polskich o organizowanych bądź współorganizowanych wydarzeniach kulturalnych, „przeprowadzanych im-

prezach lub wycieczkach”. Każdorazowo pełna informacja na dany temat trafia do zainteresowanych z odpowiednim wyprzedzeniem, jednakże w szeregu przypadków nie spotyka się z odzewem i chęcią wzięcia w nich udziału. Przykład niech stanowią niedawne imprezy kulturalne (lwowska premiera filmu „Świadek”) oraz sportowe (reaktywacja LKS Pogoń Lwów i jej pierwszy od 1939 r. oficjalny mecz), na których frekwencja nie odpowiadała potencjałowi środowiska polskiego, mimo dystrybucji biletów i informacji uprzednio podawanych w mediach oraz w kościołach.

**Z poważaniem
Konsul Generalny RP
we Lwowie
Grzegorz Opaliński**

Z RZESZOWA DO HALICZA I BOŁSZOWCÓW – DZIEJE JEDNEGO TRANSPORTU LEKÓW PRZECIWGRYPOWYCH NA UKRAINĘ

HALINA PŁUGATOR
tekst i zdjęcia

W dniach, gdy Ukraina walczy z epidemią grypy, świat nie pozostał obojętny wobec tego nieszczęścia. Pomoc charytatywna nadchodzi z różnych krajów Europy i Ameryki. Pomoc z Polski była największa i przyszła najszybciej. Jak zawsze. Prawie w każdym, nawet najmniejszym mieście, gminach, powiatach, w kościołach i diecezjach zbierano pieniądze, kupowano preparaty antywirusowe i przekazywano je na Ukrainę. Swoje oszczędności przekazywały poszczególne osoby prywatne. Korespondent „Kuriera Galicyjskiego” towarzyszyła przekazaniu pomocy charytatywnej z Rzeszowa do Halicza i Bołszowców na Ukrainie.

Pomoc zebrano w ciągu zaledwie paru dni. Transport zorganizowały: Wiesława Holik, znana polska działaczka społeczna, która od lat wspomaga odbudowę sanktuarium w Bołszowcach (powiat Halicz) oraz Małgorzata Bożek – dziennikarka TVP Rzeszów – na prośbę, a w zasadzie alarmistyczne wezwanie ojca Grzegorza Cymbała – franciszkanina, kustosa bołszowieckiego sanktuarium i kierującego Młodzieżowego Centrum Polsko-Ukraińskiego Pojednania tamże. Najwięk-



Małgorzata Bożek, Hryhorij Iwanyszyn, o. Grzegorz Cymbała

rodzinna Eskulap w Rzeszowie, Wojewódzki Szpital im. Zofii z Zamojskich Tarnowskiej z Tarnobrzegu, Uniwersytet III wieku w Gliwicach a także studenci Wydz. Architektury Politechniki Śląskiej w Gliwicach oraz Instytutu Archeologii Uniwersytetu Wrocławskiego, jacy już wielokrotnie udzielali bezpłatnej, fachowej pomocy przy odbudowie sanktuarium w Bołszowcach. Datki przekazali również: pani Zofia Żółkiewicz z Katowic oraz archeolog dr Mirosław Furmanek, który datki na zakup leków dla chorych na Ukrainie zbierał... na własnym weselu.

Zgromadziwszy potrzebne leki, wolontariusze z Polski wyruszyli na Ukrainę. Nie zniechęcili ich długotrwałe formalności celne, wiele godzin oczekiwania na granicy. Kierowcy oraz wszyscy wolontariusze byli zmęczeni i zdenerwowani. „Niestety, to się często

utworzyła się długa kolejka. Chociaż w ostatnich dniach na grypę zapada mniej osób, zapotrzebowanie na leki w małych aptekach jest takie samo, należy zaznaczyć, że wcale nie potaniały. Nie wszystkich na nie stać. Trzęsącymi się rękoma, ze łzami w oczach ludzie odbierali dary i spieszyli do domu, do chorych krewnych. W następnym dniu leki przeciwwięziębiennowe otrzymali też mieszkańcy Jezupola i Halicza, a nawet odległych Łanowic.

W centrum powiatowym na przedstawicieli Rzeszowa czekał lekarz naczelny szpitala w Haliczu, chirurg Miron Matejko. „Nie oczekiwaliśmy takiego wybuchu epidemii, więc nie zgromadziliśmy odpowiedniego zapasu leków, - mówi pan Miron. - Mogę natomiast



Przy wydawaniu leków w Bołszowcach

zapewnić opiekę i pomoc medyczną, w szpitalach dostawiono dodatkowe łóżka. Niestety, z powodu zapalenia płuc zmarła jedna kobieta”.

Pan Matejko z goryczą mówił o długich kolejkach na granicy. Współpracuje on z przedstawicielami Holandii, Niemiec, Kanady. Wszyscy oni są gotowi do tego, by przywieźć preparaty, ale wymagane są odpowiednie certyfikaty. Niestety, przeszkody biurokratyczne istnieją nawet wówczas, gdy ludzie balansują na krawędzi życia i śmierci. To nie przeszkadza politykom ukraińskim wypinać pierś do przodu i deklarować swą miłość do narodu.

i wszystkich mieszkańców dziękował tym, którzy pomogli chorym. „Szczególne podziękowania kierujemy pod adresem Małgorzaty Bożek i Wiesławy Holik, wieloletniej przyjaciółki tej krainy, która nie zważając na chorobę oraz skomplikowaną sytuację gospodarczą przez cały czas wspiera powiat”.

„Jestem członkiem specjalnie powołanej komisji i obiecuję, że wszystko, co zostało przywiezione, przekazamy mieszkańcom powiatu, - powiedział pan Iwanyszyn. - Preparaty medyczne zostaną rozdzielone między trzema szpitalami. Na każdym opakowaniu będzie pieczęćka „Nie dla sprzedaży”, aby, nie daj Boże, ktoś nieuczciwy nie zarobił na ludzkim nieszczęściu i nie sprzedał cokolwiek z pomocy charytatywnej.

Spotkanie z władzami, lekarzami, mieszkańcami Halicza i powiatu trwało do późnej nocy. Wszyscy dziękowali za pomoc, która tak jak podczas ubiegłorocznej powodzi, była bardzo potrzebna. Serdeczne rozmowy sprawiły, że przeszkody biurokratyczne zdawały się już nie takie straszne, jednak sytuacja daje wiele do myślenia.

Bolszowce – Halicz – Stanisławów

Informacja KG:

Pomoc charytatywną miastom Ukrainy przekazały dziesiątki miast polskich – była ona kierowana najczęściej do miast partnerskich. Z Lublina do Łucka i Stanisławowa przekazano leki, środki czystości, rękawiczki jednorazowe oraz maseczki ochronne. Łódź pomagała Równemu, Wrocław – Lwowowi, Opole – Stanisławowowi. Nie sposób wszystkich wymienić. Pomoc charytatywna została przekazana także na tereny Ukrainy środkowej i południowej. Miasta powiatowe, wsie, a nawet poszczególni lekarze i rodziny otrzymały pomoc instytucji, organizacji, szkół, parafii w Polsce.

BÓG ZAPŁAĆ!



szej, jeśli wyrazić to w cyfrach, pomocy udzieliła rzeszowska „Polfa”. Wartość przekazanych leków to 350 tys. złotych (prawie milion hrywien). By tak się stało pracownicy rzeszowskiej firmy farmaceutycznej dobrowolnie zrezygnowali z premii. Pani Wiesława Holik opowiadała, że pomoc była zbierana w całej Polsce. Do akcji włączył się Caritas diecezji rzeszowskiej, Urząd Miasta Sopotu, apteka

zdarza, - mówiła Małgorzata Bożek, dziennikarka TV Rzeszów i jedna z organizatorek transportu – Czasem ręce opadają, gdy się po raz setny widzi coś takiego na granicy. Natomiast, gdy się pomyśli, że na ten ładunek czekają chore dzieci, ciężarne kobiety, osoby starsze – zmęczenie ulatuje”.

W Bołszowcach leki rozdzielano za pośrednictwem lekarzy. W korytarzach klasztoru franciszkanów



powiedzieć, że przygotowaliśmy się do zwykłej grypy sezonowej, zapalenia płuc oraz infekcji wirusowych. Skala choroby zaskoczyła nawet nas, lekarzy. Robimy wszystko, co w naszej mocy. W połowie listopada w powiecie Halicz na grypę chorowało 2700 osób, w szpitalach przebywało 327. Żeby

Dobrze, że władze lokalne rozumieją, jak bardzo ważna i potrzebna jest pomoc charytatywna. Do załatwienia formalności celnych przy odprawieniu ładunku z Rzeszowa bardzo przyczynił się pan Hryhorij Iwanyszyn, przewodniczący administracji powiatu Halicz. W imieniu władz powiatu

„Znakiem naszej wolności jest krzyż”



- Krzyż jest znakiem wolności i znakiem prawdy. Usuwając go, rezygnujemy z wolności – powiedział biskup połowy Wojska Polskiego gen. dyw. Tadeusz Płoski podczas mszy św. w intencji Ojczyzny. Odprawiono ją w warszawskiej bazylice św. Krzyża z okazji 91. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości.

- Polska niepodległość miała wielu ojców, a jednym z nich jest Józef Piłsudski, powszechnie uznawany za najważniejszą postać polskiego roku 1918 – mówił kapelan.

Biskup podkreślił, że Piłsudski w szczególnym dziejowym momencie pokazał swą wielkość – zdołał uspokoić nastroje społeczne, scalił rządy, powołać Sejm i armię, która obroniła granice. – Niepodległą Polskę – mówił – budowali eksperci najrozmaitszych specjalności. Polacy wykształceni w różnych krajach, znani i cieni w Europie. To była prawdziwa elita II RP. Dlatego odbudowa państwa i zjednoczenie ziem polskich – przedsięwzięcie arcytrudne – przebiegało bardzo szybko.

Hierarcha podkreślił, że mało kto zdaje sobie sprawę z wielkiej roli Kościoła katolickiego „w krzewieniu patriotyzmu, w mobilizowaniu narodu – szczególnie chłopstwa – dla dobra Ojczyzny”. – Bez wątpienia we wszystkich zaborach księża wykonali bezcenną pracę na rzecz niepodległości Rzeczypospolitej – przypomniał bp Płoski.

Zdaniem biskupa, gdy dziś patrzymy na Polskę tamtego okresu, na 20-lecie międzywojenne, zauważamy, że nastąpiło wtedy wspaniałe odrodzenie naszej Ojczyzny. – Po 123 latach wielkiego zniewolenia i wykorzeniania naszej kultury, Polska zaczęła się gwałtownie rozwijać. Okazało się, że mieliśmy wspaniałych ludzi, którym to zawdzięczamy. Wszyscy wykazywali się nie tylko talentem i pracowitością, ale nade wszystko świadomością narodową i umiłowaniem Ojczyzny – mówił bp Płoski.

- Sięgamy dzisiaj pamięcią w przeszłość, wspominamy naszych przodków, którzy szli długą i jakże trudną drogą do tamtego pamiętnego 11 listopada – powiedział bp Płoski.

Nawiązując do wyroku Europejskiego Trybunału Praw Człowieka

w Strasburgu, w sprawie usunięcia krzyży we włoskich szkołach, bp Płoski podkreślił, że krzyż jest znakiem wolności. – Usuwając go rezygnujemy z wolności, a wola decydentów staje się ważniejsza od godności – powiedział. Dodał, że nie ma wolności bez prawdy, krzyż jest znakiem wolności, krzyż jest znakiem prawdy.

Zdaniem hierarchy, dla kultury europejskiej, z której wyrastamy, „krzyż i Chrystus zawsze był źródłem mocy i mądrości”. – Jeśli odrzucimy krzyż, to na jakich wartościach będziemy budować Europę? – pytał biskup połowy.

Zaznaczył jednocześnie, że Europa wyrosła z chrześcijańskich korzeni, chrześcijaństwo w jej dziejach zawsze odgrywało ważną rolę i kształtowało oblicze naszego kontynentu. – Piękne znaki chrześcijańskie ma cała kultura europejska – a walka z nimi to prawie barbarzyństwo – podkreślił bp Płoski.

Duchowny dodał, że znak krzyża stoi na chrześcijańskim grobie, wisi w sali szpitalnej, gdzie jednoczy cierpienia ludzi z cierpieniem Zbawiciela, stoi na rozstajach dróg i wreszcie wisi w sali szkolnej, gdzie staje się niejako stróżem prawdy, która ma kształtować dzieci i młodzież. – Nigdy nie możemy się wyrzec wiary i miłości do krzyża. To jest nasz obowiązek, aby go bronić. Szkoda, że ci, którzy mają inne poglądy, nie są w stanie tego uszanować i walczą z krzyżem przed trybunałami. Tak jak katolicy mają obowiązek szanowania ludzi o innych przekonaniach religijnych, tak też inni powinni szanować nasze przekonania – podkreślił biskup połowy. Homilia została przyjęta ogromnymi brawami.

We Mszy św. uczestniczyli m.in.: prezydent Lech Kaczyński, minister obrony narodowej Bogdan Klich, parlamentarzyści, przedstawiciel władz samorządowych, dowódcy wszystkich rodzajów sił zbrojnych, policja, weterani, harcerze oraz licznie zgromadzeni mieszkańcy stolicy. Mszą świętą rozpoczęły się obchody 91. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości.

PAP
zdjęcia: www.prezydent.pl

Prezydent RP Lech Kaczyński: musimy zbudować nowy patriotyzm

Na Placu Piłsudskiego w Warszawie odbyły się centralne obchody 91. rocznicy odzyskania niepodległości. Ich punktem kulminacyjnym była uroczysta odprawa wart przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Prezydent Lech Kaczyński zachęcał w swoim przemówieniu Polaków do tworzenia nowego patriotyzmu.

Prezydent Lech Kaczyński: „Nie uda się pozbawić nas niepodległości. Wiele tysięcy naszych rodaków padło w tej drodze w czasie walki, wiele tysięcy znalazło się w więzieniach, na Syberii i w innych miejscach zesłania, wiele tysięcy zostało zmuszonych do emigracji”.

- Polska otrzymała niepodległość nie tylko w wyniku tego, że pierwsza wojna światowa zakończyła się klęską wszystkich trzech zaborów. Polska odzyskała niepodległość dlatego, że podjęła o nią walkę, że zbudowała wszystko co jest potrzebne do tego, żeby państwo stworzyć, obronić je, i wywalczyć jego granice – podkreślił Lech Kaczyński.

Prezydent przypomniał, że naród polski nigdy nie zrezygnował z niepodległości. – Nie uda się pozbawić niepodległości dużego narodu, jakim jesteśmy – powiedział prezydent. Kaczyński apelował, że trzeba budować nowy patriotyzm, który będzie patrzył w przyszłość, ale pozostanie zakorzeniony w pamięci.

Polski prezydent powiedział, że Europa stoi przed eksperymentem, jakim jest wprowadzenie w życie Traktatu Lizbońskiego. Dodał, że Polsce odpowiada interpretacja traktatu, zakładająca, iż Unia Europejska jest związkiem niepodległych państw. – Nikt w Polsce nie zgodzi się, by w szkołach nie wieszac krzyży – podkreślił Lech Kaczyński.

Później głos zabrała prezydent Litwy Dalia Grybauskaitė, która złożyła Pola-



kom gratulacje z okazji Narodowego Święta Niepodległości. Prezydent oddała hołd tym, którzy polegali za wolność.

- Skłaniam głowę, przed bohaterami i patriotami, którzy ofiarowali swoje życie za niepodległość Polski. To dzięki nim, jak co roku, zgromadziliśmy się tutaj, aby świętować i cieszyć się z tego, co najdroższe – z naszej wolności – podkreśliła pani prezydent.

- 11 listopada 1918 roku to dzień szczególny w dziejach Polski. Był to punkt odniesienia w budowie nowoczesnego, demokratycznego państwa polskiego - powiedziała Grybauskaitė.

Dalia Grybauskaitė przypomniała, że Litwa i Polska były razem w najważniejszych momentach historii. Oba kraje musiały też walczyć o wolność. Ukoronowaniem tej wspólnej drogi jest obecne strategiczne partnerstwo obu krajów.

Prezydent Litwy podkreśliła, że historyczne osiągnięcia obu państw opierają się na solidarności i zaufaniu. – Niech żyje nasza wolność i niepodległość – powiedziała Dalia Grybauskaitė.

Po uroczystej odprawie wart, połączonej z Apelem Pamięci, wieńce na płycie grobu złożyli przedstawiciele najwyższych władz państwowych i samorządowych, reprezentanci kombatanów i korpusu dyplomatycznego.

Częścią uroczystości było też symboliczne powitanie marszałka Józefa Piłsudskiego przy pomniku wielkiego Polaka i przemarsz grup rekonstrukcyjnych Krakowskim Przedmieściem oraz Nowym Światem. Defilada zakończy się na dziedzińcu Muzeum Wojska Polskiego.

Zgodnie z tradycją, prezydent Lech Kaczyński w dniu Święta Niepodległości wręczył odznaczenia państwowe i generalskie awanse na wyższy stopień oficerski.

W uroczystości udział wzięli również premier Donald Tusk oraz przedstawiciele rządu, w tym szefowie MSZ – Radosław Sikorski i MON – Bogdan Klich oraz reprezentanci parlamentu, generalicja, duchowieństwo, weterani, grupy rekonstrukcji historycznych oraz harcerze.

wiadomości. wp.pl
zdjęcia: www.prezydent.pl

Biało-czerwona

(hymn do Polski)

O, Niepodległa!
Biało-czerwona!
Jak jestem Tobą zauroczona!
Siedziba Lecha, orlich gniazd knieje,
Zwycięskie, jakże szlachetne dzieje.
Srebrzystych orłów Twych dumne czoła,
Chorągwi barwnych orszaków koła.
Triumfalnych dziejów chwalebne dzwony,
Przez tysiąclecia,
aż po Legiony
Dwudziestolecia dni pełne chwały
I wolnej Polski tryumf wspaniały.
W lata niedoli i krwi męczeńskiej
Powstań, obrony i walk męczeńskich
Tyś odrodziła wolne ramiona
Boś, Ty, jak zawsze – niezwykczona.
Tyś nasza duma!
Miłość dożgonna!
O Niepodległa!
Biało-czerwona

Biało-czerwona!
Biało-czerwona!
Jak jestem Tobą zauroczona!
W sercu Ty śpiewasz nutę radości,
W sercu zapalasz ogień miłości.
Orzeł w koronie wzłata nad Tobą,
Król wolnych ptaków
Twoją ozdobą.
Gdy Twoje surmy do boju grały,
Rycerskie hufce wnet zagrzewały.
Z „Bogurodzicą” do boju suną,
Słońce oślepia wolności tuną.
Podniebnych srebrnych lotów sokolich,
Strzeleckich drużyn, co z roli, z soli
Walczących za to, co Naród boli,
Bo Ciebie, Polsko,
Nic nie zniewoli.

Biało-czerwona!
Biało-czerwona!
Jakżeś wysoko w Niebo wzniesiona,
Z orłem na tarczy!

Na całym świecie
Tak pięknej flagi
wszak nie znajdziecie.
Jedyna w świecie
w tak pięknej szacie.
Gdzie jeszcze taką
Ojczyznę macie?
Tak nieskalaną,
a tak skrwawioną
I taką wzniosłe uduchowioną.
Z Niej to się iskra Boża
zrodziła,
Nową nadzieję światu odkryła,
Z Niej Boży Płomień rozgrzał
świat cały
Jan Paweł II,
nasz Pielgrzym Biały.
Ją chroni stale
i wciąż od nowa,
Pani Łaskawa, Maria Królowa!
I w Ostrej Bramie,
i w Częstochowie,
I w tylu miejscach,
I tu, we Lwowie.

O, Niepodległa!
Biało-czerwona!
Bądź pozdrowiona!
Bądź pozdrowiona!

STANISŁAWA NOWOSAD

Obchody 91. rocznicy Niepodległości Polski we Lwowie

Uroczystości na Cmentarzu Łyczakowskim

MARIA BASZA
tekst i zdjęcie

11 listopada przedstawiciele społeczności polskiej we Lwowie, na czele z Konsulem Generalnym RP Grzegorzem Opalińskim i posłem na Sejm RP Janem Burym oddali cześć poległym w walkach o wolność i niepodległość Polski. Na mogiłach powstańców – uczestników Powstania Styczniowego, Listopadowego oraz przy Grobie Nieznanego Żołnierza na Cmentarzu Orłąt zostały złożone kwiaty, zapalone znicze. Wspólnej modlitwie przewodniczył proboszcz Archikatedry Lwowskiej ks. Jan Nikiel.

Przy Grobie Nieznanego Żołnierza na Cmentarzu Orłąt Lwowskich **Konsul Generalny RP we Lwowie Grzegorz Opaliński** powiedział: „Historia Polski jest historią na wielu kartach – tragiczną. Tragiczną, ponieważ ze względu na swoje położenie geograficzne miała nie zawsze przyjaznych sąsiadów. Naród polski wielokrotnie musiał udowodnić, że zasługuje na miejsce na mapie Europy”.

Pan Konsul przypomniał o walkach o niepodległość, które musiała toczyć Rzeczpospolita. „Kartą tragiczną w naszej historii były rozbiory, które jednocześnie udowodniły, że naród polski, który chwilowo nie posiada swego państwa jest zdolny do



wysiłków, które do tej pory nie miały precedensu w historii” – podkreślił dyplomata. „Byliśmy dzisiaj na mogiłach powstańców Styczniowych, Listopadowych, jesteśmy na Cmentarzu Orłąt Lwowskich. Są to pokolenia Polaków, które oddały swoje życie w bohaterskiej walce za to, aby nasza Ojczyzna odzyskała niepodległość” – powiedział Konsul Generalny RP.

„11 listopada 1918 roku Polska powróciła na mapę Europy i świata. 11 listopada – był to dzień, kiedy odzyskaliśmy po 123. latach niepodległość naszego kraju. Uzyskaliśmy wówczas krótki czas pokoju - dwudziestole-

cie międzywojenne. Dwadzieścia lat pokojowej egzystencji, pokojowego rozwoju naszego państwa. W ciągu tych dwudziestu lat nie udało się doprowadzić do tego, aby zyskać przychylność sąsiadów, aby zagwarantować pokojową koegzystencję narodów w Europie. Ale to dwudziestolecie dla Polaków jest okresem bardzo ważnym. Jednym z synów pokolenia dwudziestolecia międzywojennego był Wielki Polak – Ojciec Święty Jan Paweł II. Oprócz Jana Pawła II, dwudziestolecie międzywojenne obfituje w te osobistości życia politycznego i kulturalnego, które się wówczas narodziły. Z ich pracy,

z ich owoców życia korzystano do dzisiaj” – zaakcentował Konsul Grzegorz Opaliński.

Posel Rzeczypospolitej Polskiej na Sejm VI kadencji Jan Bury (PiS), który przybył do Lwowa prywatnie, „z potrzeby serca” powiedział: „Żałuję bardzo, że nasz parlament polski nie jest reprezentowany w tak ważnej chwili i przez wyższych rangą parlamentarzystów. Ale mnie tutaj ciągnie. Ja urodziłem się na Bukowinie Rumuńskiej – między Czerniowcami a Siretem. Stamtąd wyemigrowaliśmy do Wrocławia. Moi przodkowie żyli na Kresach prawie 200 lat. Posłu-

giwali się polskim, pięknym językiem, kultywowali polskie tradycje, polskie zwyczaje, byli wierzącymi – katolikami. Dzięki temu na ziemi rumuńskiej, a wcześniej austro-węgierskiej uratowali polskość”.

Pan Poseł podziękował Polakom we Lwowie: „Jestem pełen podziwu dla was, że tutaj, na ziemi ukraińskiej jesteście sobą, jesteście Polakami, jesteście razem z tymi, którzy oddali życie za Polskę wolną i niepodległą. Parę lat temu przywoziłem młodzież z Polski po to, żeby pokazać, gdzie są korzenie naszej Ojczyzny, gdzie ludzie myślą i mówią jeszcze i będą mówić, mam nadzieję, po polsku, gdzie jest to centrum naszej kultury narodowej. Bo Lwów był ogromnym ośrodkiem nie tylko kulturalnym, naukowym, ale i gospodarczym I i II Rzeczypospolitej. Kiedy pamięcią sięgamy do kart historii, gdy czytamy o wielkości Lwowa – jest to dla nas ogromny impuls, by to wielkie dziedzictwo kultywować, by o tym mówić, by zadbać o to, żebyśmy byli tu nadal obecni i nadal prawie gospodarzami, mimo, że faktycznie nimi nie jesteśmy. Chciałbym za waszą obecność, w imieniu zapewne wszystkich parlamentarzystów, złożyć wam bardzo serdeczne podziękowania i gratulacje, że jesteście, że trwacie. Podczas rozmowy z Marszałkiem Sejmu Bronisławem Komorowskim zwrócę uwagę na pilną potrzebę troski o was i wspierania was we wszystkim, co tutaj czynicie dla dobra naszego narodu, dla dobra naszej kultury”.

List

Szanowna Redakcjo! Przesyłam wspomnienia o patriotycznym epizodzie, znanym już chyba nielicznym żyjącym uczestnikom lub świadkom opisanych wydarzeń. Warto je chyba ocalić dla potomnych. Łączę bardzo gorące i serdeczne pozdrowienia dla Zespołu Redakcji Kuriera oraz wszystkich, do których on dociera.

Mieczysław Piotrowski

Działo się to 70 lat temu, w listopadzie 1939r., a więc niecałe dwa miesiące po „wyzwoleniu Zachodniej Ukrainy przez bohaterską Armię Czerwoną”, „Wyzwoliciele” zdążyli już opróżnić magazyny i sklepy oraz wyszabrować opuszczone domy i mieszkania. Życie wracało powoli do urzędów, zakładów pracy i szkół, ale w mieście panowała atmosfera przygnębienia i niepewności.

Wprawdzie, nie zaczęły się jeszcze masowe wywózki ludności na Wschód, ale już zapelniały się więzienia, do których wsadzano „wrogie elementy”, przede wszystkim prominentnych Polaków oraz aktywnych ukraińskich nacjonalistów, w takich to okolicznościach i w takim czasie wypadła kolejna rocznica Niepodległości, obchodzona 11 listopada.

11. Państwowe Liceum i Gimnazjum im. Marszałka J. Piłsudskiego zostało przekształcone – na modłę sowiecką – na 10-cioletnią Stanisławowską Szkołę Średnią nr 6. Młodzież tej polskiej szkoły, zgodnie z utrwaloną tradycją, zgromadziła się w dniu 11 listopada rano, przed budynkiem Szkoły, na pl. I. Paderew-

skiego. Następnie uformowała się w kolumnę od najmłodszych do najstarszych klas i udała się do pobliskiego Kościoła Parafialnego na uroczystą Mszę św. Po zakończeniu nabożeństwa, uczniowie – zamiast pójść do szkoły na zajęcia – wrócili do swoich domów. W pierwszej chwili wydawało się, że manifestacja polskiej młodzieży nie została przez władzę zauważona. Pozwalało to żywić nadzieję, że nie będą wobec niej wyciągnięte żadne konsekwencje. Ale już następnego dnia, ta nadzieja przysła. Do najstarszej dawnej drugiej licealnej klasy przybył urzędujący w Szkole „komsorh” (komsomolski organizator) i oświadczył, że wczorajsza manifestacja była nielegalna i naruszyła szkolną dyscyplinę. Według niego, była ona przygotowana przez uczniów najstarszej klasy i w związku z tym zażądał, aby do końca zajęć, została mu przedłożona lista jej organizatorów. Wobec tego, że to zadanie nie zostało spełnione, zwołał na następny dzień zebranie rodziców. Zebranie odbyło się w gabinecie dyrektora szkoły, w obecności grona nauczycielskiego i uczniów. Komsorh powtórzył swoje oświadcze-

Ostatnie Święto Niepodległości w Stanisławowie

nie o nielegalności manifestacji oraz naruszeniu dyscypliny, i ponownie zażądał ujawnienia nazwisk organizatorów. Kiedy i tym razem jego zadanie nie zostało spełnione, powołał się na kategoryczne polecenie władz i równocześnie zapewnił, dając na to słowo honoru, że jeśli organizatorzy ujawnią się dobrowolnie, to wobec nich i całej klasy, nie zostaną wyciągnięte żadne konsekwencje. Po tym opuścił salę, aby umożliwić swobodne rozważenie jego propozycji i przygotowanie oczekiwanej odpowiedzi. Nie było to łatwe zadanie, bo właściwie nikt nie znał rzeczywistych organizatorów. Ostatecznie, więc, aby zakończyć tę niepokojącą sprawę i uczynić zadość zadaniu komsorha, zdecydowano, że zostaną podane nazwiska dwóch uczniów, którzy zgłoszą się na ochotnika. I po pewnych wahaniach – tacy „organizatorzy” znaleźli się. Mogliśmy, więc przyjąć, że w ten sposób sprawa zostanie zamknięta.

Rzeczywiście, w okresie następnym trzech tygodni, nic więcej się nie wydarzyło. Ale na przełomie listopada i grudnia okazało się, że nie

jest to jeszcze definitywny jej koniec. Nieoczekiwanie, bowiem trzy osoby, a to prof. Maksymilian Chudio – opiekun klasy, kol. Lempel – przewodniczący „uczkomu” (uczniowskiego komitetu) oraz niżej podpisany członek uczkomu, otrzymały wezwanie do bezzwrotnego stawienia się w siedzibie NKWD, przy ul. Bilińskiego. Było pogodne południe, ziemia była przyproszona śniegiem, a my szliśmy w milczeniu, zapewne rozważając powstałą sytuację i jej konsekwencje.

W siedzibie NKWD, weszliśmy do pokoju dyżurnego i tam oficerowi zgłosiliśmy swoje przybycie. On polecił nam usiąść na ławie, a sam wyszedł, prawdopodobnie do swoich przełożonych. Czas oczekiwania dłużył się, bo dopiero po upływie ok. pół godziny, dyżurny oficer pojawił się i bez słowa wyjaśnienia, polecił nam wrócić do szkoły. I tym razem był to ostateczny finał sprawy.

Później, wracając do opisanych wydarzeń, staraliśmy się odpowiedzieć na nurtujące nas pytanie, co sprawiło, że uczestnicy patriotycznej manifestacji w 1939 r. zostali potrak-

towani stosunkowo bardzo łagodnie? Pytanie to stało się szczególnie zasadne po czerwcu 1941 r. Wtedy to, bowiem Sowieci wymordowali okrutnie przy ul. Bilińskiego i w innych miejscach odosobnienia, wszystkich (ok. trzech tys.) więźniów, których nie zdążyli ewakuować przed wybuchem wojny z Niemcami. Ostatecznie, jako najbardziej racjonalne wyjaśnienie przyjęliśmy, że lokalne władze postąpiły wobec nas tak łagodnie, bynajmniej nie powodując się pobłażliwością a tym bardziej wspaniałomyślnością, lecz dobrze rozumianą troską o własne bezpieczeństwo. Postanowili bowiem, niewygodną dla siebie sprawę załatwić na miejscu i bez większego rozgłosu, aby ją po prostu zatuszować przed wyższymi instancjami. I w ten sposób uchroniły być może również nas od losu, który w tamtych czasach był udziałem milionów ofiar stalinowskiego terronu.

Mieczysław Piotrowski
przed laty stanisławowianin,
a teraz wrocławianin

GRYPOWY LEOPOLIS



EUSTACHY BIELECKI
uczeń szkoły nr 10
we Lwowie

Lwów był pochłonięty mrokiem epidemii, która, jak jedna z apokaliptycznych plag, ciążyła nad krajem i zbierała śmiertelne żniwa ludzkiego życia... Natomiast, mimo groźnych ostrzeżeń z telewizji i radia, mimo surowych ostrzeżeń licznych lekarzy, życie wciąż trwało. Dlatego więc, wybieram się, rzecz jasna z maską na twarzy i w ciepłej kurtce, na spacer po Lwowie, którego jeszcze nie znałem, przez grypowy Leopoliś...

Swoją spacer rozpoczynam, jak zwykle, z parku Kościuszki, gdzie jeszcze jako małe dziecko chodziłem na przechadzkę z tatą i mamą. Miejsce zawsze pełne ludzi: radośnych dzieci, „subkulturowej” młodzieży, poważnych dziadków i babć, było całkowicie puste. Nie poznawałem drogi, którą znałem od lat. Była piękna złota jesień, drzewa ubrane w żółte suknie i poważne brązowe płaszczyki-kory, świeciło słońce, przyroda sama zapraszała ludzi na ulicę, lecz istot rodzaju ludzkiego wciąż nie było widać... Jestem w centrum swojego żyjącego na co dzień miasta, przypominam sobie szybką jazdę samochodów w poniedziałkowy poranek, ludzi spieszących się do pracy, dzieci idących niechętnie, do szkoły, przypominam sobie, że ten gród, jakieś cztery dni temu, wirował życiem, a teraz jest pustkowiem, które porzucili ludzie, uciekając od napaści.

Od czasu od czasu widuję zdenerwowanych ludzi, chroniących się od zarażonego świata zewnętrznego maską, długim szalikiem lub własnym, jak często powtarzali bardziej skutecznym sposobem (wyróbione własnoręcznie szerokie nakrycia głowy, które zakrywają całą twarz, pozostawiając otwór tylko na oczy... takich „astronautów” też nieraz spotykałem).

Przechodząc pod pomnikiem Szewczenki, ujrzałem szczęśliwą grupę turystów z Chin, którzy mimo tak wielkiej epidemii wciąż się ra-

dują życiem, wciąż się cieszą tym Lwowem... Kina, kawiarnie oraz inne lokale często przeze mnie odwiedzane były zamknięte. Imprezy na Halloween, zbierające rzeszy spragnionej odpoczynku młodzieży były odwołane, ważniejsze koncerty przeniesione. Zamknięta była również filharmonia i opera, a życiem kulturalnym naszego miasta stało dla większości ludzi spędzenie czasu przed telewizorem lub w Internecie.

Epidemia zamknęła ludzi w domowej klatce, rozmowy w marszrutkach, tramwajach, w pracy, w sklepach czy na ulicy były wyłącznie na ten temat... Rynek – miejsce ukochane przez chyba każdego lwowiaka, turystę bez różnicy na wiek. Tu zbierała się młodzież, tu spotykali się zakochani...

Wymarłe maleńkie uliczki Lembergu powodowały rzeczywiście niepokój również we mnie... Pojawiła się pewna fobia w stosunku do ludzi kichających lub kaszlących. Na widok kaszlu ludzie przesiadali się w tramwajach lub nawet przechodzili na drugą stronę ulicy. Nikt nie chciał być chory, więc wszystkimi sposobami chciał się uchronić od choroby. Zapach czosnku i cebuli był szczególnie odczuwalny w marszrutkach, które również nie cieszyły się powodzeniem wśród śmiałych, którzy zdecydowali się jednak wyjść na ulicę...

Mijały dni, bardzo powoli mijały, a skończył się dopiero pierwszy tydzień kwarantanny. Dom się znudził, ulica zaczęła odradzać się i na dworze stało się cieplej. Coraz częściej spotykałem znajomych na ulicy, otworzyły się wreszcie kina i lokale, a na afiszach pojawiły się ponownie ogłoszenia o różnego rodzaju imprezach, koncertach, wystawach.

Życie jest piękne, nie ma jak... i pomimo jeszcze panującej epidemii coraz więcej ludzi akceptuje obecny stan rzeczy i rozumie, że każde „nawet najgorsze licho, przetrwamy razem, a kiedyś będziemy wspominać ten czas, kiedy przez jakieś 3 tygodnie byliśmy mieszkańcami grypowego Leopoliśa...

KG

CHOROBY, EPIDEMIE, ZARAZY MOROWE – CO NAS GNĘBI OD WIEKÓW

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI
tekst
Zdjęcia archiwum MHF

Ludzkość choruje od zawsze. Pytanie tylko jest w tym, ile ludzi i na jakim terenie zachoruje na raz.

U zarania dziejów, gdy ludzie mieszkali w luźnych, oddalonych od siebie skupiskach – plemionach, osadach czy grodziskach, gdy przemieszczanie się ludności nie wychodziło poza obręb upraw i stref łowieckich, zachorowania miały obręb ograniczony. Gdy człowiek zaczął się przemieszczać, na coraz dalsze odległości i coraz szybciej, lokalne choroby zaczęły przyjmować kształt epidemii. W społeczeństwach, gdzie poziom higieny, wiedzy lekarskiej i warunków bytowania były na niskim poziomie, epidemie zbierały obfite żniwo. Obecnie, gdy latamy po całym świecie, wędrujemy po innych kontynentach, mamy styczność z innymi okolicami i możemy, jak twierdzą naukowcy, zarazić się wrzodem żołądka, schizofrenią, otyłością czy arterosklerozą, grypa staje się chorobą ogólnościową.

Epidemie zawsze rozprzestrzeniały się wzdłuż arterii komunikacyjnych. Najlepszy dowód temu pierwszy z zanotowanych przypadków epidemii. Egipt, rok 430 p.n.e. Z centralnej Afryki wzdłuż Nilu (głównej arterii komunikacyjnej) rozprzestrzeniała się straszna choroba, na



Maska lekarza z okresu epidemii dżumy w XVII wieku, Niemcy. W dziobie umieszczano substancje zapachowe, chroniące przed fetorem rozkładających się ciał



Zaraza w Rzymie

którą umiera co czwarty mieszkaniec Górnego i Dolnego Egiptu. Według znalezionych opisów choroby była to znana dziś gorączka krwotoczna Ebola. Na Egipcie się nie skończyło. Przez Libię statkami chorobę zawleczono do Aten i tam dziesiątkowała ludność. Najgorzej, że dała się we znaki w armii greckiej, przez co znacznie osłabiła potęgę Aten.

Średniowiecze zostało zdominowane przez „morowe powietrze” czy „czarną śmierć”. Sprzyjał temu charakter miast średniowiecznych – dużych skupisk ludzkich, bez systemów ściekowych, bez należytej higieny, zamieszkałych, oprócz ludzi, przez całe stada gryzoni – głównych roznosicieli chorób. Gdy do tego dodamy przemarsze armii (dużych

grup ludności, bytujących w prymitywnych warunkach), to stanie się zrozumiałą sytuacją epidemiologiczną w tamtych czasach. W 162 roku n.e. Chiny zaatakowała choroba, na którą zmarł co trzeci żołnierz armii chińskiej. Strat wśród ludności cywilnej nie notowano. W kilka lat później prawdopodobnie ta sama choroba zaatakowała Rzym – najprawdopodobniej była to odra. Nie ominęła ona i Marka Aureliusza, cesarza imperium.

Potem w Europie następuje okres pewnego spokoju. Od VI po XIV wieku nie wybuchają epidemie na większą skalę. Rozwijają się natomiast miasta, powstają nowe. Następnie kontynent dziesiątkuje dżuma, przywieziona z Azji Mniejszej drogą morską. W latach 1347-52 w Eu-

ropie umiera co drugi mieszkaniec miast i co czwarty wsi. Dalej, swoją daninę zbiera syfilis, przywieziony przez marynarzy Kolumba od Indian. Choroby weneryczne w Europie wcześniej nie istniały. Konkwistadorzy odplacili pięknym za nadobne – przenieśli do Ameryki choroby europejskie: ospę, dur plamisty, odrę i grypę (czy ta dzisiejsza nie jest zemstą Azteków?). Te nieznanne dotąd w Ameryce choroby wyniszczyły około 90% Indian. Europę coraz ostrzej zaczęły atakować choroby azjatyckie: dur plamisty (z Bliskiego Wschodu), grypa (z Chin), cholera i gruźlica (z Indii), a także najstraszniejsza – dżuma. A teraz nastąpiła era AIDS, choroby o skutkach śmiertelnych, najprawdopodobniej zawleczona od zielonych kockodanów. Jak człowiek zaraził się tą chorobą pozostanie na zawsze tajemnicą.

Epidemie w Polsce

Słowami modlitwy prosimy: „...od powietrza, głodu i wojny zachowaj nas, Panie”. Nie na darmo „powietrze” stoi na pierwszym miejscu. Obecność zarazy w Polsce odnotował w swoich kronikach Jan Długosz, w roku 1003. W kolejnych wiekach zaraza do Polski nadchodzi z Zachodu Europy. Był rok 1348. Dżuma zaczęła swoją podróż na wschód. Według dawnych kronik, jedna czwarta ludności Polski zmarła. Kolejne epidemie wybuchły w miastach. Ciasno-

ta miast średniowiecznych, tysiące gryzoni, brak elementarnych warunków sanitarnych, a co najważniejsze – tradycje pochówku zmarłych na niewielkich cmentarzyskach przykościelnych w obrębie murów. Trumny składano do grobu, bez zachowania podstawowych środków ostrożności. Jedne na drugich, na jeszcze niezupełnie zetłaczonych szczątkach. Groby rozkopywano na nowe pochówki. To się mściło. Morowe powietrze spowijało raz po raz kolejne miasta. Epidemie przewalały się po kilka razy w kolejnych stuleciach (1186, 1283, 1307, 1451, 1497, 1542, 1573, 1663, 1680, 1720). Rok 1788 też nie

wynoszą około 20-25 tys. na ogólną ilość jeńców do 85 tys. (29%). Dla porównania na terenie Rosji i Litwy w obozach jenieckich w tym okresie przebywało około 51 tys. żołnierzy polskich, z czego w wyniku epidemii zmarło do 20 tys. (39%). Takie są smutne fakty, a teraz zaczyna się polityka. W 1990 roku Michaił Gorbaczow oficjalnie przyznaje się do zbrodni katyńskiej, ale równolegle wpływa sprawa epidemii wśród jeńców w roku 20. Propaganda rosyjska porównuje te dwie sprawy i epidemię nazywa ludobójstwem. Gorbaczow nakazał historykom Akademii Nauk, Prokuraturze ZSRR, Ministerstwu



Jeniec rosyjski i pilnujący go mały żołnierz polski, 1919 rok

był łaskawy dla mieszkańców kraju. Jak zostało zapisane w raporcie: „Pokazała się influenza (**grypa – red.**), trwała miesiąc, ale przez ten czas zdążyła dotknąć trzecią część mieszkańców Polski”. Lwów też nie oparł się epidemiom. Na początku XVII wieku do Lwowa została przywieziona odzież z Krakowa. To dało początek kolejnemu wybuchowi „zaraży morowej” na naszych terenach. Najstraszniejsza i największa epidemia grypy miała miejsce w 1918 roku. Od kraju, w którym się zaczęła, nosi wdzięczną nazwę „hiszpanka”. Ale choroba była straszna, a co gorsze padła na wyniszczoną wojną Europę. Mimo środków ostrożności przetoczyła się przez całą kulę ziemską i pochłonęła według niepełnych danych około 100 mln ofiar śmiertelnych (więcej niż zakończono dopiero co wojna).

Epidemia i propaganda

Epidemia „hiszpanki” nie ominęła największych, na te czasy, skupisk ludności – obozów jenieckich i internowanych po wojnie polsko-bolszewickiej 1919-20. Armia Czerwona, jeszcze wcześniej – armia carska były dziesiątkowane przez typowe dla tych lat i okoliczności tyfus, czerwonkę i cholera. Osłabione organizmy, bez należytych warunków leczenia, nieodpowiednio karmione, bez należytej higieny stały się podatne na nową epidemię. Obozy jenieckie na terenie Polski czy Prus Wschodnich były przepelnione. Pierwsze ogniska choroby pojawiły się w obozie w Brześciu Litewskim, w 1919 roku. Chorobę udało się częściowo opanować po rozwiązaniu obozu. Jednak zmarło około 1000 osób. Sytuacja się skomplikowała na przełomie 1920/21 roku, gdy po Bitwie Warszawskiej i klęsce Armii Czerwonej do obozów trafił nowy jeńcy. Epidemia zaczęła szerzyć się praktycznie we wszystkich obozach. Oceny strat z powodu epidemii wśród jeńców rosyjskich

Obrony i KGB opracować temat i straty wśród żołnierzy Armii Czerwonej przedstawić jako „anty-Katyń”. Obecna władza w Rosji ściśle trzyma się tej „teorii” i wykorzystuje ją wszędzie w celach propagandowych.

Korzyści z epidemii

Wbrew wszystkiemu opisanemu wyżej, takie klęski mogą dawać i korzyści. Po epidemii, pod koniec XIV wieku intensywnie rozwinął się przemysł papierniczy. Były olbrzymie masy odzieży do przeróbki. A papier ze starych szmat był najtrwalszy. Dzieła sztuki, które powstały pod wpływem wydarzeń należą do klasyki światowej, jak poezje Petrarke (jego ukochana Laura zmarła w czasie epidemii), czy „Dekameron” Boccaccio. Inni autorzy, inspirowani tragediami ludzkimi, też tworzyli na tej podstawie swoje dzieła. Ale każda epidemia to, przede wszystkim, wielkie wyzwanie i inspiracja dla nauki, chemii, farmaceutyki i nawet techniki. Gdy swoją szczepionkę na tyfus płamisty opracowywał we Lwowie prof. Rudolf Weigl, zetknął się nie tylko z problemami medycznymi, ale i technicznymi: jak wstrzyknąć wszy zarazki tyfusu do jelit. Dopiero, gdy bariery medyczne i techniczne zostały pokonane można było przystąpić do produkcji skutecznej szczepionki na masową skalę. Co dopiero dziś, gdy przemysł farmaceutyczny rozporządza najnowszą techniką, materiałami, komputerami, tysiącami fachowców i milionami pieniędzy. Ale skutecznej szczepionki na świnią grypę do tej pory nie udało się opracować. Zarazki są mądrzejsze – modyfikują się szybciej.

Jak donoszą dane Światowej Organizacji Zdrowia, około 20% szczepów chorób, zarazków i mikroorganizmów, z którymi pracują laboratoria „wymykają się” na zewnątrz, przyczyniając się do wybuchu kolejnych epidemii.

KG

NA ZDROWIE! Przepisy Hucutów luczańskich

HALINA PŁUGATOR
tekst i zdjęcia

Grypa na Ukrainie, chociaż nie szaleje już tak, jak kilka tygodni temu, przekreśliła plany spędzenia w górach Sylwestra i Nowego Roku. Osoby, które wcześniej zamówiły pokoje i noclegi w huculskich, bojkowskich i pokuckich gospodarstwach agroturystycznych, obecnie rezygnują z odpoczynku na terenach, które zostały najbardziej dotknięte wirusem grypy. Jednak nawet ta trudna sytuacja ma swoje pozytywne strony. Gospodarze, aby przyjąć gości, będą musieli bardziej się starać i wymyślać coś nowego. Rodzina Samojułowich ze wsi Lucza w powiecie Kosów, na Przykarpaciu zadbała o to, aby goście wypoczęli i poprawili swoje zdrowie. Maria, Aleksander oraz ich syn Michał wymyślili przeciwgrypowe menu oraz program, służący poprawie stanu zdrowia organizmu. Z wizytą w tej huculskiej rodzinie była korespondentka „Kuriera Galicyjskiego”.

...Zapach ostrej przyprawy, sosu chrzanowego wprost przyciąga do stołu. Białe boki wystawia słonina domowej roboty, cieszy oko ćwikła, smaczny banusz złoci się i zaprasza do odpoczynku i dobrego posiłku. Po sycącym obiedzie, gospodarze częstują herbatkami z karpaccich ziół leczniczych. Gdzie tu myśleć o chorobie?!

„Nie wymyśliliśmy nic szczególnego ani nowego, - uśmiecha się i ponownie zaprasza do stołu Maria, życzliwa gospodyni. - Wykorzystujemy to, czego na co dzień używali nasi przodkowie i czym się leczyci, by do nich się nie przyczepiła choroba. To samo proponujemy gościom. W naszych stronach ludzie dożywali do stu lat. Mężczyźni byli mocni, jak dęby, a kobiety – rumiane i puszyste, jak kaliny. Mieli po dziesięcioro dzieci. O chorobach nie myśleli. Modlili się do Boga i spożywali wszystko, co rosło w okolicznych lasach i górach”.

Wiedza syberyjska i mądrość huculska

Mąż pani Marii, Aleksander Samojułow, pochodzi z Syberii. Poznali się w Odessie, dokąd młoda Huculka została skierowana do pracy. Przyjechałszy w Karpaty, by poznać rodzinę żony, młodzieniec z Syberii zakochał się w górach. Podjęli decyzję, że tu zostaną.

„Od dziecka pamiętam opowieści krewnych o tajemnicach znachorów syberyjskich znanych na całym świecie, - opowiada pan Aleksander, obejmując swoją gaździnę. - Nieco zapomniane tajemnice odtwarzam teraz dla siebie na nowo, dużo czytam, znajdując wiele wspólnego w huculskiej i syberyjskiej medycynie ludowej oraz systemach uzdrawiania”. Wraz z żoną i synem Aleksandr pomaga ludziom. Ten znany sportowiec, mistrz sportu w kolarstwie, biznesmen jest obecnie w rodzinie głównym zielarzem.



Małżeństwo Samojułowich ze wsi Lucza w powiecie Kosów, na Przykarpaciu

„Wszystko, co daje nam matka natura, jest dla pożywienia i zdrowia, - mówi huculski Rosjanin, z dumą pokazując dziesiątki słoików z ziołami i buteleczki, napelnione leczniczymi nalewkami. - Jesteśmy gotowi się podzielić z naszymi gośćmi odwieczną mądrością i wiedzą huculską, chociaż nie mamy tu nic nadzwyczajnego czy nieznanego ogółowi.

Bez ziół i wody – ni tędy, ni owędy

Jednym z warunków życia i zdrowia górali jest spożywanie zwykłej wody. Górale do dziś, tuż po przebudzeniu, wypijają pół litra wody studziennej, od której aż zęby skrzęca – tak dużo ta woda ma energii. Nie tylko orzeźwia, daje siły i pozytywną energię na cały dzień, ale też oczyszcza organizm. Pan Aleksander twierdzi, że codziennie należy wypijać dwa litry wody. Nie chodzi tu o płyny w potrawach, kawę czy herbatę, które zwykliśmy pić, ale o najczystszą wodę źródlaną. Jeśli takiej nie ma, pomoże krzem, który łatwo odnaleźć w górach. **Do trzylitrowego słoja należy wrzucić dwa małe kamyki, odstawić dwa dni i spożywać na zdrowie.**

Osobom, mającym osłabiony organizm i tym, które chorowały na grype, pan Aleksander podaje najróżniejsze herbatki ziołowe. **Hit sezonu – to mieszanka przeciwgrypową z kwiatu bzu czarnego, liści porzeczki, macierzanki i listków czarnej jagody. Nawet każda z tych roślin z osobną jest skarbnicą substancji odżywczych. Bez ma efekt wykrztuśny, porzeczka ma sporo witaminy C, macierzanka daje miły zapach, zaś listki czarnej jagody są bogate w mikroelementy. Lyżeczkę tej mieszanki Samojułowowie wrzucają na pół litra wody, gotują przez 5 minut na wolnym ogniu, odstawiają, by naciągnęła, przecedzają – i otrzymują pachnącą, odżywcza i uzdrawiającą herbatę.** Do każdej z herbat zawsze dodają warzone w domu miody karpaccie, które stymulują efekt leczniczy ziół.

Dla wszystkich pożyteczna będzie firmowa nalewka z różowej rodzioli, albo też, jak o niej mówią w Karpa-

tach, korzenia złotego. Roślinę można spotkać daleko w górach, na skałach, rośnie, uczepliwszy się kamieni wąsikami. W ten sposób wyciąga z kamieni wilgoć i życiodajną siłę. Otóż, aby zebrać korzenie rodzioli, czasem trzeba stłuc niejedną kamień. Pan Aleksander radzi, żeby korzeń złoty zalewać nie spirytusem, a samogonem własnej roboty, wówczas smak będzie bardziej subtelny. Nalewka z rodzioli wzmacnia odporność, ale też dodaje mężczyznom siły i chęci do kobiet.

Do stołu – po zdrowie

W walce z chorobą pomoże także jedzenie. W tym czasie, gdy pan Samojułow opowiadał o leczniczych właściwościach ziół, jego żona i syn Michał coś wyczarowywali w kuchni. „Nasi przodkowie byli zdrowi, bo spożywali potrawy ekologicznie czyste i proste, - mówi kobieta. - Teraz wraca do tego wielu ludzi, ponieważ nie ma nic mądrzejszego, niż to, co zostało stworzone przez naturę.”

W tych zimnych i niebezpiecznych dniach Samojułowowie proponują „ćwikłę” – drobno utarte czerwone buraki z chrzanem, a także sałatkę z buraków, czosnku i orzechów włoskich. Pani Maria mówi, że burak zawiera 20 razy więcej witaminy C, niż cytryna. Tanio i prosto, ale też smacznie. Zabija bakterie chorobotwórcze także ostra bryndza oraz sos huculski z chrzanu, który jest tu podawany do wielu innych dań. Można nim też smarować pieczywo. Chrzan ucieramy na tarce i smażymy przez 15 minut na śmietanie. Na deser – najprzeróżniejsze konfitury, naturalne soki, kawa, zaparzona z topinamburu (**gruszy ziemnej – K.G.**), zamiast cukru – trochę stewii, słodkiej rośliny krymskiej.

Na dobry nastrój – Weles i kot

Aby stworzyć dobry nastrój, który pomaga w walce z chorobą, Samojułowowie poponują spacer w góry, do kamienia, gdzie można zobaczyć obraz Uśmiechniętego Boga. Historycy twierdzą, że to Weles – starosłowiański opiekun bydła, który łączył ziemię i niebo. Niegdyś opodal gościnnego domu naszych gospodarzy było miejsce składania ofiar. Po upływie kilku tysięcy powstała góra. Niektórzy turyści także próbują składać „ofiary”. Samojułowowie opowiadają, >

▷ że wielu gości spała na górze... swoje złe nawyki, wrzucając do ognia ostatnią paczkę papierosów lub kartkę papieru, na której wypisują niepowodzenia w biznesie, miłości, życiu rodzinnym etc.

Na pożegnanie gazdowie z Luczy darują gościom nalewkę z korzenia złotego. Niektórzy zabierają z Karpac także... kota. Tych miłych



puszystych stworzeń Samojłowowie mają pod dostatkiem. „Koty także mogą leczyć i cieszyć gospodarzy, tak jak wszystko wokół, kiedy naturę traktujemy z miłością i prostotą, jak nasi przodkowie”, - mówią na pożegnanie gościnni mieszkańcy Luczy i zapraszają wszystkich do siebie – po zdrowie.

Michał Samojłow, kucharz z Luczy, poleca

Przyprawa luczańska „Precz z grypą!”

30 dag papryki (najlepiej czerwonej), 5 ząbków czosnku, 20 dag orzechów włoskich, 10 dag podsmażonych na patelni orzeszków arachidowych, pęczek pietruszki, sól.

Wszystkie składniki jak najdrobniej pokroić, utrzeć, żeby powstała papka, podawać do drugich dań.

Herbatki i napary przeciwgrypowe oraz porady Aleksandra Samojłowa

Herbatka przeciwzapalna

Wymieszać 4 łyżki sproszkowanych suchych liści porzeczki, 2 łyżki liści i kwiatów fiołka trykolorowego, 3 łyżki ziela uczezu, 3 łyżki szalwii, 5 łyżek utartego na proszek korzenia lukrecji, 2 łyżki kwiatu rumianku, 4 łyżki kwiatu brzozy. Wszystko zalać

800 g wody, naparzać przez 8-10 godzin. Pić po 1-1,5 szklanki trzy razy dziennie.

Herbatka ze skrzypu – na schorzenia układu oddechowego

1-2 łyżeczki sproszkowanych ziół zalać 1/4 litra zimnej wody, zostawić na 12 godzin lub też zalać gorącą wodą

i po upływie pół godziny przecedzić. Popijać po trzy szklanki dziennie przez kilka miesięcy. Do tej herbatki można dodać miodu naturalnego.

Herbatka wzmacniająca odporność – dla chorych na cukrzycę

Po 10 dag skrzypu, kwiatu malwy, babki lancetowatej, po 5 dag kopru włoskiego, kwiatu bzu czarnego i kminku. Wszystko wymieszać, zalać 1/4 l wrzątku, zaparzać przez 15 minut. Przecedzić. Popijać 2-3 szklanki tej herbatki dziennie.

Pokonamy grypę... bzem czarnym

Kwiaty bzu czarnego słyną z tego, że są dobrym środkiem przeciwbólowym, uspokajającym, przeciwzapalnym. Mają właściwości napotne, wykrztuśne, obniżają gorączkę. Zarówno medycyna tradycyjna, jak i ludowa polecają napar z kwiatów (można z suchymi liśćmi) do leczenia różnych schorzeń układu oddechowego. 2 łyżki suszonych kwiatów bzu zalać szklanką wrzątku, naparzać przez 30-40 minut, pić 2-4 razy dziennie po pół szklanki. Napar jest wykorzystywany do płukania gardła – w przypadku anginy.

Kwiat bzu czarnego jest wykorzystywany do zmniejszenia zapalenia, ale nie tylko. Napar z bzu łagodzi ból, występujący w trakcie anginy, zapalenia korzonków nerwowych, migreny. Bez czarny ma też właściwości moczopędne.

Oczyszczamy organizm lisczkami (kurkami)

Uwolnieniu organizmu z substancji szkodliwych i pasożytów sprzyja nalewka z lisczek. Tych niewielkich grzybów w warunkach naturalnych nie atakują żadne robaki. Wobec tego, nic nie będzie szkodziło organizmowi ludzkiemu. Drobnopokrojone lisczki (kurki) należy zalać wódką, odstawić na 10-15 dni, używać powstały płyn po 2 łyżeczki na noc w ciągu miesiąca. Po tej kuracji w organizmie zginą wszystkie pasożyty a nawet ich embriony.

GRATULUJEMY „WIEŻY”!

Halina Pługator tekst
Halina Pługator, archiwum
Ołeny Tretiak zdjęcia

Stanisławowska spółka radiowo-telewizyjna „Wieża”, będąca partnerem medialnym „Kuriera Galicyjskiego”, obchodzi jubileusz dziesięciolecia. W przeddzień obchodów spotkaliśmy się z panią Oleną Tretiak, dyrektorem „Wieży”. Pani Olena na antenie stale propaguje idee integracji europejskiej Ukrainy, współpracy z Polską i Polakami.

„Jest nam bardzo miło, że nasz jubileusz przypadł w dniu pracowni-



Dyrektor „Wieży” Olena Tretiak



Zespół „Wieży”

ków radia i telewizji - to 16 listopada, - mówi pani Tretiak. – Dziesięć lat temu pracowaliśmy tylko w radiu, po roku wyszliśmy na antenę telewizyjną. Mamy też swoją stronę internetową. W latach 2006-2009 studio telewizyjne robiło jedynie poszczególne audycje. W radiu mamy po 10 wydań wiadomości codziennie, robimy je o własnych siłach. To reportaże, komentarze, wypowiedzi. Poza tym, nadaliśmy dziesiątki programów autorskich o różnorodnej tematyce”.

Niedawno „Wieża” uzyskała możliwość całodobowego nadawania programów telewizyjnych. Na razie będą emitowane częściowo programy własne, częściowo – z innych studiów. Pani dyrektor marzy o tym, aby jak najszybciej zacząć nadawać tylko własne programy i audycje. Będą transmisje sesji Rady Miejskiej, miejscowych konkursów studenckich, pokazy mody etc. Obecnie w „Wieży” jest zatrudnionych 47 osób. Od przyszłego roku, wraz ze zwiększeniem się czasu antenowego, liczba pracowników się zwiększy.

W latach działalności „Wieża” otrzymała ponad 50 najróżniejszych nagród, w tym – międzynarodowe. Pracownicy brali udział w seminariach, konferencjach, szkoleniach. Radiowcy z Przykarpacia współpracują z filią amerykańskiego „Internews”, dzięki czemu pracownicy „Wieży” uzyskali możliwość szkoleń.

Przez dwa lata „Wieża” była partnerem spółki radiowej w mieście Roanoke w stanie Wirginia (USA). Pani



Podczas wizyty u polskich przyjaciół

Olena, towarzysząc przedstawicielom władz miejskich, była we wszystkich jedenastu polskich miastach partnerskich Stanisławowa. Została zawarta umowa z prezydentem miasta Rzeszowa, dotycząca wymiany programów telewizyjnych. Szczególnie interesujące byłyby audycje o osobach, które urodziły się na Ukrainie, a obecnie mieszkają w Polsce – i na odwrót. Każda z tych osób jest skarbnicą wiedzy historycznej.

Pani Tretiak wie, że Polacy ze Stanisławowa chcą słuchać i oglądać wiadomości ze swej Ojczyzny, chcą wiedzieć, jak ona się rozwija. Obecnie w „Wieży” już jest nadawana audycja o dawnym Stanisławowie. O wspólnej

historii polsko-ukraińskiej. Pani Tretiak myśli o audycjach, dotyczących integracji europejskiej, ponieważ Ukraińcom te informacje są niezwykle potrzebne. Oczywiście, w planach są opowieści o naszej wspólnej historii, zwłaszcza o tych jej kartach, które z różnych powodów nie były dotąd odsłaniane.

„Zachwycamy się polskimi artystami, historykami, śpiewakami, - kontynuuje pani Olena. – Mamy się czego uczyć od sąsiadów, mamy dobry przykład, a to znaczy, że współpraca będzie miała coraz to nowe odcienie. Chcemy, aby nasza praca została oceniona w Polsce. Mam nadzieję, że wkrótce tak się stanie. Myślę, że pomoże nam w tym „Kurier Galicyjski”.

Szymon Kazimierski: „Poczułem, że chyba mogę to robić”

Wywiad z SZYMONEM KAZIMIERSKIM – publicystą, autorem interesujących artykułów, poruszających nie do końca wyjaśnione wydarzenia historyczne. Autor w swoich publikacjach dementuje mity, uprzedzenia i stereotypy. Rozmawia MARIA BASZA.

- Jak to się stało, że zaczął Pan pisać, przecież jest Pan z zawodu lekarzem?

- Tak, jestem lekarzem-stomatologiem. Zaczęłam pisać tak trochę dziwnie... Mój bratanek powiedział mi, że znalazł w Internecie ogłoszenie o konkursie literackim. Trzeba było napisać opowiadanie o II wojnie światowej. Opowiadanie to musiało być fantastyczne. Wobec tego, broniłem się przed takim pomysłem, bo dla mnie II wojna światowa nie ma nic w sobie z fantastyki. To jest coś najbardziej realnego i najbardziej twardego. Trochę pod jego naciskiem, zgodziłem się. Tak się zaczęło. Miałem bardzo mało czasu, ponieważ on się dowiedział o tym konkursie stosunkowo późno. Tak, jak wszyscy inni mieli jakieś trzy miesiące, to ja miałem dwa tygodnie. Musiałem pisać nawet w nocy, trochę przespiałem przy komputerze. Napisałem opowiadanie o tunelach, które pozostały po Niemcach. Jakies dziwaczne tunele kolejowe – pozostałości po fabryce, a właściwie – instytucie, który przetrwał żołnierzy na ogromne odległości, zamieniając ich najpierw na fale świetlne. Była fantastyka, była II wojna światowa. Dostałem nagrodę za to.

- Jaka to była nagroda?
- Że nas wydrukowano.
- Kto organizował ten konkurs?

- Wydawnictwo Lubelskie „Fabryka Słów”. Została wydana antologia naszych opowiadań, która się nazywała „Deszcze niespokojne”. Gruba taka książka.

- W którym roku Pan zadebiutował?

- To było chyba w 2005 roku. Tak to się zaczęło. Ku mojemu zdziwieniu, okazało się, że jest dużo ludzi, którym się moje opowiadania podobają. Wszystkie recenzje były bardzo dobre. Poczułem, że chyba mogę to robić. To był początek.

- Od kogo się Pan uczył warsztatu pisarskiego i dziennikarskiego?

- Od nikogo. Dużo czytając, samo mi tak wyszło... Moim wielkim atutem

na początku była pozytywna ocena tego, co napisałem przez wydawców. Oprócz tego, że pomysł im się podobał, podobał się też i mój warsztat. Nikt mnie tego nie uczył...

- Ma Pan talent.
- Może nie tyle talent, lecz to, że od małego bardzo dużo czytałem. Nie wiadomo kiedy się człowiek tego nauczył, patrząc na to, jak inni piszą.

- Pan porusza tematy mało popularne, kontrowersyjne, dementuje Pan stereotypy.

- Mnie się wydaje, że tylko takie tematy są warte zastanowienia się. Jeżeli jest coś tylko zwyczajne, oczywiste, to jest po prostu informacja. Ja bym chciał, żeby ktoś się jeszcze nad tym zastanowił. A jeżeli przy okazji czytelnik się zdenerwuje – jest mi bardzo przykro. Może to w nim jest coś nie w porządku, nie koniecznie w moim tekście?

- Co Pana denerwuje najbardziej w społeczeństwie, w ludziach?

- Denerwują mnie najbardziej ci, którzy się wykształcili za czasów komunizmu. Oni mają taki sposób myślenia, który im został wpojony. Nie łatwo jest im wytłumaczyć, że się mylą.

- Napisał Pan kiedyś opowiadanie, mrozące w żyłach krew, w którym została przedstawiona historia kobiety, która wielokrotnie ukazywała się po swojej śmierci...

- To jest opowieść absolutnie prawdziwa. O tym zdarzeniu opowiadał mi mój ojciec. To było koło Poznania. Muszę powiedzieć, że nic nie zmyślałem. Jeżeli coś zmyślałem, to tylko z okazji 1 kwietnia. Jest to wtedy celowo zmyślona opowieść.

- Pan zapewne dużo podróżuje. Jakie kraje Pan zwiedził?

- Rzeczywiście dużo podróżuję. Pracowałem też za granicą: w Afryce – w Libii. Pracowałem też w Austrii.

- Uczestniczy Pan w konferencji naukowej, zorganizowanej na Ukrainie. Czy podobają się Panu ten kraj?

- Na początku byłem trochę zdziwiony, spodziewałem się, że Ukraina będzie trochę inna. Że jakoś inaczej ludzie powinni chodzić ubrani, inaczej się zachowywać. A Ukraina jest bardzo normalna i stąd, to moje jakby zaskoczenie.



- Co sądzi Pan o relacjach polsko-ukraińskich?

- Wszędzie widać objawy normalizacji. Zwykli ludzie robią to dużo wcześniej niż rządy, mają więcej trzeźwego rozsądku, niż politycy. Między Polakami i Ukraińcami nie widzę w tej chwili żadnych zatargów. Czasem się słyszy, że pracowników z Ukrainy ktoś źle w Polsce potraktował. Człowiek, który źle traktuje Ukraińców, tak samo źle traktuje i Polaków. On po prostu, robotnika źle traktuje, bo jest draniem.

- Nad czym Pan obecnie pracuje? Co Pan pisze?

- Chciałem napisać do „Kuriera Galicyjskiego” na temat radzieckich czołgów, które wjechały na teren Rzeczypospolitej Polskiej 17 września 1939 roku. Spotkałem się z dość tajemniczą sprawą. Czołgi BT, czyli „bystrochodnyje tanki” tak naprawdę miały być polskimi czołgami, a nie radzieckimi. Były to czołgi amerykańskie. Na początku chcieli te czołgi zakupić Polacy. Jakoś tak się stało, że Polakom odmówiono. Zwrócono im zaliczkę, jeszcze ich skrzyżowano, jako takich, którzy rwą umowy. Te czołgi się okazały być później czołgami radzieckimi.

- Co Pan chciałby przekazać czytelnikom „Kuriera Galicyjskiego”?

- Chciałbym przekonać naszych Czytelników, że ja naprawdę bardzo dokładnie się przygotowuję do pisanja swoich artykułów.

- Gdzie szuka Pan informacji?

- W Internecie najczęściej. Jeżeli nie mogę znaleźć informacji w języku polskim, to wtedy szukam w języku niemieckim lub angielskim. Związek Radziecki nauczył nas historii takiej, jaka jemu była wygodna, a nie takiej, jaka się wydarzyła. Trzeba niektóre rzeczy po prostu „odkręcać”. Tak, jak to było z Westerplatte. Jest to stereotyp, jak bohaterzy żołnierze czwórnikami szli do nieba. To wszystko nieprawda. Pewnie, że byli bohaterzy żołnierze. Najważniejszą rzeczą, jakiej Polacy jakoś nie mogą chwycić jest to, że Westerplatte nie leżało w Polsce. Westerplatte było poza granicami Polski. To była placówka zagraniczna. Nieprzyjacielski atak na Westerplatte de facto nie był początkiem wojny polsko-niemieckiej. To była wojna gdańsko-polska. Gdańsk był wtedy osobnym państwem, pragnącym bardzo połączyć się z Rzeszą Niemiecką. Żołnierze polscy nie walczyli z niemieckimi żołnierzami, tylko z policją gdańską.

- Pan najczęściej porusza tematy wojenne.

- Bo mi to najlepiej wychodzi. Czuję się oficerem. Jestem kapitanem w stanie spoczynku. Mój ojciec zawodowo w wojsku służył. Właściwie wychowałem się w koszarach. Może dlatego ten temat jest mi najbliższy. Poza tym, jest to temat zawsze „gorący”. Jest to zawsze historia wojny, a na wojnie ludzie się zabijają. Cała ta otoczka – orkiestry, sztandary, parady są jakby po to, żeby zasłonić prawdziwe działanie wojska, które polega na zabijaniu się. Jeżeli się o tym głośno mówi, zaraz to brzydko wygląda. Lepiej mówić o bohaterach, krzyżach.

- Co musiało by się zmienić na świecie, żeby nie było wojen, zabijania się?

- Żołnierz, to najstarszy zawód na świecie. No, może przed żołnierzem pierwszym był jeszcze zwyczajny zbój. Dobrze by było, żeby się ludzie otrząsnęli z tego zabijania. Nie wiem, czy to jest wykonalne. Chyba bez interwencji siły nadprzyrodzonej nie da się tego zrobić na ziemi... Ale bądźmy optymistami.

- Nie wiem, czy ja dobrze robię, że tą wojnę ciągle przypominam? Może nie trzeba tego robić? Ale ludzie chcą wiedzieć jak to było naprawdę. Tym bardziej, że byli bezczelnie, po chamsku oszukiwani przez bardzo długi okres.

- Życzę Panu nowych pomysłów, nowych odkryć w tej zagmatwanej często historii i przekazanie czytelnikom rzetelnej informacji.

- Będę się starał. Mimo, że staram się pisać możliwie krótko to i tak zajmuję w gazecie bardzo dużo miejsca.

- Pan posiada bardzo dobry styl pisanja, łatwo się czyta artykuły Pana...

- Cieszę się z tego. Gdyby było inaczej, nikt by tego nawet do połowy nie doczytał. Chodzi mi o to, żeby jednak do końca doszli.

Fakty, które przedstawiam mogą być tylko wtedy nieprawdziwe, jeżeli mnie ktoś potrafił oszukać na tyle, że przyjmę to za prawdę. Sam z siebie, nic nie dodaję. Być może, że trafię kiedyś na jakieś źródło podstępnie nieprawdziwe, a przekonujący. Tylko w ten sposób mógłbym swoich czytelników „wpuścić w malinę”.

Kolejny raz przekazuję informacje o naszych działaniach, celem umieszczenia w „Kurierze Galicyjskim”. Informujemy, iż w wyniku Akcji „Podaruj Znicz na Kresy” zebraliśmy rekordową ilość zniczy – 4021 sztuk. Zostały one przewiezione na Kresy dzień przed ogłoszeniem pandemii grypy w Tarnopolu. Znicze dotarły do Drohobycza, Borysławia, Truskawca, Łanowic oraz Stryja. W dniu 1 listopada na cmentarzach zapłonęło światelko do nieba na grobach tych, którzy na ukończonych Kresach zostali na zawsze.

Uczestnikami akcji były placówki edukacyjne z terenu Bytomia, Chorzowa, Tarnowskich Gór, Raciborza, Piekar Śląskich, Zabrze, Gliwic. Nasze Stowarzyszenie wszystkim ser-

List do redakcji



decznie dziękuje i zaprasza do kolejnej akcji w roku 2010.

Los rodaków, dotkniętych pandemią grypy nie jest nam obojętny.

Stowarzyszenie zorganizowało akcję pomocy medycznej dla rodaków, zamieszkałych na Ziemi Drohobyckiej. Do akcji zaproszono Urząd Miejski w

Bytomiu (strategicznego sponsora, który przekazał 7000 pln. na zakup leków oraz preparatów zabezpieczających), Caritas Diecezji Gliwickiej (zakup preparatów dla starszych osób) Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”, Szpital Chirurgii Urazowej w Piekarach Śląskich (maski, rękawiczki jednorazowe) firma VOIGT (preparaty bakteriobójcze). Akcją na Ziemi Drohobyckiej koordynuje Stacja Caritas Bonifratrów w Drohobyczu. Nasze Stowarzyszenie wspólnie z konwojem Caritas Polska przekazało pomoc medyczną do Drohobycza. Przez nasze Stowarzyszenie pomoc została dowieziona do Medyki, a następnie przekazana do busa, którym przyjechał Prezes

Towarzystwa Kultury Polskiej w Drohobyczu Adam Aurzecki. W dniu 8 listopada pomoc dotarła do najbardziej potrzebujących. Wszystkim uczestnikom pomocy medycznej dla Ziemi Drohobyckiej serdecznie dziękujemy, a poszkodowanym życzymy szybkiego powrotu do zdrowia. Stacji Caritas w Drohobyczu oraz Towarzystwu Kultury Polskiej w Drohobyczu dziękujemy za sprawne wsparcie tak ważnej dla społeczności akcji.

**Alicja Brzan-Kłoś
Przewodnicząca
Stowarzyszenia Przyjaciół
Ziemi Drohobyckiej
Koło Śląskie**

CZŁOWIEK NIE JEST CELEM, ALE MOSTEM – WSPOMNIENIE O DOKTORZE MOSINGU



MARIA BASZA

*Vitam perdidit qui nemini
prodidit*

*(życie zmarnował, kto
nikomu nie pomógł)*

ks. dr Henryk Mosing

Dr med. ks. Henryk Mosing zmarł we Lwowie, 27 listopada 1999 r. Został pochowany w grobowcu rodzinnym na Cmentarzu Łyczakowskim.

Henryk Mosing urodził się we Lwowie 27 stycznia 1910 roku w rodzinie, w której zawód lekarza przechodził w linii męskiej z pokolenia na pokolenie. Oto owi Mosingowie: Józef – prapradziadek, Godfryd – pradziadek, Kazimierz – dziadek, Stanisław – ojciec i Henryk – ich potomek.

Aby uzyskać odpowiednią ilość materiału do prac badawczych, dr Mosing zatrudniał w laboratorium zwykle 35 karmicieli wszy. Wybierał ich często spośród ludzi chorych i starszych. Często zdarzało się, że osoby te nie przychodziły do laboratorium, a to groziło zniszczeniem materiału badawczego. W takich przypadkach potrafił sam nakarmić 40 klatek wszy, podczas gdy przeciętnie na jednego karmiciela przypadało ich około 15. Zarobione pieniądze zanosił zatrudnionym. Głównie te nadliczbowe karmienia stały się przyczyną jego późniejszej choroby nóg.

27-letni dr medycyny

Już jako student Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, Henryk Mosing rozpoczął pracę pod kierownictwem prof. Rudolfa Weigla – odkrywcy mikrometody hodowli zarazków w żywym organizmie wszy dzieżowej i wynalazcy, opartej na tej metodzie, pierwszej skutecznej szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu. Młody Mosing po uzyskaniu dyplomu lekarskiego, w roku 1934, został jego asystentem, oddając się pracy badawczej, której owocem była wyróżniająca się praca pt. „Badania epidemiologiczne i serologiczne nad tyfusem plamistym”. Na jej podstawie w roku 1937 uzyskał stopień doktora medycyny na Uniwersytecie we Lwowie. Przez cztery lata, od 1935 do 1939, był kierownikiem Centralnego Laboratorium Biologicznego Instytutu Higieny w Warszawie,

zachowując nieprzerwany kontakt z prof. Weiglem. Poza epidemiologią schorzeń tyfusu plamistego, sporo czasu poświęcił dr Mosing badaniom nad epidemiologią schorzeń z grupy „Febris quintana” (pięciodniowej gorączki).

W pracy naukowej Henryk Mosing łączył badania epidemiologiczne, przeprowadzane w terenie z pracami laboratoryjnymi. W tym celu z ramienia lwowskiego ośrodka i Państwowego Zakładu Higieny w Warszawie zorganizował ruchomą pracownię epidemiologiczną, której był kierownikiem i sprawował nadzór nad akcją zwalczania epidemii tyfusu i szczepieniami ochronnymi w terenie. Owocem dziesięcioletniej pracy w terenie ognisk tyfusu plamistego była, opracowana wraz z dr. Piotrem Radło, obszerna monografia „Epidemiologia duru osutkowego”. Do wybuchu wojny wydał ponadto kilka drobniejszych artykułów, dotyczących epidemiologii duru plamistego.

Złoty Krzyż Zasługi

Prowadzone badania i publikacje sprawiły, że pod koniec lat 30. dr Mosing był już znanym nie tylko w Polsce, ale i za granicą specjalistą w dziedzinie tyfusu plamistego. W uznaniu zasług, prezydent Rzeczy-



Dr Henryk Mosing

Sam dr Mosing szczepił młodzież, duchownych oraz inne osoby ścigane przez władze okupacyjne i objęte prześladowaniami.

Edward Pleszewski mówi: „Dr Mosing został we Lwowie, by pomagać Polakom, ale służył wszystkim. Nie obchodziły go narodowość, przekonania, wiara. Człowiek cierpiący był dla niego bardzo ważny. Można było przyjść do niego o każdej porze. Uważał, że lepiej dać się oszukać, niż odmówić pomocy. Godził ludzi, małżeństwa. Doprowadził do ołtarza wielu żyjących na tzw. kocią łapę. Był mądry i prosty. Mówił: Człowiek nie jest celem, ale mostem. Przez szacunek do człowieka, jego godności, zbliżamy się do Boga. Ubiarał się skromnie. Nigdy nie brał pieniędzy od pacjentów. Wieśniacy, którym pomagał, ofiarowali mu żywność. Rozdawał ją ubogim i sam się nią żywił”.

Kierownik Instytutu Epidemiologii we Lwowie

W marcu 1944 r. prof. Weigel został zmuszony do opuszczenia Lwowa. Po wkroczeniu wojsk sowieckich, tj. z końcem lipca tegoż roku, dr Mosing objął kierownictwo naukowe Instytutu, któremu nadano nazwę Instytutu Epidemiologii. Stosownie do przepisów sowieckich, w czerw-

cu 1948 r. dr Henryk Mosing uzyskał stopień kandydata nauk medycznych, a w grudniu 1956 r. stopień doktora nauk medycznych Związku Sowieckiego.

Po wojnie oddział tyfusu plamistego był jednym z najważniejszych oddziałów Lwowskiego Instytutu Epidemiologii. Stojąc na jego czele, Henryk Mosing starał się nie tylko podtrzymać tradycje Instytutu prof. Weigla, ale również realizować nowe plany badawcze. Zajmowano się więc nadal masową produkcją szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu i przygotowaniem antygeny dla potrzeb diagnostyki w związku ze wzrostem zachorowań. Oprócz prac, wykonywanych w laboratorium, dr Mosing kontynuował badania terenowe głównie na Ukrainie i Białorusi. Reprezentował ośrodek lwowski i przedstawiał jego osiągnięcia na pierwszej po wojnie konferencji, dotyczącej rikietsjologii w Moskwie. Jego sukcesy, odniesione w walce z tyfusem, zostały nawet zauważone przez władze, które na początku 1946 r. przyznały mu odznaczenie „Отличнику Здравоохранения”.

„Test Mosinga”

Wychodząc z antygenowej próby Weigla, dr Mosing opracował swoisty i łatwy do wykonania test,

Dr Mosing szczególną opieką otaczał ludność polską, pozostałą na ziemiach przodków, jak i tych Polaków, których okrutny system sowiecki rozrzucił po całym swoim terenie. Ofiarnie podejmował opiekę nad bezdomnymi dziećmi, pomagając im w zdobyciu wykształcenia i obraniu drogi życiowej.

który umożliwił wykrywanie w bardzo licznych przypadkach nawrotowej formy tyfusu plamistego. Koncepcja istnienia nawrotowej postaci tyfusu plamistego, jako potencjalnego źródła nowych epidemii, napotkała opór ze strony niektórych sowieckich epidemiologów. Jednakże, w obliczu druzgocących dowodów, została powszechnie przyjęta. Dzięki epidemiologicznej działalności dra Mosinga ogniska epidemii w miejscach sporadycznych, nawrotowych zachorowań na tyfus plamisty zostały w Związku Sowieckim praktycznie zlikwidowane. Tę wielką batalię o prawdę naukową, w imię dobra społecznego Henryk Mosing wygrał ostatecznie w 1973 r. „Test Mosinga” staje się wielkim osiągnięciem w służbie ludzkości. Został wprowadzony do praktyki lekarskiej we wszystkich bakteriologicznych laboratoriach na terenie Ukrainy.

Aby uzyskać odpowiednią ilość materiału do prac badawczych, dr Mosing zatrudniał w laboratorium zwykle 35 karmicieli wszy. Wybierał ich często spośród ludzi chorych i starszych, którzy nie posiadając emerytury, nie mieli z czego żyć. Często zdarzało się, że osoby te nie przychodziły do laboratorium, a to groziło zniszczeniem materiału badawczego. W takich przypadkach, dr Mosing potrafił niejednokrotnie sam nakarmić 40 klatek wszy, podczas gdy przeciętnie na jednego karmiciela przypadało ich około 15. Zarobione pieniądze zanosił zatrudnionym. Głównie te nadliczbowe karmienia stały się przyczyną jego późniejszej choroby nóg.

Osiągnięte wyniki badawcze spowodowały, że laboratorium dra Mosinga i prace tam podejmowane zyskiwały coraz większe uznanie najwybitniejszych uczonych i lekarzy z Ukrainy, Rosji, Białorusi, krajów nadbałtyckich, regionów Azji Środkowej i Zakaukasia, Mołdawii, Polski a nawet krajów zachodnich. Zachowała się księga gości, odwiedzających Lwowski Oddział rikietsjologii, która zawiera liczne wpisy najwybitniejszych uczonych sowieckich, świadczące o niekłamnym podziwieniu dla dra Mosinga i jego współpracowników oraz ich dzieła. Być może przyczyniło się to do tego, że rozporządzeniem (nr 235), wydanym przez Ministerstwo Ochrony Zdrowia ZSRR, dnia 19.II.1960 r., ponownie mianowano dra Mosinga pełniącym obowiązki zastępcy dyrektora do spraw nauki w Instytucie, a 11.II.1961 roku na mocy rozporządzenia Prezydium Rady Najwyższej ZSRR odznaczono go orderem „Знак Почета”. Stanowisko zastępcy dyrektora spełniał jednak tylko przez 5 miesięcy. W latach 60. wyniki badań dra Mosinga zostały uogólnione i upowszechnione w wielotomowym podręczniku z zakresu mikrobiologii i epidemiologii chorób infekcyjnych.

„Anioł, nie człowiek”

Dr Mosing, w bezpośrednim kontakcie, był powściągliwy w słowach i wstrzemięźliwy w wypowiedziach.

dziach, bardzo niechętnie mówił o sobie, ale umiał uważnie słuchać, zawsze przy tym był bardzo taktowny. Miał ogromną intuicję i wyczucie psychologa. Cechował go optymizm i entuzjazm życiowy, skromność i pokora, wielkie serce i wyrozumiałość dla ludzi. Sympatią darzył młodzież, potrafił doskonale się z nią porozumiewać.

Władysław Szczepański wspomina: „Księdza profesora Henryka Mosinga poznałem w połowie lat 70. jako lekarza i oddanego przyjaciela, przychodzącego z pomocą profesorowi Mieczysławowi Gębarowiczowi, u którego, jako jego uczeń często bywałem. Profesor zawsze z ogromnym szacunkiem i z wielkim uznaniem wyrażał się o Henryku Mosingu: „święty człowiek”, „anioł, nie człowiek”, „opatrnościowy człowiek”. Gębarowiczem opiekował się doktor Mosing do końca jego życia. Dla mnie ksiądz profesor był przede wszystkim oparciem moralnym. Potrafił on też wyczuć i docenić wysiłek twórczy, nie tylko w nauce, ale

uwagę skalę zainteresowań i głębię wiedzy, można Henryka Mosinga nazwać człowiekiem stulecia”.

Kapłaństwo

W latach sześćdziesiątych Henryk Mosing uzyskał zezwolenie na wyjazd do Polski. W zrozumieniu jego głębokiego pragnienia i wyczuciu jego niezwyklej osobowości, kardynał Stefan Wyszyński, prymas Polski, w porozumieniu z arcybiskupem metropolitą Karolem Wojtyłą, udzielił Henrykowi Mosingowi święceń kapłańskich.

Powróciwszy do Lwowa, już jako ksiądz, dotychczasową pracę naukową i lekarską zaczął łączyć z posługą kapłańską. Przybrał pseudonim „ojciec Paweł”, rozpoczął swoistą działalność duszpasterską, którą jego przyjaciel prof. Mieczysław Gębarowicz zwykł nazywać „balansowaniem na krawędzi przepaści”.

Bp Leon Mały wspomina: „W każdą sobotę w nocy wyjeżdżaliśmy ze Lwowa, by w niedzielę rano praco-

logii moralnej. Po pewnym czasie kupił mieszkanie, które stało się miejscem tajnych spotkań duszpasterskich oraz gabinetem lekarskim. Wśród uczniów dra Mosinga są profesorowie, doktorzy nauk medycznych, wybitni uczeni i wykładowcy wyższych uczelni medycznych. Wielu utworzyło swoje szkoły naukowe. Jeden z nich – prof. dr K. M. Siniak wspomina: „W nauce prof. Mosing był bezgranicznie uczciwy. Swoich uczniów wprowadzał na szerokie drogi nauki. Wzajemne stosunki między mistrzem a jego uczniami oparte były, z jednej strony, na jego niewzruszonych zasadach, a z drugiej na jego wielkiej życzliwości dla każdego. Żadnemu z nich nigdy nie narzucał swoich poglądów, natomiast zawsze znajdował czas na konsultacje i dyskusje”.

Ksiądz profesor wielu młodych chłopców przygotował do święceń kapłańskich. Jego cicha i wytrwała praca zastępowała w tamtych warunkach seminarium duchowne. Ksiądz Mosing nauczając, pozostawiał młodym ludziom wiele swobody, przede wszystkim szukał u młodych charakteru i stawiał im wysokie wymagania. Była to wyjątkowa szkoła życia, nie wynosiła się z niej wprawdzie oficjalnego dyplomu, ale dawała bardzo wiele, głęboko formując na całe życie. Można tam było dużo się nauczyć, przede wszystkim wartościowania. I co znamienne – profesor potrafił wiele przekazać, używając jednego tylko zdania. Inspirujący przykład nauczyciela miał tu pierwszorzędne znaczenie. Dewizą dla młodych były słowa: „Aduva et ora, disce et labora” (Pomagaj i módl się, ucz się i pracuj).

„Uważał, że mamy służyć Chrystusowi i Kościołowi. Wymagał od nas tej postawy, niekoniecznie w kapłaństwie. Mogliśmy pracować jako katecheci, dawać świadectwo w społeczeństwie” – opowiada bp Leon Mały.

Edward Pleszewski podkreśla, że dr Mosing posiadał wyjątkowy dar modlitwy oraz dyspozycyjności wobec innych ludzi: „Pokazał nam głębię modlitwy różańcowej. To było w czasach, kiedy Kościół był prześladowany i wszystko robiło się w tajemnicy. Wysyłał nas z pomocą do osób samotnych”.

Władysław Szczepański w swoich wspomnieniach pisze: „Henryk Mosing zajmował we Lwowie miejsce wyjątkowe. Swój talent i zdolności poświęcił ludziom – jako naukowiec epidemiolog i lekarz, niosący

z dobrocią i ofiarnością bezinteresowną pomoc chorym, jako opiekun i wychowawca kilku pokoleń młodzieży na Kresach Wschodnich i wreszcie jako podróżujący kapłan, służący bliźnim, znany jako ojciec Paweł. Od czasów młodości jego dewizą życiową stała się łacińska maksyma moralna: „Vitam perdidit qui nemini prodidit” (życie zmarnował, kto nikomu nie pomógł). Lekarz, wysoce wykształcony humanista o szerokich horyzontach, rozległej wiedzy i erudycji, człowiek o głębokiej kulturze duchowej, przy tym – uosobienie niespotykanej dobroci, wielkiej prostoty i pogody ducha, subtelny i wrażliwy na potrzeby drugiego człowieka. Przez całe życie służył ludziom dobrym słowem i czynem. Jego pasja zawodowa i powołanie zawsze robiły na mnie duże wrażenie. Można powiedzieć, że pomoc lekarska, niesiona przez niego zawsze z radością, była misją miłosierdzia. Godna podziwu i naśladowania była głęboka wiara i zaufanie Bożej Opatrzności, stanowiące, moim zdaniem, fundament jego działań”.

Edward Pleszewski mówi: „Z perspektywy lat uświadamiam sobie tę służbę, jego heroiczne czyny i sposób bycia. Nie każdy potrafi odmówić sobie wszystkiego. Zniżał się do maluczkich, a jednocześnie dorównywał tym najwyższemu postawionym. Wspominam go jako tego, który był bardzo bliski, ale też daleki i niezrozumiały”.

Ks. Mosing pomagał księżom na Ukrainie i w Mołdawii. Wyjeżdżał do Stawropolskiego Kraju, na Kaukaz, do Kazachstanu, Tbilisi. W 1992 r. na jego nogach pojawiły się rany. Już nie opuszczał mieszkania, ale ciągle przyjmował pacjentów. 6 grudnia 1994 r. dotknął go paraliż. 13 listopada 1999 r. odprawił ostatnią Mszę św. 27 listopada 1999 r. dr Mosing odszedł do wieczności.

W wystosowanym na ręce metropolity lwowskiego – abpa Mariana Jaworskiego telegramie Jan Paweł II napisał m.in.: „Powierzamy Bogu duszę człowieka sprawiedliwego, gorliwego pasterza i wytrwałego misjonarza, oddanego bez reszty Chrystusowi i ludziom. Z wielką gorliwością jako lekarz i kapłan pełnił swą pasterską misję od wschodniej Ukrainy aż po Kaukaz i Syberię”.

Czego uczy jego życie?

Władysław Szczepański pisze: „W tym miejscu przytoczę kilka krótkich wypowiedzi księdza profesora na różne tematy, które mi szcze-

gólnie utkwiły w pamięci. Sądzę, że mogą one w jakimś stopniu przybliżyć osobowość tego niezwykłego człowieka, posiadającego dar prawdziwej mądrości.

- Współczesny naukowiec dużo wie, ale mało rozumie. Ciekawe, że dziś przy tak wysoko rozwiniętej technice coraz mniejszą rolę odgrywa myślenie.

- Bez słów można zostać świętym, ale bez uczynków nie.

- Umiemy prosić, ale nie potrafimy dziękować.

Można by zadać pytanie – czego uczy jego życie? Co ten człowiek uczynił ze swego życia i co potrafił dać na każdym odcinku działania i w każdej z dziedzin, które w tak cudowny sposób potrafił połączyć. Niełatwo jest mówić o człowieku o tak bogatej osobowości. Ksiądz prof. Henryk Mosing wszystkie swoje działania poświęcił Prawdzie i ludziom. Szukał prawdy naukowej i służył Prawdzie Najwyższej bezinteresownie przez długie lata, jako wybitny uczyony i lekarz bez reszty

Totalitarne bestialstwo, terror i budowanie życia na kłamstwie, co stanowiło istotę minionego ustroju, nie potrafiły zniszczyć jego ducha. Systematyczna, uczciwa praca i radykalizm ewangeliczny w działaniu, były istotą życia księdza prof. Henryka Mosinga.

oddany ludziom, jako ksiądz-misjonarz, dając świadectwo wiary w warunkach wrogiego nastawienia do Kościoła. Człowiek o wysokiej kulturze intelektualnej i moralnej całe swe życie podporządkował służbie chorym i potrzebującym. Sercem oddany nie tylko Polsce, ale i wszystkim ludziom.

„Totalitarne bestialstwo, terror i budowanie życia na kłamstwie, co stanowiło istotę minionego ustroju, nie potrafiły zniszczyć jego ducha. Sądzę, że tradycja polska i wiara na naszych dawnych Kresach przetrwały dzięki takim właśnie ludziom, jak ksiądz Henryk Mosing, którzy byli tam autorytetem, oparciem moralnym, drogowskazem i wzorem postępowania. Systematyczna, uczciwa praca i radykalizm ewangeliczny w działaniu, były istotą życia księdza prof. Henryka Mosinga. Wszystko to wywołuje głęboki szacunek dla tak jednoznacznej postawy, która jest dla nas przykładem tego, że można pracować w każdych warunkach, a przy tym tak wiele z siebie dać w służbie ludziom i pozostać do końca sobą. Bowiem największą wartością, jaką człowiek może po sobie zostawić, jest tylko dobro i to, jakim się było dla innych. Stanowi to głęboki sens działania każdego człowieka” – zakończył swoje wspomnienia Władysław Szczepański.

Henryk Mosing zajmował we Lwowie miejsce wyjątkowe. Swój talent i zdolności poświęcił ludziom – jako naukowiec epidemiolog i lekarz, niosący z dobrocią i ofiarnością bezinteresowną pomoc chorym, jako opiekun i wychowawca kilku pokoleń młodzieży na Kresach Wschodnich i wreszcie, jako podróżujący kapłan, służący bliźnim, znany jako ojciec Paweł.

i w innych dziedzinach. Był też dla mnie ojcem duchownym – niezwykle ciepłym i wymagającym”.

Ks. dr Henryk Mosing odwiedzał chorych we Lwowie i daleko poza jego granicami. Na początku lat 80. widziałem, jak troskliwie opiekował się ciężko chorą dr Marią Chmielowską, – pisze Władysław Szczepański. Nieco później odwiedzał sparaliżowanego księdza prawosławnego – ojca Aleksandra, na górnym Łyczakowie. Towarzysząc mu niejednokrotnie przy takich odwiedzinach, ze wzruszeniem obserwowałem, jak wiele serca i współczucia potrafił okazywać ludziom cierpiącym. Ktoś z uczniów profesora tak do mnie powiedział: „Ten człowiek jest jak góra lodowa – tak mało o nim wiemy, znając tylko drobną część jego działalności – reszta jest niewidoczna”.

Bp Leon Mały wspomina: „Ks. Chomicki z Murafy opowiadał, że kiedyś zachorował. Poradono mu, żeby pojechał do doktora. Chciał zapłacić, ale ten nie wziął pieniędzy. Powiedział: Ja też chcę, żeby księży byli zdrowi”.

Prof. Mosing cieszył się dużym autorytetem i uznaniem w różnych kręgach i wśród różnych narodowości. Rosjanie mówili o Nim „prawiednik”, czyli człowiek prawy i świętobliwy, który żyje w zgodzie z zasadami moralnymi. Warto tutaj przytoczyć wypowiedź profesora medycyny i pisarza Borysa Ugriumowa z Kijowa, który napisał o prof. Henryku Mosingu: „Mosing kieruje się sumieniem, miłością do ludzi, wielkim sercem”, a w innym miejscu tego samego artykułu: „Biorąc pod

uwagę na parafiach. W poniedziałek po powrocie odprawił Mszę św. Pacjenci byli od rana do wieczora. W przerwie odmawialiśmy brewiarz, różaniec. Wykładał nam teologię i filozofię. Następnego dnia wyglądał tak samo, około 6.00 była pobudka, a o 6.30 – Msza św. We środę i czwartek chodziliśmy do chorych. W piątek była Droga Krzyżowa, a w sobotę – przygotowania do wyjazdu”.

Mimo iż dr Mosing nigdy nie krył swoich poglądów, szczególnie dotyczących spraw wiary, władze nie zdecydowały się na to, aby go za nie otwarcie prześladować. Przemierzano jego osiągnięcia w dziedzinie walki z tyfem plamistym. Pominięto go podczas obchodów 100-lecia urodzin Lenina w 1970 r., kiedy to innym przyznano wysokie odznaczenia. Podobnie było trzy lata później, w marcu 1973 r. w Kiszyniowie, gdzie zgłoszony przez niego wykład nie znalazł się w programie zjazdu. Mimo to, sformułowana przez niego teoria o „recydywnym” (nawrotnym) pochodzeniu zachorowań na dur plamisty została tam ostatecznie potwierdzona.

Wychowawca młodzieży

W maju 1973 r. z powodu postępującej utraty wzroku, nadwężonego głównie pracami przy mikroskopie, dr Mosing przeszedł na emeryturę. Brał on jednak jeszcze przez jakiś czas udział w dokończeniu dwóch rozpoczętych projektów badawczych we współpracy z Instytutem Chemii Organicznej Akademii Nauk USSR.

W instytucie, gdzie mieszkał, uczył chłopców łaciny, greki i teo-

Prof. Henryk Mosing cieszył się dużym autorytetem i uznaniem w różnych kręgach i wśród różnych narodowości. Rosjanie mówili o Nim „prawiednik”, czyli człowiek prawy i świętobliwy, który żyje w zgodzie z zasadami moralnymi. Profesor medycyny i pisarz Borys Ugriumow z Kijowa, napisał o prof. Mosingu: „Mosing kieruje się sumieniem, miłością do ludzi, wielkim sercem”, a w innym miejscu tego samego artykułu – „biorąc pod uwagę skalę zainteresowań i głębię wiedzy, można Henryka Mosinga nazwać człowiekiem stulecia”.

Brat Głównego Atamana – Aleksander Petlura oficerem Wojska Polskiego



DR STANISŁAW STĘPIEŃ
dyrektor Południowo-
Wschodniego Instytutu
Naukowego w Przemyślu

Niepowodzenie wspólnej polsko-ukraińskiej wyprawy kijowskiej przeciwko bolszewikom w 1920 r. spowodowało, że na terytorium ówczesnego państwa polskiego znalazło się spowodowało ponad 20 tysięcy żołnierzy ukraińskiej Republiki Ludowej. Było wśród nich ok. 4 tysięcy oficerów tejże armii. Początkowo ukraińscy żołnierze zostali rozlokowani w kilku obozach internowania. Jednakże po podpisaniu przez Polskę w 1921 r. traktatu ryskiego z Rosją bolszewicką, obozy miały być stopniowo rozwiązane. Prostym żołnierzom łatwiej było znaleźć jakieś płatne zajęcie, gdyż podejmowali się oni prac fizycznych. Gorzej było z kadrą oficerską, tym bardziej, że wielu jej przedstawicieli było już w poważnym wieku.

Młode polskie państwo tworząc swą armię potrzebowało kadry dowódczej, ukraińscy oficerowie mieli ukończone rosyjskie szkoły oficerskie, a wielu nawet akademie wojskowe. Mieli także duże doświadczenie bojowe. Najpierw przyjęto więc do Wojska Polskiego, będących w podobnej sytuacji jak Ukraińcy, oficerów gruzińskich. Na Ukraińcach ciążył jednak konflikt o Lwów i Galicję Wschodnią, choć wprawdzie nie Ukraińcy z Naddnieprza walczyli z Polakami, ale nie wszyscy w Polsce zdawali sobie z tego sprawę.

Początkowo traktowano więc, podoficerów i oficerów ukraińskiej Republiki Ludowej z pewną rezerwą. Nie mniej rozmowy na ten temat rozpoczęto już w 1921 r. Początkowo starano się wykorzystać ich do służby organizowanego wywiadu. Wiadomo, że takie przeszkolenie przeszedł już w 1921 r. kpt. Petro Samytn, zatrudniony następnie jako oficer kontraktowy WP. Przed zamachem majowych Ukraińców przyjmowano do Wojska Polskiego głównie na etaty administracyjne i instruktorskie. Takie stanowiska mieli np. ppłk Serhij Iwanczyszyn na poligonie WP w Biedrusku k. Poznania, sierż. Teodor Cholewka w Szkole Podchorążych Piechoty w Warszawie. Niektórych zatrudniano na odcinku cywilnym, np. już jesienią 1922 r. kierownikiem obserwatorium astronomicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego został gen. Mykoła Kowal-Medzwecki.

Sprawa uległa radykalnej zmianie po 1926 r. kiedy na wniosek następcy zamordowanego w Paryżu Atamana Głównego Symona Petlury – Andrija Liwyckiego, Marszałek Józef Piłsudski wyraził zgodę na przyjęcie do szkół ofi-

cerskich, z Wyższą Szkołą Wojenną włącznie, około 100 żołnierzy byłej armii URL oraz na wsparcie finansowe na szkolenia dalszych 700 oficerów, z generałami włącznie. Wówczas ponad 60 z nich przyjęto jako oficerów kontraktowych do Wojska Polskiego. Wśród nich znalazł się rodzony brat Atamana Głównego Symona Petlury.

Kim był Aleksander (Oleksandr) Petlura?

Urodził się on 29 sierpnia 1888 roku w Połtawie, w rodzinie mieszczańskiej, jako najmłodszy syn dwanaściorga dzieci Wasyla i Olgi Petlurów. Ojciec był drobnym przedsiębiorcą dorożkarskim, a matka, zajmowała się domem i wychowaniem dzieci. Główną troską rodziców było zapewnienie bytu materialnego i wykształcenia dla licznej rodziny. Aleksander po ukończeniu miejscowej szkoły cerkiewnej, podobnie jak wcześniej jego brat Symon, podjął naukę w połtawskim Seminarium Duchownym. Kariera duchownego lub nauczyciela, do czego przygotowywało seminarium, widocznie nie bardzo mu odpowiadała, zaś na kontynuowanie studiów rodzice nie mieli pieniędzy, dlatego



Aleksander (Oleksandr) Petlura, Kalisz 1921 r.



Kalisz 1924 r.

też Aleksander po ukończeniu 4 klas zdecydował się w 1910 r. na wstąpienie ochotniczo do armii rosyjskiej. Po krótkim pobycie w wojsku został skierowany do 3. Kijowskiej Szkoły Podchorążych, którą ukończył w 1915 r. i został mianowany podporucznikiem. Nie został jednak skierowany na front, lecz do szkolnictwa wojskowego. Początkowo był zastępcą oficera kursowego, a w 1916 r. został dowódcą plutonu Szkoły Podoficerskiej, a w roku następnym dowódcą kompanii.

W tym czasie z inicjatywy ukraińskich działaczy niepodległościowych dochodzi w Kijowie do zwolania w

dniach 18–21 maja 1917 r. do I Ukraińskiego Zjazdu Wojskowego. Jego uczestnicy wypowiadają się za ukraińską stacjonującą na Ukrainie oddziałów rosyjskich, w których większość stanowili żołnierze narodowości ukraińskiej. Na zjeździe tym uczestniczący z ramienia Ukraińskiego Komitetu Wojskowego Frontu Zachodniego brat Aleksandra – Symon został wybrany na przewodniczącego 18-osobowego Generalnego Komitetu Wojskowego (działającego pod auspicjami ukraińskiego naczelnego przedstawicielstwa narodowego – Centralnej Rady). Aleksander decyduje się wówczas na

wstąpienie do organizującej się armii ukraińskiej. W czerwcu 1917 r. zostaje przydzielony do 1. Pułku Piechoty im. hetmana Doroszenki. Gdy jednak pod koniec 1917 r. wobec niekończących się permanentnych sporów w Centralnej Radzie i Generalnym Sekretariacie dochodzi do poważniejszej różnicy zdań, głównie na tle organizacji ukraińskiej armii i stosunku do państw centralnych, zwolennik rokowań z państwami Ententy – sekretarz generalny do spraw wojskowych Symon Petlura składa rezygnację z zajmowanej funkcji. Miało to bezpośredni wpływ na karierę Aleksandra. Jako brat opozycjonisty zostaje rozkazem dowódcy 1. Korpusu Ukraińskiego gen. Pawła Skoropadskiego zdemobilizowany. Nie rezygnuje jednak z działalności wojskowej, na zaproszenie brata udaje się w styczniu 1918 r. na Ukrainę Słobodzką, gdzie Symon rozpoczął organizację kozackich oddziałów ochotniczych. Zostaje tam oficerem sztabowym do-

wództwa doborowego Hajdamackiego Kosza Słobodzkiej Ukrainy. Wraz z oddziałem tym pod koniec stycznia 1918 r. wyruszył na pomoc opanowanego przez bolszewików Kijowa. Niestety mimo zdobycia stolicy nie udało się jej utrzymać. Po podpisaniu przez ukraińską Republikę Ludową 8 lutego 1918 r. pokoju z państwami centralnymi. Obaj bracia jako zwolennicy Ententy na znak protestu wycofują się z służby wojskowej nie rezygnując jednak z działalności cywilnej na rzecz budowy państwowości ukraińskiej. Symon zaangażował się w pracę Związku Ziemstw, a Aleksander 12 kwietnia 1918 r. zostaje komisarzem rządowym miasta i powiatu Chorol na Połtawszczyźnie. Nie pełnił tej funkcji zbyt długo, bo już 28 kwietnia t.r., gen. Pawło Skoropadski obalił republikę powołując monarchiczny Hetmanat p.n. Państwo Ukraińskie. Mimo krytycznego stosunku do monarchizmu Aleksander decyduje się na powrót do służby wojskowej. Hetman Skoropadski był bowiem zwolennikiem budowy ukraińskich sił zbrojnych, a w związku z tym istniało zapotrzebowanie na kadrę oficerską. W sierpniu 1918 r. Aleksander zostaje nawet awansowany do stopnia porucznika.

Pełne możliwości służby wojskowej otworzyły się przed nim jednak dopiero po obaleniu hetmana Skoropadskiego i ponownym przywróceniu ukraińskiej Republiki Ludowej (14 listopada 1918). Na czele ukraińskich sił zbrojnych stanął wówczas na powrót jego brat Symon jako Główny Ataman. Aleksander nie pełnił wprawdzie wysokich funkcji w armii ukraińskiej, ale zawsze były to bardzo odpowiedzialne z punktu militarnego i państwowego stanowiska. W lutym 1919 r. został oficerem łącznikowym w sztabie Frontu Prawobrzeża, zaś 1 kwietnia tegoż roku został przeniesiony na to samo stanowisko do Kosza Huculskiego. W lipcu 1919 r. otrzymuje awans na kapitana i obejmuje stanowisko adiutanta przy Głównej Komendzie Wojsk URL.

Na wiosnę 1920 r. wobec wyraźnych postępujących w rokowaniach polsko-ukraińskich dochodzi do reorganizacji armii ukraińskiej i Aleksander Petlura przechodzi do 3. Dywizji Żelaznej na stanowisko dowódcy kompanii. Wydaje się, że na stanowisku bojowym bardziej się sprawdzał niż w pracy sztabowej, toteż w czasie wspólnej polsko-ukraińskiej wyprawy na Kijów pod koniec kwietnia 1920 r., został awansowany do stopnia podpułkownika i mianowany dowódcą batalionu we wspomnianej 3. Dywizji.

Po podpisaniu przez Polskę preliminariów pokojowych w Rydze w październiku 1920 r. wojska ukraińskie postanowiły w osamotnieniu kontynuować walkę. Aleksander Petlura walczył wówczas w składzie głównych sił (7. i 9. brygada) pod dowództwem płk. Pawła Szndruka, jako dowódca kompanii. Wobec klęski militarnej wojsk URL wraz z 3. Dywizją przechodzi Zbrucz i zostaje w Polsce internowany. Do 1925 r. przebywał w obozie w Kaliszu, aktywnie pracując na niwie kulturalnej i społecznej. Był m.in. członkiem Ukraińskiego Towarzystwa

Ze względu na uwarunkowania wynikające z traktatu ryskiego, a nie wykluczone także, że w trosce o własne bezpieczeństwo (po śmierci brata), Aleksander Petlura przyjął za radą władz wojskowych nazwisko Chorolski.

Wojenno-Historycznego, współtwórcą i przewodniczącym Towarzystwa Literacko-Artystycznego „Weselka”, wydającego pod redakcją znanego poety Jewhena Małaniuka, czasopismo artystyczne pod taką samą nazwą.

Gdy, jak już wspomniano, po zamachu majowym i dojściu do władzy Józefa Piłsudskiego stworzyły się nowe możliwości zwiększenia kontyn-

bę na etacie majora. Ze względu na uwarunkowania, wynikające z traktatu ryskiego, a nie wykluczone także, że w trosce o własne bezpieczeństwo (po śmierci brata), przyjął za radą władz wojskowych nazwisko Chorolski. Nawiązał w ten sposób do nazwy, wspomnianego wcześniej, miasteczka Chorol na rodzinnej Połtawszczyźnie, gdzie w 1918 r. był komisarzem rządowym. Został skierowany do 1. Pułku

naszych oficerów, a wśród nich kapitana (sotnika) Hołowania, który dostał skierowanie do 1 pułku artylerii [lekkiej]. Poradziłem mu zaraz pojechać do Wilna i zwrócić się do Pana, aby być pod Pana nadzorem do 1 lipca. Proszę Pana, Panie Pułkowniku, wobec obcych traktować go jako Pańskiego gościa, aby przez ten czas mógł unikać niepotrzeb-

który nie odegrał jednak większej roli w działaniach bojowych. Aleksandrowi Petlurze udało się szczęśliwie uniknąć niewoli niemieckiej i radzieckiej. Pod koniec 1939 r. konspiracyjnie zamieszkał w Chełmie. Tam wkrótce zawarł związek małżeński z pochodzącą ze Stanisławowa nauczycielką Ireną Witkowską. Była ona rodzoną siostrą Iwanny Witkowskiej żony jego siostrzeńca Stepana Skrypnika przed-

okupacyjnych. Aleksander Petlura jako były oficer Wojska Polskiego mógł być podejrzany o współpracę tak z polską partyzantką, jak i z ukraińską Armią Powstańczą, która w tym czasie przystąpiła do akcji antyniemieckich. Groziło mu aresztowanie. Ponadto na jego położenie w środowisku ukraińskim niekorzystnie wpływał fakt, że odgrywający coraz większą rolę w Kościele prawosławnym jego siostrzeńiec – Stepan Skrypnik, już wówczas wyświęcony na biskupa, uchodził za zdecydowanego przeciwnika OUN, zwłaszcza kierunku banderowskiego). Postanowił więc na postawie fałszywych dokumentów ukryć się we Lwowie, gdzie wyjechał wraz z rodziną w grudniu 1943 r. Po kilku miesiącach przeniósł się jednak do Warszawy, gdzie miał wielu znajomych i przyjaciół.

Ze względu na zbliżający się front radziecki w trosce o rodzinę tuż przed wybuchem Powstania Warszawskiego zdecydował się opuścić Polskę. W porozumieniu z wieloma ukraińskimi emigrantami politycznymi wyjechał do Bratysławy. Ze Słowacji wraz z innymi uciekinierami, w tym także siostrzeńcem bp. Mściślawem oraz jego córką i jej mężem udali się do Poczdamu, a następnie do Offenbachu, gdzie zastał go koniec II wojny światowej. Znalazł się w amerykańskiej strefie okupacyjnej. Kolejnymi przystankami rodziny Petlurów były obozy dla uchodźców w Mainz-Kastel (przebywali tam dwa lata) i Pforzheim, skąd w połowie 1950 r. dzięki pomocy przebywającego już od jesieni 1947 r. w Winnipegu siostrzeńca abp. Mściśława (Stepana Skrypnika) udali się do Kanady. Zamieszkali w domu metropolity w miejscowości Grimsby (Ontario).

Aleksander Petlura pracował fizycznie na farmie, a także współpracował z założonym przez abp. Mściśława miesięcznikiem „Cerkwa i Narid” (Kościół i naród). Wkrótce dosięgła go, już od pewnego czasu dająca o sobie znać, choroba nowotworowa. Zmarł 4 marca 1951 r. Został pochowany na cmentarzu w Toronto. Na jego mogile wysiłkiem współtowarzyszy broni i ukraińskiej emigracji w Kanadzie ustawiono pomnik w kształcie petlurowskiego Krzyża Wojennego.

Po zamachu majowym i dojściu do władzy Józefa Piłsudskiego stworzyły się nowe możliwości zwiększenia kontyngentu oficerów kontraktowych narodowości ukraińskiej w Wojsku Polskim. Aleksander Petlura od dawna nosił się z tym zamiarem, dlatego też nie wyjechał z Polski, mimo rozważania takiej możliwości. W międzyczasie doszła do niego tragiczna wiadomość o zabójstwie 25 maja 1926 r. w Paryżu jego brata Symona. Przeżył ją boleśnie zarówno z powodów rodzinnych, jak i narodowych.

Zmarł 4 marca 1951 r. Został pochowany na cmentarzu w Toronto. Na jego mogile wysiłkiem współtowarzyszy broni i ukraińskiej emigracji w Kanadzie ustawiono pomnik w kształcie petlurowskiego Krzyża Wojennego.

Fotografie zostały udostępnione przez Południowo-Wschodni Instytut Naukowy w Przemyślu. Pochodzą ze zbiorów prywatnych syna Aleksandra Petlury Wołodymyry.



Aleksander Petlura - oficer Wojska Polskiego, 1928 r.

gentu oficerów kontraktowych narodowości ukraińskiej w Wojsku Polskim. Aleksander Petlura od dawna nosił się z tym zamiarem, dlatego też nie wyjechał z Polski, mimo rozważania takiej możliwości. W międzyczasie doszła do niego tragiczna wiadomość o zabójstwie 25 maja 1926 r. w Paryżu jego brata Symona. Przeżył ją boleśnie zarówno z powodów rodzinnych, jak i narodowych. Wroga Ukrainie prasa francuska i sowiecka usiłowały bronić zabójcy, przedstawiając jego czyn jako odwet za pogromy żydowskie spowodowane przez wojska URL. W tej sytuacji powstało w Polsce Towarzystwo im. Symona Petlury powołane do obrony jego imienia, a także domagające się ujawnienia prawdy o pogromach. Aleksander Petlura wszedł wówczas w skład zarządu oddziału Towarzystwa w Kaliszu, na czele którego stanął gen. Hawryło Bazylski.

Mając nadzieję na rychłe przyjęcie do służby wojskowej, próbował, mieszkając w Kaliszu, dorywczo zarabiać na życie, cały czas pozostając w ścisłym kontakcie z kierownictwem politycznym emigracji ukraińskiej w Polsce, a zwłaszcza powstałym jesienią 1926 r., za zgodą marszałka Józefa Piłsudskiego, sztabem ministra spraw wojskowych URL, kierowanym przez gen. Wołodymyry Salskiego. Czekał na możliwość uzyskania odpowiedniego dla siebie etatu w Wojsku Polskim intensywnie uczył się języka polskiego, studiował literaturę wojskową. Jako cudzoziemiec musiał na wstąpienie do armii polskiej uzyskać zezwolenie Prezydenta RP. Nadeszło ono 26 stycznia 1928 r. Po odbyciu krótkoterminowego przeszkolenia, na którym zapoznał się z regulaminami i organizacją Wojska Polskiego, podpisał kontrakt na długoterminową służ-

Piechoty Legionów w Wilnie. Musiał dobrze wywiązywać się ze swych obowiązków, skoro już po kilku miesiącach służby powierzono mu dnia 21 września 1928 r. w zastępstwie funkcję dowódcy III Batalionu. Pełnił ją do 4 kwietnia 1929 r., a następnie do 1935 r. służył tam jako oficer sztabowy pułku. Ponieważ przełożeni, tak polscy jak i ukraińscy (Aleksander cały czas utrzymywał stały kontakt z gen. Salskim, jako szefem sztabu ministra spraw wojskowych URL) dostrzegali jego umiejętności dowódcze i w związku z tym przewidywali go w obsadzie na wyższe stanowiska, został w 1935 r. skierowany na kurs dowódców batalionów w Centrum Wyszkolenia Piechoty Wojska Polskiego w Rembertowie. Po zgłoszeniu się do Centrum przesłał następujący list gen. Wołodymyrowi Salskiemu:

*Wielce Szanowny
Panie Generale!*

Melduję, że dnia 24 czerwca rozpocząłem naukę na kursie w Rembertowie. Przydzielono mnie do grupy dyplomowanych majorów i kapitanów, co będzie dla mnie trudne, bo wymogi jako do ludzi z wyższym wykształceniem będą większe i będę musiał ich doganiać.

*Ze szczerym szacunkiem.
O. Chorolski*

Po ukończeniu kursu powrócił do 1. Pułku Piechoty w Wilnie i objął stanowisko dowódcy batalionu. Ukraiński sztab generalny powierzał mu także opiekę nad młodszymi oficerami ukraińskimi przyjmowanymi do Wojska Polskiego. Gen. Salski dnia 8 czerwca 1935 r. pisał do niego:

Informuję, że 1 lipca bieżącego roku zakontraktowano trzech



Aleksander Petlura z synem Wołodymyrem, Krynica 1944 r.

nych trudności z administracją, a także proszę instruować go odnośnie całego jego przyszłego życia. Zwyczajnie do 1 lipca nikt nie powinien wiedzieć, dlaczego on jest w Wilnie. On sam ma jak najmniej demonstrować, a siedzieć i uczyć się. Oczywiście potrzebna mu będzie Pana pomoc w sprawie uszycia odzieży. W ogóle dałem mu wskazówki trzymać z Panem kontakt.

*Z prawdziwą dla Pana powagą,
Wołodymyry Salski
generał-chorąży
Sztabu Generalnego*

Aleksander Petlura musiał brać udział w różnych ukraińskich uroczystościach narodowych, akademiach z okazji kolejnych rocznic śmierci brata Symona, a także różnych uroczystości organizowanych przez ukraińską emigrację w Polsce. Robił to jednak delikatnie i tam gdzie było możliwe anonimowo, jako major Wojska Polskiego Aleksander Chorolski. Część zarobionych pieniędzy systematycznie przekazywał na ukraińskie cele narodowe i działalność charytatywną. Za swą działalność wojenną został odznaczony Krzyżem Rycerskim im. Symona Petlury.

Po wybuchu wojny polsko-niemieckiej, walczył w kampanii wrześniowej na czele swojego batalionu,

wojennego posła do Sejmu RP (późniejszego biskupa, a następnie prawosławnego patriarchę Mściśława).

Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej (22. 06. 1941 r.) i ustąpieniu wojsk radzieckich z Wołynia, wraz z żoną przeniósł się do Równego, gdzie zamieszkał przy ul. Koszyca 3. Osiedlenie się tam rodziny Petlurów nastąpiło z inicjatywy Stepana Skrypnika, który w sierpniu 1941 r. wspólnie z pisarzem Ułasem Samczukiem oraz znanym przedwojennym ukraińskim wydawcą Iwanem Tyktorem, założył we Lwowie, a następnie przeniósł do Równego redakcję gazety „Wołyń”. Redakcję przekształcono w wydawnictwo pod taką samą nazwą, które oprócz wspomnianej gazety wydawało dwa inne czasopisma: „Ukraiński Chliborob” (Ukraiński rolnik) oraz „Orłenia” (Orlątko), a także szereg popularnych publikacji z zakresu historii, religii i życia społecznego Ukraińców. Aleksander Petlura w wydawnictwie tym pełnił funkcję kierownika administracyjnego. W 1942 r. urodził mu się syn Wołodymyry.

W Równem Petlurowie mieszkali do jesieni 1943 r. Ostra walka między dwoma frakcjami Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów – banderowcami a melnykowcami paraliżowały tamtejsze życie społeczne, do tego doszła antypolska akcja ukraińskiej Powstańczej Armii na terenie Wołynia. Wzrastał terror niemieckich władz

IZABELA FAC

„Ajnu” znaczy człowiek. A dokładniej „prawdziwy człowiek”, „prawy człowiek”. Ajnowie to niemal wymierająca już ludność w północnej Japonii. Ale kiedyś zamieszkiwali rozległy obszar prawdopodobnie od południowej części Półwyspu Kamczatka, poprzez wyspy Archipelagu Kurylskiego, Sachalin, Hokkaido, aż po region Tohoku na głównej wyspie Archipelagu Japońskiego – Honshu. I chyba niewielu Polaków wie, że największe zasługi w badaniach nad dziejami i kulturą Ajnów ma... Bronisław Piłsudski. Brat Marszałka Józefa Piłsudskiego pozostawał w cieniu. Jednak świat naukowy doskonale wiedział kim był ten „król Ajnów”. Do dziś jest bardzo ceniony w Japonii i wymieniany w tamtejszych podręcznikach szkolnych.

SACHALIN

Wyrastał w niezwykle patriotycznej i rodzinnej atmosferze Żułowa, majątku Piłsudskich. Nie przypuszczał, że losy rzucą go w daleki świat, do ludzi, którym też odbierano ziemię, język, kulturę. Urodzony w 1866 r. najpierw uczył się w domu, potem wileńskim gimnazjum. Ostatecznie maturę zdał w Petersburgu i zapisał się na Wydział Prawa tamtejszego uniwersytetu. Po roku studiów w 1887 r. został aresztowany wraz z bratem za pomoc w organizacji zamachu na cara Aleksandra III. Skazano go na karę śmierci, którą później zamieniono na 15 lat katorgi na Sachalinie.

„Żegnajcie do XX stulecia” – pisał w liście pożegnalnym do ojca z petersburskiego więzienia. Pierwsze miesiące pobytu na Sachalinie były „istnym piekłem”. Z czasem jednak ułożył sobie w miarę możliwości życie na katordze. Początkowo zajmował się karczowaniem lasu, potem jako jeden z nielicznych wykształconych zesłańców, został przydzielony do pracy w kancelarii więziennej. Zaczął także interesować się „botaniką, chociaż nauka idzie mozolnie, a zbieranie zielnika jest trudne” – informował ojca. Zaczął też prowadzić obserwacje meteorologiczne. Rezultatem była pierwsza publikacja Bronisława zatytułowana „Raporty z obserwacji pogody we wsi Rykowskoje w 1895 roku”. Dzięki nim zajął się budową stacji meteorologicznych na Posterunku Korsakowskim oraz w osadzie Gałkino-Wrasskoje. Napisał także instrukcję dla nich, gdzie zwracał uwagę na fizjografię, warunki geologiczne i morfologię terenu.

W tym okresie był już dość znanym badaczem. I dlatego niemal równocześnie z pracami meteorologicznymi, powierzono mu... gromadzenie etnograficznych eksponatów dla nowo utworzonego muzeum w Aleksandrowsku. I to by przełom w jego sachalińskim życiu...

Całkowite poświęcenie się pracom etnograficznym pozwoliły Bronisławowi na pozbycie się dręczącej go nostalgii za rodziną i skierowanie się ku innym, często jeszcze bardziej krzywdzonym ludziom.

KRÓL AJNÓW

Obcowanie z rdzenną ludnością Sachalinu przyniosło zaintereso-

BYŁ TEŻ BRONISŁAW...

Portret Bronisława Piłsudskiego

wanie jej kulturą. „Marząc stale o powrocie do Ojczyzny [...] odczuwałem naturalną skłonność do tubylców Sachalinu, jedynych tutaj ludzi, którzy żyli szczere przywiązanie do tego kraju, będącego miejscem ich zamieszkania od niepamiętnych czasów, nienawidzonych przez tych, którzy utworzyli tutaj kolonie karną” – wspominał po latach. Najpierw badał i gromadził folklor Niwchów i Ororków. Starał się ulżyć ich ciężkiemu losowi. Uczył ich młodzię języka rosyjskiego, popularyzował nowe formy gospodarki. Otrzymał od nich miano „starszego brata – Akan”.

Potem byli Ajnowie. Do dzisiaj lud ten pozostał tajemniczy. Pochodzenie Ajnów i ich przynależność rasowa jest zagadką, przedmiotem wielu naukowych tez i sporów. Dotyczy to również ich języka, którego na co dzień nikt już nie używa. Prawdziwych Ajnów, czystej krwi, żyje obecnie może ze 100. Historia tej ludności jest już zamknięta. Pozostały skanseny, stroje, muzea i... prace Bronisława Piłsudskiego.

Pierwsze prace nad Ajnami trwały krótko, ponieważ korzystając z rekomendacji Komitetu Badania Kraju Amurskiego, został zatrudniony w muzeum we Władywostoku jako kustosz. Jednak nie wytrzymał długo... Ciągnęło go do tych ludzi, „którzy zostali zdeptani przez nowych przybyszów”. Wrócił na Sachalin i pozostał tu z kilkumiesięczną przerwą do 1905 r. Tutaj też założył rodzinę, żeniąc się z córką ajnuskiego wodza, która urodziła mu syna Sukezo i córkę Kyo. Do dzisiaj żyją w Japonii jego potomkowie, którzy doskonale wiedzą kim był ich dziadek.

Piłsudski zebrał do 10 tys. wyrazów ajnuskich, po kilka tysięcy wyrazów Niwchów i Ororków, bajki, legendy, pieśni, podania, mnóstwo fotografii oraz kolekcję

niemienia” o Marszałku objął również jego brata. Jednak nie dla świata naukowego. Szczególnie pamiętano o nim w Japonii. Na początku lat 80 – tych postanowiono odczytać walki fonograficzne z folklorem Ajnów. Bronisław był jednym z pierwszych uczonych, który wykorzystał edisonowski wynalazek w historii folklorystyki. W 1983 r. kolekcję walków przewieziono z Poznania do Japonii. Istniał już wtedy Międzynarodowy Komitet dla Ocalenia i Oceny Spuścizny Naukowej Bronisława Piłsudskiego, który za główny cel miał odczytanie walków.

WSCHODNIA SPUŚCIZNA

Losy kolekcji Bronisława były fatalne. Najpierw odmawiał opublikowania jej w Rosji i po rosyjsku. Muzeum we Władywostoku, gdzie pracował, przekazał herbarium flory południowoussuryjskiej. Muzeum nabyło też kolekcję etnograficzną charakteryzującą kulturę Niwchów sachalińskich, którą prezentowano na Światowej Wystawie w Paryżu i gdzie została sprzedana.

Po powrocie Piłsudski nie był w stanie opracować przywiezionych bezcennych materiałów. Ciągłe problemy finansowe i zdrowotne odsuwały tę możliwość. Po jego śmierci kolekcja została praktycznie bez opieki i uległa rozproszeniu lub wręcz zniszczeniu.

Część z tego, co ocalało przed II wojną światową zdeponowano w Instytucie Wschodnim w Warszawie.



Krzyż z symbolicznej mogiły na Pęksowym Brzyzku w Zakopanem

nagrań fonograficznych. Opublikował wiele artykułów w różnych językach, ale zdołał wydać tylko jedną książkę: „Materiały do studiów nad językiem i folklorem Ajnów”. Był najbardziej kompetentnym Europejczykiem, który zrozumiał i opisał Ajnów i ich język. I miał szczęście, że mógł z nimi rozmawiać, słuchać ich muzyki... Zaprzyjaźnił się z nimi, nauczył języka i został nauczy-

zbiory zostały uporządkowane i zinventaryzowane. Mimo apeli o ich opracowanie, zgłaszanych przez środowiska naukowe, nie udało się tego dokonać. Poszczególne eksponaty pozostały w rękach różnych ludzi w Polsce i za granicą. W czasie II wojny światowej kolekcja została niemal doszczętnie unicestwiona. Czasy komunistyczne nazwisko „Piłsudski” starały się wymazać z pamięci narodu. „Nakaz zapo-

mnienia” o Marszałku objął również jego brata.

Jednak nie dla świata naukowego. Szczególnie pamiętano o nim w Japonii. Na początku lat 80 – tych postanowiono odczytać walki fonograficzne z folklorem Ajnów. Bronisław był jednym z pierwszych uczonych, który wykorzystał edisonowski wynalazek w historii folklorystyki. W 1983 r. kolekcję walków przewieziono z Poznania do Japonii. Istniał już wtedy Międzynarodowy Komitet dla Ocalenia i Oceny Spuścizny Naukowej Bronisława Piłsudskiego, który za główny cel miał odczytanie walków.

Dokonał tego zespół specjalistów z Instytutu Elektroniki Stosowanej Uniwersytetu Hokkaido pod kierownictwem prof. Toshimitsu Asakury. Dzięki wieloletnim działaniom, wykorzystaniu techniki laserowej, zdołano odczytać zapisane na walkach dźwięki. Dopelnieniem prac Komitetu było szereg przedsięwzięć z zakresu biografistyki, etnografii, religii, folklorystyki, językoznawstwa, epistolografii. Przyjęto także program edycji „Dzieł zebranych” Piłsudskiego. Z planowanych 7 dwa ukazały się w 1998 r.

Dzięki doskonałej współpracy z mediami japońskimi postać Bronisława zaczęła być znana także całemu społeczeństwu. Dowodem jest owe 19 stron poświęconych mu w podręczniku szkolnym języka japońskiego. I dziecięcy musical, napisany na podstawie odczytanych zapisów fonograficznych. Zaczęły się odbywać konferencje w Sapporo w 1985 r., czy Južno – Sachalińsku w 1991 r.

Legenda katorznika i zesłańca nierozzerwalnie spleciała się z dziejami sachalińskich ludów. W 1991 r. odsłonięto jego pomnik w Južno – Sachalińsku, który stoi przed Muzeum Krajoznawczym. Wizyta przed nim i w Muzeum jest obowiązkowym elementem miejscowego ceremoniału weselnego...

Sachalin – piekielna wyspa – stała się jego drugą ojczyzną. Jednak na początku XX stulecia wrócił do pierwszej. Na dalszą tułaczkę... Wrócił poprzez Japonię i USA w 1906 r. i osiadł w Galicji. Mieszkał w Krakowie, Zakopanem i Lwowie, podróżował, studiował na europejskich uczelniach. Jednak wytyśk-niony powrót okazał się pasmem niustannych problemów.

ZAKOPIAŃSKA DZIAŁALNOŚĆ

Do Galicji przyjechał ze świadomością, że może nie otrzymać pracy w instytucji naukowej. Ten światowej sławy etnograf nie miał tytułu naukowego, co niezwykle utrudniało mu kontakty ze światem uniwersyteckim. Jednak dla polskiej etnografii zrobił więcej, niż niejeden pracownik uniwersyteckich katedr.

Piłsudski dzięki doświadczeniom wyniesionym z Sachalinu doskonale wiedział, jakie znaczenie ma gromadzenie zabytków etnograficznych. Często był to wyścig z czasem i ludzką niewiedzą. Dlatego dla Muzeum Tatrzańskiemu, którego był członkiem – założycielem, chciał stworzyć europejskie standardy. Zorganizował Sekcję Ludoznawczą Towarzystwa Tatrzańskiego. Tym

Izabela Fac, absolwentka historii i dziennikarstwa Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie i Uniwersytetu Rzeszowskiego, doktorantka Uniwersytetu im. Kardynała S. Wyszyńskiego w Warszawie; dziennikarz, należy do Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich oraz Polskiego Klubu Dziennikarzy i Pisarzy Turystycznych (polski oddział Światowej Federacji Dziennikarzy i Pisarzy Turystycznych).



działaniom przyświecał jeszcze inny cel. „...Stworzenie potężnej, żywej placówki ludoznawczej na Podhalu będzie ogromną dźwignią w skonsolidowaniu narodu rozdzielonego sztucznymi, narzuconymi nam granicami politycznymi...” – pisał, wskazując na zadania etnografii wobec narodu bez państwa.

W 1913 r. Piłsudski podczas pobytu w Brukseli napisał memoriał o przyszłości działu ludoznawczego w muzeum w Zakopanem. I choć pisał go dla placówki zakopiańskiej, to jednak śmiało można mówić o wytycznych dla wszystkich muzeów. Z czasem jego wizjonerskie projekty zrealizowano w Zakopanem, oraz wykorzystywano w licznych polskich muzeach etnograficznych, zwłaszcza po II wojnie światowej...

„Muzeum musi być naukową, stojącą na poziomie współczesnej wiedzy pracownią, w której mogliby zawodowi etnografowie pracować nie dorywczo, ale systematycznie...”. Słowa te napisał ponad 100 lat temu, ale są aktualne do dziś. Stąd można o mówić o nim, że był prekursorem polskiej muzeologii etnograficznej. Przed I wojną światową ten znakomity badacz był niewątpliwie najbardziej wszechstronnym muzealnikiem na ziemiach polskich.

Piłsudskiemu zawdzięczamy także powołanie pierwszego na Podhalu periodyku najwyższym poziomie naukowym. „Rocznik Podhalański” to jego marzenie, jego dzieło. Zebrał i przygotował do druku artykuły do pierwszego wydania. Niestety nie było mu dane wziąć do ręki swego „dziecka”. Pierwszy numer wyszedł już po jego śmierci. Ale czytelnicy i redakcja nigdy nie zapomnieli o wadze jego dokonania.

PRZYJACIEL GÓRALI

Bronisław swoje zainteresowanie kierował w stronę badań etnograficznych wśród polskich górali z Podtatrza, zarówno z części galicyjskiej, jak i węgierskiej – Spiszu i Orawy. Przeszedł w poprzek całą Słowację, docierając w okolice dzisiejszej Bratysławy.

Chodził o chałupy do chałupy. Spisywał sowa i zwroty gwarowe, teksty pieśni, sporządzał opisy i rysunki domostw, narzędzi, sprzętów i ubiorów. Jak niegdyś wśród sachalińskich Niwchów, Giliaków, Ajnów. Dokonywał zakupów eksponatów do zbiorów Muzeum Tatrzańskiego. W sumie nabył 168 obrazów, głównie z Podhala, Orawy i Zagórza. Inspirował innych do takiej działalności.

Bardzo szybko zorientował się, że polskiej ludności z terenów Górnych Węgier grozi unicestwienie

narodowe i biologiczne. Stąd tak jak kiedyś na Dalekim Wschodzie zaangażował się w pomoc tej ludności. Ich losem zainteresował wielu działaczy, zajmujących się budzeniem świadomości narodowej wśród polskich górali na Spiszu i Orawie. Nakreślone przez niego kierunki prac kolekcjonerskich, badawczych i kolekcjonersko – wystawienniczych dotyczących tych terenów realizowano jeszcze wiele lat po jego śmierci.

POLITYK?

Przez cały czas pobytu na Sachalinie i potem w Galicji, Bronisław utrzymywał ścisły kontakt z bratem Józefem. Mieszkał u niego w Krakowie... A podczas wspólnych górskich wypraw zjednywał polskich górali do dla akcji militarnej brata. Górali, „którzy nie bardzo orientowali się w zagadnieniach socjalizmu, lecz bardzo chcieli się bić o Polskę” – powiedział po latach o swych tatrzańskich żołnierzach Marszałek. Byli z nim dzięki jego bratu.

W 1914 r. sytuacja Bronisława po raz pierwszy od powrotu z Sachalinu ustabilizowała się. Został sekretarzem Sekcji Etnograficznej Akademii Umiejętności w Krakowie ze stałą pensją. Niestety. Zamach w Sarajewie rozpętał nad Europą wojenną burzę. Zniweczył plany Bronisława. Zagrożony ewentualnym aresztowaniem jako poddany rosyjski musiał opuścić Galicję.

Jako emisariusz zagraniczny Naczelnego Komitetu Narodowego wyjechał do Wiednia, potem w Rapperswilu w Szwajcarii. I tu poznawał, badał, wykladał, dyskutował... Współpracował z wydawnictwami encyklopedycznymi, opracowując tematy litewskie. Jednak nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Nie rozumiał politycznych kłótni... Z rozpaczą śledził konflikt zbrojny. Niszczącą groźbę wojny poznał podczas walk rosyjsko-japońskich i nienawidził jej.

Jesienią 1917 r. wyjechał do Paryża. Niepokoił się o los uwięzionego brata. Tutaj znalazł się w samym środku konfliktu w polskim środowisku. Starł się go łagodzić, równocześnie kontynuując prace naukowe. Jednak stan jego zdrowia stale się pogarszał, narastała depresja, wahania nastrojów, lęki, obsesje... W południe 17 maja 1918 r. skoczył w nurty Sekwany z Pont des Arts koło Luwru. Pochowano go na polskim cmentarzu w Montmorency.

W 2000 r. na Zakopiańskim Cmentarzu Zasłużonych na Pęskowym Brzysku ufundowano mu symboliczną mogiłę.

KG

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU NA PROJEKT POMNIKA NA WZGÓRZACH WULECKICH

JURIJ SMIRNOW

Sprawa powstania pomnika pomordowanych na Wzgórzach Wuleckich profesorów polskich znajduje się na dobrej drodze. 2 listopada 2009 r. polsko-ukraińskie jury jednogłośnie przyznało I miejsce projektowi krakowskiego profesora Aleksandrowi Śliwie. Drugą nagrodę przyznano projektowi Jarosława Smolaka i Mariusza Kosiby z Wrocławia, zaś trzecią – Markowi Moderau z Warszawy. Specjalną nagrodą odznaczono projekt artystów Olecha Trofymenki i Dmytra Sorokewycza ze Lwowa.

W sumie wyróżniono sześć najlepszych prac konkursowych. Sąd konkursowy w składzie profesora **Tadeusza Lutego**, byłego rektora Politechniki Wrocławskiej, **Adolfa Juzwenki** – dyrektora Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, rektora Politechniki Lwowskiej prof. **Jurija Bobały** i dyrektora Katedry Historii Ukrainy na Uniwersytecie Lwowskim prof. **Jarosława Hrycaka** postanowił, że „do wykonania ostatecznego projektu pomnika należy powołać zespół, składający się z artysty polskiego, który otrzymał pierwszą nagrodę oraz autorów ze Lwowa, którzy zostali odznaczeni za najlepsze rozwiązanie, dotyczące architektury przestrzeni i terenu, przyległego do pomnika”.

Projekt prof. Aleksandra Śliwy nosi nazwę „Dekalog”. Głównym elementem pomnika jest kamienna brama, zbudowana z bloków, noszących numery dziesięciu przykazań. Regularność tej konstrukcji jest naruszona na przykazaniu piątym. Prof. T. Luty powiedział, że jury „dostrzegło w tym projekcie wybitne naczelną wartość w życiu człowieka oraz sugestię, że naruszenie jednego z elementów dekalogu burzy spójność i całościowość sensu istnienia. Poza tym, brama to odwieczny symbol przejścia z życia doczesnego do wieczności. Na drugim planie artysta umieścił pogniecioną kartkę w formie, kojarzącym się z Mojżeszowymi tablicami i z niemieckim słowem „Rozstrzelać!” w nagłówku. To chyba obraz potwornego zniknięcia dekalogu, jakiego dopuszczają się niekiedy ludzie”.

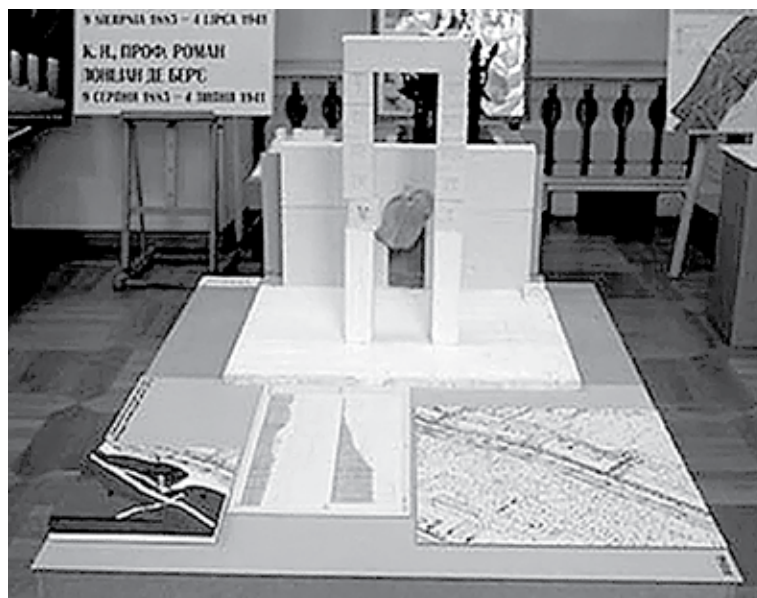
Otóż, powstanie pomnik w kształcie architektonicznym, który powinien stać się dominantą krajobrazu Wzgórz Wuleckich i wybudowanych dookoła akademików Politechniki Lwowskiej. Prawdopodobnie nie przewidywano figuralnych rzeźb, umieszczenia postaci lub popiersi rozstrzelanych profesorów. Na pomniku będzie też napis w języku ukraińskim na górnej belce. Jak objaśnił prof. Luty „to studenci (ukraińscy) będą pomnik najczęściej oglądać... Ma być widoczny z okien akademików”. Nie widzieliśmy w redakcji jeszcze precyzyjnego projektu, dlatego nie wiemy, czy będą wymienione na pomniku nazwiska wszyst-

kich zamordowanych profesorów oraz członków ich rodzin. Sąd konkursowy i polskie media z Wrocławia na razie nie podają takiej informacji.

Konkurs wywołał spore zainteresowanie w Polsce i we Lwowie. Zgłoszono 28 prac, w tym osiem prac przysłali artyści ukraińscy. Wcześniej Jan Andrzej Dąbrowski – prezes zarządu Kolegium Europy Wschodniej we Wrocławiu i koordynator projektu budowy pomnika informował, że było aż 60 zgłoszeń, w tym 17 z Ukrainy. Na pewno, nie wszyscy zdążyli na czas. Tenże J. A. Dąbrowski w wywiadzie dla polskich mediów podkreślił, iż „jednoznaczne świadectwo historycz-



Prof. Aleksander Śliwa



Projekt pomnika pomordowanych na Wzgórzach Wuleckich profesorów polskich

ne mówi o tym, że profesorów lwowskich i ich rodziny aresztowali Niemcy i Niemcy ich rozstrzelali”. On również informuje, że wystawa pokonkursowych projektów będzie organizowana we Wrocławskim Ossolineum i we Lwowie. W Polsce już faktycznie ruszyła publiczna zbiórka pieniędzy. Przewidywano też zbiór środków we Lwowie na finansowanie budowy pomnika. Będzie również organizowana konferencja naukowa we Lwowie. Jest nadzieja, że pomnik powstanie już w 2010 roku, a jego uroczyste otwarcie nastąpi 4 lipca. Beata Maciejewska, dziennikarka „Gazety Wyborczej” podkreśla, że pomnik „będzie pierwszym monumentem niezwiązanym z bohaterami lub historią ukraińską, wzniesionym we Lwowie po odzyskaniu przez Ukrainę niepodległości”.

Pomnik powstanie z inicjatywy prezydenta Wrocławia Rafała Dutkiewicza i mera Lwowa Andrija Sadowego. Ich dążenie do budowy pomnika poparł Komitet Wykonawczy Lwowskiej Rady Miejskiej i Urząd Miejski Wrocławia. Część pieniędzy na budowę pomnika przekażą władze Wrocławia, który ma na ten cel rezerwę budżetową w wysokości 900 tys. złotych. Pozostałe wydatki, w zależności od ostatecznej wartości pomnika pokryje Lwowska Rada Miejska.

Autor zwycięskiego projektu Aleksander Śliwa mieszka w Krakowie. Jest znanym i cenionym artystą-rzeźbiarzem. Brał udział w międzynarodowych sympozjach rzeźby w

kamieniu i drewnie. W jego dorobku znajduje się realizacja wszystkich detali architektoniczno-rzeźbiarskich do „Sali Konstytucji” Zamku Królewskiego w Warszawie (1980), rzeźby sakralne m. in. w polskim kościele w Ealingu w Londynie (1998), w Elblągu (1992 r.), „Św. Faustyna” w Łagiewnikach (1997), figura „Chrystus – brama w III-tysiącletcie” w Książnicach Wielkich (2000), nagrobek dla rektora ASP W. Kunza w Krakowie, na Cmentarzu Rakowickim. Jest on też laureatem licznych nagród, wyróżnień, złotego medalu na Międzynarodowym Biennale im. Dantego w Ravnice (1985), wyróżnienia w konkursie na pomnik O. Kolberga (Warszawa, 1988). Wygrał też konkurs na pomnik Papieża Jana Pawła II w Stargardzie Szczecińskim (2006 r.). Lista twórczych prac profesora zajmuje kilka stron w Internecie. Mamy nadzieję, że lwowski pomnik pomordowanych profesorów pod względem artystycznym będzie dostojnym kontynuowaniem sukcesów twórczych artysty, zaś władze miejskie Lwowa i Wrocławia dołożą wszelkich starań dla jego realizacji, w pełnym zakresie i bez opóźnień, zgodnie z zaplanowanymi wcześniej terminami. Redakcja „Kuriera Galicyjskiego” postara się uzyskać bardziej dokładne informacje, dotyczące projektu pomnika i opinię autora lub członków jury.

Jest nadzieja, że pomnik powstanie już w 2010 roku, a jego uroczyste otwarcie nastąpi 4 lipca.

KG

- TO JEST BARDZO WAŻNA, NASZA WSPÓLNA INICJATYWA...

Z dr. hab. IHOREM CEPEN-
DĄ – prorektorem do spraw
międzynarodowych Uniwer-
sytetu Przykarpackiego im.
Wasyla Stefanyka w Iwano-
Frankiwsku (d. Stanisławowie)
rozmawiał MARCIN ROMER

- Panie Rektorze, Uniwersytet Przykarpacki współpracuje z wieloma instytucjami naukowymi w Polsce już od wielu lat, proszę przybliżyć nam formy tej współpracy, a także określić, jakie cele im przyświecają?

- W ciągu ostatnich lat zaczęła się bardzo ścisła współpraca między Narodowym Uniwersytetem Przykarpackim im. Wasyla Stefanyka w Iwano-Frankiwsku a polskimi uniwersytetami i ośrodkami badawczymi, które podejmują temat współpracy między Polską a Ukrainą oraz rozpatrują problematykę integracyjną Unii Europejskiej i NATO.

Przez ostatnie pół roku intensywnie współpracujemy z Instytutem Nauk Politycznych Polskiej Akademii Nauk odnośnie realizacji wstępnych projektów dotyczących analizy bezpieczeństwa energetycznego, ponieważ od wielu lat problem ten jest aktualny i ściśle związany z rurociągiem Odessa – Brody – Płock. Ta właśnie arteria przesyłu ropy jest bardzo ważna z punktu widzenia bezpieczeństwa energetycznego, tak dla Ukrainy jak i dla Polski.

Zdecydowany nacisk kładziemy na współpracę z uniwersytetami. Mamy już niemal zamknięte pod względem merytorycznym rozszerzone umowy z Uniwersytetem Warszawskim i Jagiellońskim.

Współpraca z Uniwersytetem Warszawskim przebiega w różnych aspektach i na różnych wydziałach. Na naszym uniwersytecie mamy filologię polską - od wielu lat nasi studenci polonistyki wyjeżdżają na staż na Uniwersytet Warszawski i odwrotnie, studenci ukrainistyki Uniwersytetu Warszawskiego przyjeżdżają na półroczny staż do nas.

Oprócz tego od dwu lat sukcesywnie działa Szkoła Młodych Politológów, która utworzona jest między naszymi uniwersytetami. Uczęszczają do niej nie tylko studenci naszego uniwersytetu, ale również innych uniwersytetów ukraińskich. Absolwenci szkoły wysoko oceniają jej działalność, ponieważ wykładowcy zarówno po stronie ukraińskiej jak i polskiej są niekwestionowanymi fachowcami w swej dziedzinie, co daje możliwość naszym młodym politologom lepiej rozumieć zachodzące w dzisiejszym świecie procesy polityczne.

Nie można nie wspomnieć w tym miejscu o działalności Studium Europy Wschodniej i o jego dyrektorze w osobie pana Jana Malickiego, który od lat kształci kadry, nie tylko naukowe, dla naszej uczelni, ale również dla innych uniwersytetów Wschodniej Europy. Wielu naszych profesorów jest absolwentami Studium Europy Wschodniej, które działa od początku lat 90.

Jeśli chodzi o Uniwersytet Jagielloński, to współpraca jest bardzo zaawansowana, zwłaszcza naszych biologów, którzy przez ostatnie dwa lata bardzo aktywnie pracują na bazie ekspery-



mentalnej Uniwersytetu Jagiellońskiego i prowadzą bardzo ciekawy projekt pilotażowy. Na uwagę zasługują także nasi naukowcy, szczególnie dydaktycy z metodyki nauczania języka angielskiego. Wspólnie z katedrą Metodyki Języka Angielskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim, po raz pierwszy w tym roku, opracowano specjalny program dla studentów-magistrów naszego uniwersytetu, którzy po ukończeniu studiów otrzymają specjalny certyfikat Uniwersytetu Jagiellońskiego - specjalność język angielski.

- Jest Pan mocno zaangażowany w odbudowę legendarnego już obserwatorium astronomicznego zwanego „Białym Słoniem”. To obserwatorium na górze Pop Iwan w Karpatach, było przed II wojną światową jednym z najnowocześniejszych w Europie.

- To jest naprawdę bardzo ambitny projekt, ponieważ od lat nikt się nie zajmował tym obserwatorium. Od 1939 roku przestało istnieć i działać ze względu na wybuch II wojny światowej. Po wojnie też nie udało się go odnowić i tak mija już prawie 70 lat od tego czasu. Wspólnie z Uniwersytetem Warszawskim podjęliśmy decyzję,

żeby wznowić działalność tego obserwatorium. Prawdę mówiąc, patrząc tak z punktu widzenia astronomicznego, jak i naukowego, najlepsze obserwatoria świata znajdują się obecnie w południowej Ameryce. Teraz jest tam najlepszy klimat i badacze mogą lepiej obserwować konstelacje gwiazdne.

Natomiast po wstępnych rozmowach z wybitnymi badaczami w dziedzinie astronomii, doszliśmy do wniosku, że może to być bardzo dobra baza dydaktyczna dla przyszłych astronomów i pod tym względem to obserwatorium będzie spełniało funkcję dydaktyczną dla polskich i ukraińskich studentów. Mamy też sporo bardzo interesujących projektów badawczych dotyczących roślinności Karpat, dlatego też chcemy, żeby uniwersytety polski i ukraiński wspólnie przeprowadzały eksperymenty w tej dziedzinie a także na polu etnograficznym i archeologicznym tego

Weszliśmy już w fazę dwustronnych relacji, w której nie musimy ciągle analizować, dlaczego nie udało się nam na pewnych etapach, ale powinniśmy szukać tego, co nas łączy, bo tylko na tym można konstruktywnie budować trwałe wartości.



Obserwatorium astronomiczne „Biały Słoń”

regionu. Już działają ekspedycje archeologiczna i etnograficzna na tym terenie i mógłby powstać taki właśnie ośrodek etnograficzno-archeologiczny w tym miejscu. Oczywiście zdajemy sobie sprawę z tego, że w takich warunkach klimatycznych nie będzie on działać przez cały rok, jak to było kiedyś jeszcze za czasów II Rzeczypospolitej. Jesteśmy realistami, chcemy więc, żeby ten ośrodek działał od maja do września. Ze względu na funkcję, jaką ma spełniać, jest to świetny okres, ponieważ studenci będą mogli tam pracować w czasie wakacji i letnich praktyk.

Najważniejsze jest to, że wznowienie najmniejszej nawet działalności obserwatorium wiąże się z dużymi nakładami finansowymi. Dlatego wspólnie z Uniwersytetem Warszawskim i dzięki poparciu Rządu i Prezydentów obu państw projekt ten został faktycznie dołączony do projektu Centrum Spotkań Młodzieży Polskiej i Ukraińskiej w Mikułyczynie. Patrzymy na ten projekt, jak na nasz wspólny. Mikułyczyn byłby jedynym ośrodkiem, gdzie mogliby się spotykać studenci z polskich, ukraińskich i oczywiście europejskich uniwersytetów, ośrodek na górze Pop Iwan drugim. Liczymy na wsparcie finansowe ze strony Unii Europejskiej, dlatego razem z Uniwersytetem Warszawskim pragniemy założyć fundację. W każdym razie projekt ten jest już mile widziany tak ze strony rządu Ukrainy jak i Polski, ponieważ w czasie ostatniej wizyty Prezydenta Ukrainy Wiktora Juszczenki w Polsce, we wrześniu sprawa ta była tematem prowadzonych rozmów. Nie jesteśmy więc skazani li tylko na siebie.

- Uniwersytet Przykarpacki dwukrotnie, wspólnie z redakcją „Kuriera Galicyjskiego” przeprowadzał międzynarodowe konferencje. Pierwszy raz, rok temu, podejmowaliśmy temat „Unii Hadziackiej”, a w październiku br. tematem

wspólnej konferencji był „Sojusz Piłsudski-Petlura”. Szukamy tematów łączących. Otwierając ostatnią konferencję powiedział Pan, że najczęściej historycy polscy i ukraińscy spotykają się przy okazji tzw. pytań trudnych, natomiast mało kto pamięta o tym, że były też inne momenty i warto je przypominać.

- To jest bardzo ważna nasza wspólna inicjatywa, dzięki której powstają nowe relacje między historykami polskimi i ukraińskimi, gdyż wreszcie tematem spotkań przestały być sprawy bardzo bolesne dla obu stron. A to co minęło, zapisało się już w historii i trzeba o tym pamiętać, aby więcej nie popełniać tych samych błędów. Weszliśmy już w fazę dwustronnych relacji, w której nie musimy ciągle analizować, dlaczego nie udało się nam na pewnych etapach, ale powinniśmy szukać tego, co nas łączy, bo tylko na tym można konstruktywnie budować trwałe wartości.

Pod tym względem te dwie konferencje miały bardzo ważne znaczenie, ponieważ uważam, że otworzyły one bardzo ważną i pożyteczną dla obu społeczeństw dyskusję na temat tego, że skoro jesteśmy skazani na bycie sąsiadami, to musimy szukać nie tego, co nas dzieli, ale właśnie tego, co łączy.

Dwa sąsiadujące słowiańskie narody muszą zrobić coś nowego i wnieść swój wkład do nowej Europy. Jeżeli będziemy razem i wspólnie realizować te projekty, to rzeczywiście Ukraina i Polska o wiele więcej będzie w stanie zrobić dla Europy, tak by poczuła się ona Jediną Wspólnotą.

Początek był bardzo dobry, reakcje naukowców, polityków i społeczności świadczą o tym, że jesteśmy na dobrej drodze i idziemy w dobrym kierunku. Oczywiście, chcemy i nadal będziemy realizować wspólne projekty i w roku następnym. Chcielibyśmy wspólnie z redakcją „Kuriera Galicyjskiego” zrealizować projekt, który przeanalizowałby nasze współczesne relacje i pokazał miejsce Ukrainy w Europie. W maju chcemy wspólnie przeprowadzić konferencję, która będzie poświęcona ważniejszym problemom z życia politycznego, gospodarczego i kulturalnego Ukrainy i Polski.

Profesor Stanisław Sławomir Nicieja i jego nowa książka „Kresowe Trójmiasto”

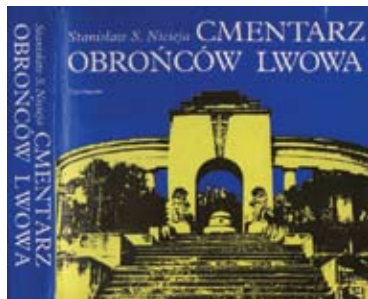
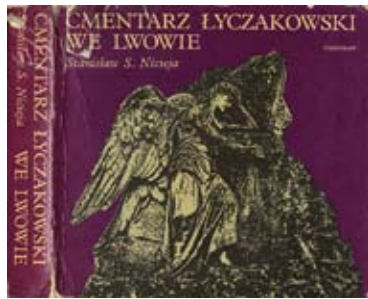


JURIJ SMIRNOW

Na początku lat 80. przypadkiem spotkałem na Cmentarzu Łyczakowskim młodego sympatycznego Polaka. Okazało się, że to świeżo doktoryzowany naukowiec z WSP w Opolu – Stanisław Sławomir Nicieja, który zbiera materiały do monografii tegoż cmentarza. Praca ta pochłonięła go całkowicie, trwała kilka lat i była naprawdę pracą pionierską. Z dnia na dzień pan Stanisław (wtedy po prostu Staś) z rana pracował w archiwach lub bibliotekach lwowskich, zaś po południu – na Cmentarzu Łyczakowskim. Tylko samych zdjęć wykonał 15000 tysięcy! A wtedy nie było jeszcze nowoczesnych aparatów cyfrowych! Najpierw eseje jego drukowano w odcinkach w miesięczniku „Opole” (26 szkiców), a w 1988 poważna wrocławska instytucja Ossolineum wydała monumentalną monografię „Cmentarz Łyczakowski we Lwowie w latach 1786-1986”. Ta praca przyniosła autorowi nie tylko odpowiednie stopnie akademickie, ale również uznanie i nazwisko, znane w całej Polsce.

We wprowadzeniu do monografii podany został krótki życiorys naukowy autora, w którym czytamy: „Stanisław Sławomir Nicieja, historyk-biograf, docent w Instytucie Historii WSP w Opolu, jest autorem kilkuset artykułów naukowych, popularno-naukowych, publicystycznych recenzji oraz kilku książek m.in. „Julian Leszczyński - Leński. Biografia” (1979), „Zamek w Dąbrowie Niemodlińskiej. Historia-architektura – współczesność” (1981), „Opolska Alma Mater” (1985), „Adam Próchnik. Historyk-polityk-publicysta” (1986). Laureat nagrody im. Ludwika Waryńskiego (1987). Popularyzator historii najnowszej, wyróżniony m. in. nagrodami tygodników „Itd.”, „Razem” oraz miesięcznika „Opole”.

Minęły jeszcze dwa lata i prace badawcze we Lwowie zaowocowały nową unikatową książką – „Cmentarz Obrońców Lwowa”. Powiem szczerze, dawno to było, wiele wody upłynęło, niemało książek polskich i ukraińskich autorów o tych cmentarzach lwowskich napisano, lecz monografie Nicieji nadal są nie tylko aktualne, ale najlepsze w swojej tematyce. Autor zrobił ogromną i całkiem zasłużoną karierę. Już w 1990 r. był on profesorem, stypendystą Fundacji Lanckorońskich, laureatem nagrody I stopnia Ministra



Edukacji Narodowej, nagród im. Juliusza Ligonja „Życia literackiego” i „Problemów”. W ciągu dwóch lat jego „Cmentarz Łyczakowski” stał się bestsellerem. T. Nałęcz pisał o nim w „Kulturze”: Jest w pisarstwie Nicieji coś z żarliwości apostoła wielkiej sprawy. Coś co sprawia, że nie sposób odłożyć jego książkę bez przeczytania do ostatniej strony. Do lektury zachęca bowiem nie tylko interesująca narracja, ale także pewne zobowiązanie moralne wobec tej tak wielkiej narodowej nekropolii, z którą życie obeszło się tak po macoszemu. Obojętność wobec tej książki równałaby się swego rodzaju współudziałowi w znowie, skazującej Łyczaków na ruinę i zapomnienie (...) Rzadko kiedy jeden człowiek potrafi sam w ważnej sprawie uczynić tak wiele...

Monografie o cmentarzach lwowskich, zwłaszcza o Cmentarzu Orłąt, który Stanisław Nicieja nazwał polskim Campo Santo, uczyniły jego imię znanym również wśród Polonii na całym świecie. Odczyty i spotkania autorskie w Paryżu i w Londynie, listy z tak odległych stron, jak Hawaje, Toronto, Melbourne, Caracas, Lima, Chicago od przedstawicieli diaspory lwowskiej, są tego najlepszym dowodem. Czyż nie było to uznanie, którego by wystarczyło na całe życie? Ale nie. Na laurach nie spoczywał i nie spoczywa. U Stanisława Nicieji były bardzo szerokie plany. Czuł się na siłach, aby podbijając ciągle nowe szczyty. Nie trzeba było długo czekać. Z jego inicjatywy i przy bezpośrednim udziale skrom-



Stanisław Sławomir Nicieja (od lewej) i Jerzy Janicki



Z ekipą TVP na Cmentarzu Łyczakowskim w 1999 r. podczas kręcenia filmu dokumentalnego „Opowieści Cmentarza Łyczakowskiego”. Od lewej Jerzy Oleszkowicz - dyrektor Rzeszowskiego Oddziału TVP, Jerzy Janicki - reżyser, Stanisław Sławomir Nicieja - scenarzysta i komentator, NN, Bogdan Skiba - dźwiękowiec, za kamerą Henryk Janas - operator

na polska WSP transformowała się w Uniwersytet. Pierwszym, później długoletnim rektorem, wybrany został oczywiście profesor Nicieja. On nie wtrąca się specjalnie do polityki, lecz widzimy go też na fotelu senatora Rzeczypospolitej V Kadencji. Po latach senatorstwa w Warszawie, znów Opole, znów ukochany Uniwersytet, znów jest rektorem. Przez cały czas praca naukowa, publicystyczna, nowe książki, eseje, nowe nagrody - tygodnika „Polityka” i „Gloria Artis”.

Los przygotował dla niego spotkanie z niezwykle, legendarnym człowiekiem Jerzym Janickim – lwowiakiem z Warszawy, reżyserem, scenarzystą, filmowcem, publicystą, „dla którego Lwów i cała Galicja były mikrokosmosem, źródłem fascynacji, nostalgii, narkotycznego kolekcjonerstwa Kresowych pamiątek”. To Jerzy Janicki wciągnął Stanisława Nicieję w swoje filmowe i reżyserskie realizacje na Kresach. Tak powstał, np. dziesięcioczęściowy film „Twierdza Kresowe Rzeczypospolitej” o Krzemieńcu, Brzeżanach, Chocimiu, Jazłowcu, Kamieńcu Podolskim, Okopach Świętej Trójcy, Olesku, Podhorcach, Trembowli, Zbarażu i Żółkwi. Tak powstał film „Legenda Orłąt lwowskich” o dziejach budowy, dewastacji, profanacji

i odbudowy Cmentarza Orłąt, czy też sześcioczęściowe „Opowieści Cmentarza Łyczakowskiego”.

Proszę zwrócić uwagę, że Nicieja nie ma korzeni lwowskich lub kresowych. Urodził się w Strzegomiu, w rodzinie, wywodzącej się spod Wadowic, do liceum chodził w Świdnicy, studiował w Opolu i jak napisał Janicki: „miał stosunek do Lwowa nijaki, ot taki sobie, powiedzmy – turystyczny”. Wszystko jednak zmieniło się, kiedy stanął na lwowskim bruku, kiedy przekroczył próg lwowskiego Ossolineum i bramę Cmentarza Łyczakowskiego, kiedy godzinami rozmawiał z rodowitymi mieszkańcami tego miasta, kiedy zobaczył zdewastowany Cmentarz Orłąt Lwowskich. I wtedy, właśnie ten sam Jerzy Janicki nazwał go „adoptowanym dzieckiem Lwowa”. Nam, we Lwowie, warto przypomnieć właśnie ten esej Janickiego, żeby zrozumieć kim jest dla nas, dla Lwowa Stanisław Nicieja. Janicki pisze, że „wirus lwowski zaatakował Stanisława Nicieję z nienacka, choroba miała przebieg gwałtowny i okazała się przypadkiem nieuleczalnym. Pogodzony z losem, chory sam sobie wkrótce postawił diagnozę, świadom, że padł ofiarą klinicznego przypadku i że śladem Smolki, Kętrzyńskiego,



Młody Stanisław Sławomir Nicieja

Bielowskiego, którzy też kiedyś byli tu niby tylko przejazdem, popadnie jak oni, w stan chronicznej zaćmy, spoza której tylko Lwów widać”. No i jeszcze Kresy, bliskie i dalekie. I tak już od wielu lat Stanisław Nicieja to „regularny lwowiak i kresowiak”.

W ciągu tych 30 lat nie widywałem go tak często. Raczej przypadkowo, we Lwowie, w Warszawie, w Krasiczynie. Ale zawsze śledziłem jego twórczość i jego sukcesy. Żałowałem bardzo, kiedy na Targach Książki w Warszawie spóźniłem się na autorską prezentację jego książki „Twierdza Kresowe Rzeczypospolitej”. We Lwowie o Stanisławie Nicieji i jego książkach słyszałem setki, nie, tysiące zdań i opowieści od moich turystów i znajomych, od Jerzego Janickiego, od jego kolegów uniwersyteckich. Prawie podczas każdego zwiedzania Cmentarza Łyczakowskiego, ktoś z turystów pytał: „A czytał pan książkę Nicieji?”

Przyznam się też szczerze – podziwiam i lubię Stasia. Dla mnie on był 30 lat temu i pozostaje po dziś prawdziwym naukowcem, entuzjastą swojej sprawy, człowiekiem oddanym nauce, jeżeli chcecie – idealistą.

Jesienią 2009 roku, tak samo, przypadkowo spotkałem prof. Nicieję znów na Cmentarzu Łyczakowskim. Był razem z małżonką Haliną, która przez wszystkie te lata wiernie pomaga mu w pracy naukowej, fotografuje każdy jego krok, redaguje jego książki, prowadzi i porządkuje archiwum domowe. „Jurku” – powiedział Nicieja – „napisałem nową książkę Kresowe Trójmiasto. Masz w prezencie. Bardzo się spieszę. Przyjeżdżaj do Opola. Porozmawiamy. Regularnie czytam Kurier Galicyjski. Dobra gazeta!” W tym momencie postanowiłem napisać o Stanisławie Nicieji artykuł, aby zaprezentować naszym czytelnikom jego nowe dzieło.

Zdjęcia pochodzą z książki S. S. Nicieji „Kresowe Trójmiasto” (cdn.)



„Три танкиста,
три веселых друга -
Экипаж машины боевой.”
Wojskowa piosenka
rosyjska

SZYMON KAZIMIERSKI

Jeżeli zaraz po wojnie mieszkało się na terenie Polski przedwojennej, lub tej Polski nowej, zmodyfikowanej i powojennej, wojskowa piosenka radziecka „Tri Tankista” po prostu sama wchodziła do głowy, wciąż powtarzana na siłę przez wszystkie środki masowego przekazu, jakimi tylko dysponowała komunistyczna władza. „Tri Tankista” wcale nie byli samotni w tym propagandowym nacisku na polskie spo-

„TRI TANKISTA”



Pierwsza wersja radzieckich przeróbek czołgu Christi'ego, czyli czołg BT 2



Czołg 10TP na gąsienicach



Czołg 10TP ze zdjętymi gąsienicami, przygotowany do jazdy na kołach. Widać podniesioną do góry drugą parę kół. Nie wiem natomiast, czy Państwo widzicie gąsienicę leżącą na błotniku, ustaloną specjalnymi kłami



Czołg BT bez gąsienic, gotowy do jazdy na kołach. Wszystkie koła mocno oparte o ziemię. Gąsienic nie ma. BT zostawiał gąsienice licząc na to, że mu je na nowe miejsce dowiozą. A jak nie dowieźli? – To była katastrofa!

łeczeństwo, wciąż niemrawe w zachwytach nad podarowanym mu nowym strojem. Tankistom dzielnie pomagała „Kalinka”, „Taczanka”, „Smuglanka-Mołodawianka” i wiele jeszcze innych pieśni tego samego pochodzenia.

Wszystkie te piosenki miały jakąś tam, swoją, piosenkową logikę, za wyjątkiem Tankistów, którzy wydawali się nielogiczni. Bo proszę tylko pomyśleć, jak można było śpiewać tri tankista, skoro każdy widział, że w rosyjskich czołgach jest zawsze czterech czołgistów.

A w piosence wciąż od nowa tylko tri tankista. Dodatkowo owi trzej mieli stanowić całą załogę czołgu. Więc nie było mowy o pomyłce, albo celowym pominięciu w piosence jednego czołgisty.

Może właśnie dla tych słów, wyglądających podejrzanie i nieprawdziwie, rosyjskie wojskowe prostactwo, rubaszne i zawsze skłonne do kpinek ze wszelkiego, modyfikowało sobie tę piosenkę śpiewając – „tri tankista wypili po trista, a komandir wypił wosiemsot”.

Samuraje i 17 września 1939

Dziwaczni, piosenkowi trzej tankiści mieli się bić z jeszcze bardziej dziwnym samurajem, facetem o którym na pewno nikt nad Wisłą nie słyszał od

czasów samego Piasta Kołodzieja. Widać więc było, że piosenka, którą śpiewają Rosjanie, pochodzi z jakiejś zupełnie innej bajki, dalekiej od realiów naszego świata.

Jakoż faktycznie. Piosenka powstała na Dalekim Wschodzie podczas walk z Japończykami bodaj w roku 1938. W tamtych czasach bardzo popularnymi czołgami w Armii Czerwonej były czołgi BT, czyli bystrochnodnyje tanki (czołgi szybkobieżne), których załoga składała się właśnie z trzech czołgistów. Żadne inne radzieckie czołgi nie miały załogi trzyosobowej, więc piosenka na pewno dotyczyła czołgu BT.

Czołgi BT pokazały się i w Polsce, a było to pamiętne 17 września 1939 roku, kiedy to wjechało ich do Polski niemało. Razem, w korpusach, brygadach, pułkach i batalionach było ich 1764, ale to nie były wszystkie czołgi, które wtedy zaatakowały Polskę. Razem z czołgami BT do Polski wjechało: 1675 czołgów T-26, 203 czołgi T-28, 97 czołgów pływających T-37 i T-38 oraz 380 różnego typu samochodów pancernych. - Jeszcze nie koniec.

Wymienione czołgi były pojazdami etatowymi w związkach pancernych (korpus, brygada, pułk, batalion), ale do Polski wjechało jeszcze około

1500 czołgów organicznie związanych z dywizjami kawalerii i piechoty.

Oblicza się, że w Polsce było wtedy ponad 5000 radzieckich czołgów, a było to tylko 20% ogólnej liczby czołgów, jaką posiadał Związek Radziecki.

Przez litosć nie napiszę, jaką ilością broni pancernej mogła dysponować Polska na granicy wschodniej, szczególnie 17 września 1939, kiedy to właściwie cała polska broń pancerna, jaka jeszcze istniała po 17 dniach wojny, zaangażowana była w walkach z Niemcami.

Niedoszłe polskie czołgi

Tymczasem samych tylko czołgów BT, Związek Radziecki rzucił na Polskę 17 września'39 prawie dwa tysiące. Jak teraz coś Państwu powiem, to mi chyba Państwo nie uwierzycie. Jednak zaryzykuję. Otóż czołgi BT, tak naprawdę, miały być czołgami polskimi!

- Co więc takiego nastąpiło, że czołgi mające być polskimi stały się czołgami radzieckimi?

na znalezienie kupca na swój czołg poza Ameryką.

Czołgiem Christi'ego od razu zainteresowała się Polska. W roku 1926 do zakładów Christi'ego w Ameryce udał się delegowany przez polskie dowództwo kapitan Marian Ruciński z Wojskowego Instytutu Badań Inżynierii, gdzie po zapoznaniu się z czołgiem Christi'ego uznał go za rewelację godną zakupu dla Wojska Polskiego.

26 lutego 1930 roku do Stanów Zjednoczonych udała się polska delegacja pod dowództwem szefa Departamentu Inżynierii pułkownika Tadeusza Kossakowskiego. W marcu 1930 podpisano kontrakt z panem Christie na zbudowanie przez niego dla Wojska Polskiego jednego czołgu. Czołg miał być gotowy w czerwcu. Polacy wpłacili Christi'emu odpowiednią zaliczkę.

W czerwcu Christie twierdzi, że czołg dla Polaków jeszcze nie jest gotowy, ale na pewno będzie gotowy w październiku. W październiku Christie twierdził, że czołg jest gotowy (nie ma pewności, czy Christie mówił prawdę), ale wydany zostanie Polakom dopiero po zapłaceniu pełnej opłaty licencyjnej, czego podpisana wcześniej umowa zupełnie nie przewidywała. Dziwaczne żądania pana Christie doprowadza do zerwania kontraktu. Polacy wnieśli więc sprawę do sądu. Christie obawiając się, że sprawę sądową przegra, z własnej woli oddaje Polakom wpłaconą przez nich zaliczkę wraz z karnymi odsetkami.

Czołgi BT nie były konstrukcją radziecką, ale amerykańską, a czołgami radzieckimi stały się właściwie tylko dlatego, że miały zostać czołgami polskimi.

Sowiecka Intryga

W tym samym czasie strona polska dowiaduje się, że wokół Christi'ego krążą Rosjanie, z którymi on umawia się wręcz „na ucho” w jakichś sprawach związanych ze swoim czołgiem. Rosja radziecka nie ma wtedy jeszcze stosunków dyplomatycznych ze Stanami Zjednoczonymi. Formalna umowa była więc chyba niemożliwa, ale co to za przeszkoda dla amerykańskich przyjaciół Związku Radzieckiego? Rosjanie kupują od Christi'ego dwa czołgi. Żeby nie było niepotrzebnego gadania czołgi nie będą miały wież bojowych, ale dorobienie czołgowych wież, to przecież dla przemysłu radzieckiego żaden problem. Czołgi dla Związku Radzieckiego mają być gotowe we wrześniu. Christie się spóźnia i wysyła czołgi dopiero w grudniu. Najpewniej jeden z nich to ten poprzednio przeznaczony dla Polski.

Pan Christie budował później czołgi dla armii amerykańskiej. U pana Christie kupiła później czołgi Wielka Brytania. Nigdy i nikomu pan Christie nie odmówił sprzedaży, ani też nie zerwał z nikim podpisanego kontraktu. Stało się tak tylko raz i dotyczyło to tylko umowy z Polską. Dlaczego tak się stało? Dlaczego panu Christi'emu tak zależało na tym, by później, fałszywie przekonywać wszystkich, że to Polska zerwała z nim kontrakt, a nie on z Polską?

Wyjaśnienie zachowania pana Christie znaleźć można w rosyjskich dokumentach szefa radzieckiej misji mającej za zadania zapoznanie się z czołgiem Christi'ego.

Sowieckie czołgi BT pokazały się i w Polsce, a było to pamiętne 17 września 1939 roku, kiedy to wjechało ich do Polski niemało. Oblicza się, że w Polsce było wtedy ponad 5000 radzieckich czołgów, a było to tylko 20% ogólnej liczby czołgów, jaką posiadał Związek Radziecki.

Innokentyj Chalepski, szef misji radzieckiej, bynajmniej nie wpadł w zachwyt nad konstrukcją Christie'ego. Oceniał czołg jako niezbyt nadający się dla armii Związku Radzieckiego, ale skoro ten bardzo szybki czołg ma zakupić Polska, byłoby nieroztropne pozwolić Polsce na uzyskanie takiej przewagi nad Związkiem Radzieckim. No i tajemnica rozwiązana. Panu Christie zapewne opłaciło się zerwanie umowy z Polską. Związek Radziecki dostał czołgi, a Polska dostała figę z makiem.

Sukces polskich konstruktorów i nikłe możliwości producentów

Gdy Polacy, wściekli i rozżaleni, powrócili ze Stanów Zjednoczonych



Czołg BT5. Widać okalającą wieżę czołgu potężną antenę radiową

do Polski, kapitan Ruciński, najdłużej przebywający w Ameryce w zakładach Christie'ego, powiedział, że na podstawie swoich szkiców i notatek, jakie wykonał w czasie, kiedy pan Christie traktował Polaków jeszcze jako pożądaną kontrahentów, jest gotów w zespole z grupą fachowców odtworzyć czołg Christie'ego, a nawet przedstawić go w formie ulepszonej.

Nawet uwzględniając pięcioletni okres czasu na korzyść Związku Radzieckiego, to jednak na wrzesień 1939 Związek Radziecki posiadał 8500 tych czołgów, a Polska tylko 139. Smutne, ale prawdziwe.

Postanowiono więc, nie licząc się z opinią pana Christie, zbudować swoją własną wersję czołgu kołowo-gąsienicowego roboczo nazwanego „a la Christie”. Czy pan Christie o tym wiedział?

- Trudno powiedzieć. Ale nawet jeśli wiedział, to wołał udawać, że o niczym nie wie.

Zespół inżynierów pracował więc nad odtworzeniem czołgu, a prace trwały tak długo, dopóki nie nałożono na nich obowiązku modernizacji nowo zakupionego w Wielkiej Brytanii czołgu Vickersa. Modernizacja brytyjskiego Vickersa zaowocowała powstaniem polskiej wersji czołgu o nazwie „7TP”, czyli „Siedmiotonowy Polski”.

Gdy tylko stało się to możliwe, kontynuowano prace nad czołgiem „a

wtedy uniesiona do góry za pomocą specjalnego urządzenia hydraulicznego i nie stykała się z podłożem, czego nie było w czołgach amerykańskich, ani w radzieckich czołgach BT. Napęd przenoszony był na ostatnią parę kół. Gąsienice i sposób ich przesuwania się na kołach, a także mechanizm kierowania czołgiem, były technicznymi rewelacjami zostawiającymi daleko za sobą konkurencję radziecką i amerykańską. Prototyp czołgu był gotowy dopiero w lipcu 1938. Seria prób pokazała, że na kołach czołg rozwija prędkość do 75 kilometrów na godzinę, zaś na gąsienicach do 56 kilometrów na godzinę. 10TP na wojnę z Niemcami nie wyjechał. Nie tylko dlatego, że jego powstanie opóźnił przewrotny pan Christie. Na Polskę mściła się teraz jej wiekowa niewola i idące



Skok czołgu BT5



Proszę spojrzeć na czołg BT7. To już prawie T-34

la Christie”, zwanym teraz czołgiem pościgowym, później czołgiem 10TP (Dziesięcotonowy Polski).

Czołg 10TP nieznacznie tylko przypominał czołg Christie'ego. Był od tego czołgu większy i lepiej uzbrojony. Mógł zdejmować gąsienice i jeździć na kołach wioząc ze sobą zdjęte gąsienice na specjalnie do tego przystosowanych błotnikach. Jadąc na kołach, czołg kierowany był pierwszą parą kół. Chcąc uzyskać lepsze warunki kierowania, druga para kół była

za nią zacofanie techniczne. Moce wytwórcze Polski były niewielkie. One już rosły i zapowiadały sukces, ale w

Na Polskę mściła się teraz jej wiekowa niewola i idące za nią zacofanie techniczne. Moce wytwórcze Polski były niewielkie. One już rosły i zapowiadały sukces, ale w przededniu wojny były niewielkie.

przededniu wojny były niewielkie.

Podam Państwu przykład czołgu Vickers zakupionego w Wielkiej Brytanii przez Związek Radziecki, którego produkcja ruszyła w Rosji w roku 1931, później zakupionego w Wielkiej Brytanii również przez Polskę i którego produkcję Polska rozpoczęła w roku 1936. Nawet uwzględniając pięcioletni okres czasu na korzyść Związku Radzieckiego, to jednak na wrzesień 1939 Związek Radziecki posiadał 8500 tych czołgów, a Polska tylko 139. Smutne, ale prawdziwe.

Karabiny na sznurkach

Polacy chcąc ratować się przed rozpaczą płynącą z tych dysproporcji, czasami podkreślają „dziadowski” wygląd żołnierzy Armii Czerwonej zajmujących wtedy Polskę, wy-

naprawdę nie wygrywa się pasami do karabinów.

Jakie były losy czołgów Christie'ego w Związku Radzieckim? Zakupionych tylko dlatego, żeby nie dostały się Polakom. Właściwie niechcianych.

Skaczące czołgi

Czołgów Christie'ego nigdy nie eksploatowano. Oznaczono je symbolem BT1 i od razu przystąpiono do ich modernizacji. W roku 1932 do produkcji wszedł czołg BT2, pierwsza poważna modyfikacja czołgu Christie'ego. Produkcja ruszyła od razu na skalę masową. Montowano w nim silnik budowany na licencji amerykańskiej – Liberty o mocy 400 koni mechanicznych. Na kołach, czołg osiągnął podczas prób zawrotną szybkość 100 kilometrów na godzinę! Na co dzień tak prędko się nie jeździło. Wystarczyły szybkości pomiędzy 70 i 80 kilometrów na godzinę.

Rosjanie szybko przekonali się, że silnik czołgu BT ma duży nadmiar mocy. Można więc było na czołgach BT dokonywać sztuk akrobatycznych. Trudno powiedzieć jak bardzo przydatnych na wojnie, ale na pewno niesłychanie widowiskowych, jak na przykład – skakanie czołgu.

Rozpędzono czołg na wznoszącej się pochylni, poczym czołg opuszczał pochylnię, wychodził w powietrze, przez chwilę jeszcze się wznosił, by wreszcie opaść na drugą taką, pomniejszoną trochę pochylnię. Efekt tego pokazu był niesamowity. Nikt nie miał „skaczących czołgów” więc każdy, kto to widział od razu zdawał sobie sprawę z przewagi Związku Radzieckiego.

Droga do czołgu T-34

Następną poważną modyfikacją było pojawienie się czołgu BT5. BT5 posiadał już radiostację i można było z nim rozmawiać podczas gdy był w ruchu. Wokół wieży czołgu, otaczając ją od tyłu, znajdowała się silna antena radiowa, specjalnie wzmocniona, mająca wygląd jakiejś dziwacznej poręczy. Nie była to jednak poręcz, a antena radiowa czołgowej radiostacji.

W roku 1937 rozpoczęto produkcję wersji BT7, czołgu większego, cięższego, z potężnym działem kalibru 76,2 milimetra. Był to czołg bardzo już podobny do tego, jaki powstał w niedalekiej przyszłości, czyli do sławnego T-34. Czołg T-34 powstał jako nie tyle może kontynuacja czołgów BT, ale jego projekt wziął się niewątpliwie z doświadczeń zebranych podczas budowy tych czołgów. Niestety! Załogę czołgu T-34 stanowiło nie trzech, ale czterech tankistów i dlatego czołg T-34 wymaga już innej opowieści.

W końcu września w Jaworowie odbyła się III Międzynarodowa Konferencja poświęcona 380. rocznicy urodzin Króla Jana III Sobieskiego. Przybyło grono osób z Polski i Ukrainy.

W przeddzień jej rozpoczęcia odprawiona została Msza święta, złożono kwiaty pod tablicą poświęconą wielkiemu królowi i dowódcy, a u wejścia do miejscowego kościoła, zapalono znicze ku pamięci Jana Pawła II.

Konferencja odbywała się w wynajętym gmachu „Sokoła”. Gości przywitani Konsul RP we Lwowie Jacek Żur i prezes TKPZL we Lwowie Emil Legowicz. Wygłoszono niezmiernie ciekawe referaty. Pierwszy: „Jan III Sobieski – największy dowódca w dziejach Polski” wygłosił historyk z Jarosławia – Paweł Czerkas, drugi: „Jan III Sobieski w literaturze polskiej” – dyrektor Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej Mariusz Olbromski.

Zofia Michniewicz w imieniu TKPZL Oddziału w Jaworowie złożyła podzię-

W JAWOROWIE OBCHODZONO 380. ROCZNICĘ URODZIN KRÓLA JANA III SOBIESKIEGO

kowania za pomoc okazaną w zorganizowaniu Konferencji – lektorom, burmistrzowi Jaworowa Witalijowi Domaśzowcowi, konsulowi RP we Lwowie,

przedstawicielom TKPZL ze Lwowa i innym oraz zaprosiła do holu „Sokoła” na otwarcie wystawy kultury regionalnej. Następnie odbył się koncert.

W imieniu Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej Oddziału w Jaworowie składamy podziękowanie za pomoc w sprzątnięciu starego polskiego cmentarza z XIX wieku pracownikom Konsulatu RP we Lwowie, szczególnie p. Konsulom Marcinowi Zieniewiczowi i Jackowi Żurowi za akcję którą zainicjował Konsulat Generalny „Pod kamieniem”. 03.10.09 do Jaworowa przyjechało 40 osób ze Lwowa, w tym stypendyści „Semper Polonia”, którzy pracowali cały dzień z członkami naszego Towarzystwa na cmentarzu: wycinali krzewy, chwasty, oczyszczali teren z suchych pni i gałęzi, kosili trawę, odnawiali krzyże, nagrobki, ogrodzenia mogił. Jeszcze raz składamy serdeczne dzięki za tak ciężki trud bo sami nie mogliśmy dać sobie rady od czasu burzy-nawałnicy która przeszła u nas, w Jaworowie, 23.06.08 roku

Uczniowie gimnazjum szkoły nr 1, pod kierunkiem nauczycielki Galiny Fałyk odegrali scenki z przedstawienia „Jan III Sobieski na zamku jaworowskim”. Zaprezentowano też tańce w wykonaniu uczniów szkoły N.2 jacy ćwiczyli pod kierunkiem Mikołaja Polszyna. Wystąpił chór „Jabluszko” naszej sobotnio-niedzielnej szkoły polskiej, przy udziale solisty Romana Giraka, chór „Lilia” z Sądowej Wiszni, chór z Wilanowa, jaki przyjechał z dyrektorem Domu Kultury Robertem Woźniakiem. Po koncercie gości zaproszono na spacer po Jaworowie. Oprowadzała uczennica polskiej szkoły sobotniej Katarzyna Grafińska.

Następnego dnia wyjechaliśmy w dwudniowy objazd „Śladami Jana III Sobieskiego” – Żółkiew – Olesko – Podhorce – Złoczów – Zbaraż – Smo-

trycz – Kamieniec Podolski – Chocim – Lwów – Jaworów.

Dlaczego takie uroczystości odbywają się w Jaworowie? Bo przez 40 lat Jan III Sobieski, nawet już jako król, był tu starostą. Poza Żółkwią i Wilanowem było to jego ulubione miejsce. Zespołowi parkowemu, jaki należał do jaworowskiego zamku, nie było równych w Europie. Na zamku przyjmowano dostojnych gości i podpisywano ważne traktaty.

W taki sposób, organizując m.in. międzynarodowe konferencje, my, TKPZL Oddział w Jaworowie, składamy hołd wdzięczności Naszemu słynnemu Władcy i Rodakowi.

**Prezes TKPZL Oddziału w Jaworowie - Zofia Michniewicz
Wiceprezes TKPZL Oddziału w Jaworowie - Ludmiła Kiencato**

BARBARA STASIAK

Włodek poznałam w dziwny sposób. Zauroczone Huculszczyzną, po usłyszeniu słowa grażda, mając pomysł na jej współczesną wersję, szukałam jej dokładnej definicji w Internecie. „Wyskoczył” mi Włodek. W tamtym momencie nie Włodek, tylko dr inż. arch. Włodzimierz Witkowski, Politechnika, Łódź. I tak naprawdę niewiele więcej mi „wyskoczyło”. On i Vincenz. Więc napisałam emaila, takiego kontrolnego, bo szczerze mówiąc nie miałam większej nadziei na odpowiedź. Ale odpowiedź przyszła dość szybko.

„Dzień dobry. Jak to miło słyszeć (czytać), że ktoś jeszcze wie, co to znaczy grażda” – przeczytałam na wstępie. A potem lawina informacji. Po krótkiej, ale treściwej wymianie emaili, uwzględnieniu zajęć moich dzieci, Włodek dzieci, terminów, etc. etc. udało nam się spotkać. Szczerze mówiąc miałam tremę przed spotkaniem z takim architektonicznym autorytetem, okazało się, że nie potrzebnie. Spotkało się dwoje pasjonatów. Zapomniałam o obiedzie i kolacji dla synów, a Włodek pod koniec spotkania uświadomił sobie, że zostawił chorą rodzinę i od kilku godzin powinien być w domu.

Kiedy zaczęliśmy tu jeździć w 1995 roku, wyglądało, że będzie to przedsięwzięcie jednorazowe. Ot awantura, eskapada, przyjemna bardzo.

Cieężko pojąć magię Huculszczyzny komuś kto nigdy nie doświadczył tej krainy. Ci, którym jest dobrze w mieście, nigdy jej nie rozumieją. To świat dla ludzi szukających tego co przeminęło, wartości, które nadają sens życiu. Świat cieni zapomnianych przodków. I świat który odchodzi. Włodek i ludzie, których dzięki niemu poznałam, starają się zatrzymać, zanotować, przechować to, co bezpowrotnie ginie.

Najważniejsze słowa dotyczące Huculszczyzny, które usłyszałam od Włodka na pożegnanie w sierpniu: „Tutaj zaczyna się rozumieć i czuć, co naprawdę w życiu jest ważne”.

W filmowym reportażu z IX Wyprawy Naukowej Studentów Architektury Politechniki Łódzkiej w Karpaty Wschodnie 2006 (przygotowanym przez Annę Bens z Radia Żak Politechniki Łódzkiej i studenta architektury Michała Borowskiego – uczestników wyprawy) powiedział: „Kiedy zaczęliśmy tu jeździć w 1995 roku, wyglądało, że będzie to przedsięwzięcie jednorazowe. Ot awantura, eskapada, przyjemna bardzo.

Tymczasem w 2006 roku liczba uczestników wszystkich wyjazdów przekroczyła setkę. To już jest pewna grupa ludzi. Choć jak usłyszałam w Krakowie na Politechnice, że jednorazowo zabierają do Kamieńca Podolskiego 120 osób, to szczęścia mi opadła. Tylko tyle, że oni jadą tam i z powrotem autokarami, mają pobyt zorganizowany, program „globalny”, i w gruncie rzeczy nie jestem pewien czy o regionie, miejscu i ludziach dowiadują się więcej niż my dotykając wszystkiego, stając się na chwilę częścią tego świata”.

Drugi raz spotkałam się z Włodem na Huculszczyźnie, w Krzyworówni, w sierpniu tego roku. **XII Wyprawa Naukowa Studentów Architektury Politechniki Łódzkiej w Karpaty Wschodnie – HUCULSZCZYŻNA 2009.**

PASJE OKREŚLAJĄ ŻYCIE...



Obóz w górach



Kapliczka wysoko w górach

W domu, w którym kiedyś mieszkał Iwan Franko, a gdzie dziś mieści się muzeum, poznałam jego kustosa Mykołę Dzuraka, który mimo trwającego remontu oprowadził grupę studentów po budynku, snując opowieści i odpowiadając na pytania.

Spotkanie było krótkie, studenci po kilku dniach inwentaryzacji cerkwi w rejonie Kosowa wyruszyli z plecakami na wyprawę przez góry. Po drodze mieli oboje i udokumentować małą grażdę w Synycach, którą wypatrzyłam dla Włodka. Przez trzy dni mieli dojechać do Jablonicy nad Białym Czeremoszem i tam umówiliśmy się na następne spotkanie.

„Połonina” mnie tak zaczarowała, że już się nie mogłem uwolnić

Co do moich wspomnień z początków wyjazdów na Ukrainę – powiedział Włodek, – to dla mnie wszystko zaczęło się słynną wystawą radomską w 1987 r. i II tomem „Wysokiej Połony”, podsunęty przez koleżankę polonistkę. No i „Połonina” mnie tak zaczarowała, że już się nie mogłem uwolnić. Więc wtedy, gdy w 1991 r. PTTK organizowało Łódzki Tydzień Gór na tematy huculskie, i kiedy okazało się, że towarzyszy mi tygodniowy wyjazd w Czarnohorę, zdecydowałem się natychmiast. I była Howerla w strugach deszczu i w śniegu 02.05.1991 r., i Pop Iwan o zmroku, i traumatyczny biwak nad Jeziorkiem Niesamowitym, gdy 5 godzin zajęło nam rozpalenie ognia z mokrej kosówki. A potem pomysł na podróż poślubną był już prostą konsekwencją wyboru, dokonanego wcześniej. No i latem, na miesiąc przed uzyskaniem przez Ukrainę niepodległości, po raz pierwszy doświadczyłem tej szczególnej huculskiej gościnności, jakiej do dziś nie mogę się nadziwić...

Po kilku latach, zimą 1995 r. zrobiłem mały wykład ze slajdami dla wąskiej grupki studentów, chcących zrobić coś więcej, niż tylko realizację

suchego programu studiów. I jeszcze tego samego dnia wieczorem stanęli przede mną i stwierdzili krótko: „No to kiedy ruszamy?” Ruszyliśmy w szczeci, na przełomie kwietnia i maja. I tak to się właśnie zaczęło. Metodologia i tematy rozdziły się stopniowo, do logistyki dorastałem powolutku. Była współpraca z Biurem Pełnomocnika Rządu ds. Polskiego Dziedzictwa Kulturalnego za Granicą (trzy sezony; '98, '99', 2000 dokumentacji d. Zakładu Przyrodoleczniczego dra Apolinarego Tarnawskiego w Kosowie, ruiny obserwatorium na Popie Iwanie zmierzone w 1996 r. przy huraganowym wietrze, który darł nam namioty). W 2004 r. obroniłem doktorat „Drewniana architektura Huculszczyzny. Budowle świeckie”, który jest efektem zarówno działań terenowych, jak i rozległych kwerend i poszukiwań archiwalnych.

Od 1998 r. dokumentujemy dziedzictwo sakralne

Od 1998 r. dokumentujemy dziedzictwo sakralne, najpierw tylko plany cerkwi, teraz całe budowle w trybie jeden dzień na jeden obiekt, co jest tempem zawrotnym, ale w dużej grupie możliwym do zrealizowania. I przełożenie czasu pracy na efekt finalny wypada bardzo dobrze, bo te nasze inwentaryzacje są naprawdę rzetelne.

Grupy liczą od kilkunastu do nawet 25 osób (rekord na X Wyprawie Jubileuszowej w 2007 r.), ale najlepiej pracuje się w zespole nie większym niż 15-16 osób. Z różnych względów, ale głównie logistycznych: przejazdy i noclegi.

Studenci mają swój mały survival, zachwyty nad krajobrazami, przestrzenią, ciszą, porażającą logiką i prostotą tradycyjnej architektury, która została doprowadzona do form absolutnie perfekcyjnie doskonałych, ludzką gościnnością. Niektórzy zacinają przy okazji rozumieć, co tak naprawdę jest w życiu ważne i jak należy ustawić swoje prywatne hierarchie wartości. Jedni wracają na Huculszczyznę prywatnie, dla innych przygoda ma charakter jednorazowy, ale pozostawia wrażenie na tyle silne, że wspominają ją jako jedną z ważniejszych wypraw swego życia,

Cieężko pojąć magię Huculszczyzny komuś kto nigdy nie doświadczył tej krainy. Ci, którym jest dobrze w mieście, nigdy jej nie rozumieją. To świat dla ludzi szukających tego co przeminęło, wartości, które nadają sens życiu. Świat cieni zapomnianych przodków. I świat który odchodzi.



Dr inż. arch. Włodzimierz Witkowski

Do niedawna różniły się one od tego, czym podróżowało się u nas. Na początku funkcjonował tabor, zdezelowany kompletnie, po miejscowych szosach jeździła zupełna „rupieciarz”. W tej chwili ten tabor niemal w całości jest wymieniony. Odczuwam jakiś żal, że moim studentom nie będzie dane zobaczyć i podróżować po lokalnych drogach tymi małykami autobusikami, pamiętającymi konstrukcyjnie czasy generalissimusa Stalina.

Zmieniły się też pociągi, zdecydowanie na korzyść. To znaczy, one się już zmieniły dwukrotnie. Wtedy kiedy zaczynałem jeździć na Ukrainę, funkcjonowała jeszcze kolej radziecka. I to była instytucja zupełnie niezwykła, bo to było państwo w państwie, ale funkcjonowało punktualnie, miało swoje zasady. Była wagonowa – prownica, która roznosiła „kipiatok” z samowara, opalanego drewnem. Raz, w czasie tej podróży, zamiast wrzątku można było dostać mocno posłodzoną herbatę, przy czym nie miało się wpływu na to, jak bardzo ta herbata będzie posłodzona.

Potem nastąpił upadek tych kolei. W połowie lat dziewięćdziesiątych podróżowanie kolejami to była rozpacz, ponieważ był to odczuwalny rozpad tego państwa w państwie. Rozpadały się wagony i rozpadały się te stosunki społeczne, które na kolei funkcjonowały. Na przykład, nie do pomyślenia było we „wcześniejszych” kolejach – tych ukraińskich-radzieckich, żeby wagonowa była pijana.

Potem nagle, nie umiem nawet powiedzieć, w którym momencie, ten transport się zmienił. Nagle, w ciągu kilku lat wyremontowano wszystkie większe dworce kolejowe, pracownicy kolei znowu zaczęli chodzić w czystych mundurach. Znowu jest tak, że chodzą w tych mundurach niezależnie od tego czy jest to środek nocy czy rano, kiedy się wjeżdża do Lwowa.

W tej chwili ta kolej funkcjonuje bardzo dobrze, jest skomputeryzowana. Bilety są imienne, nie ma takiej sytuacji, że wsiądzie się do pociągu i nie ma miejsca, nie wpuszczą do wagonu więcej osób niż jest miejsc. Wyczuwa się na tych dworcach idealny porządek, życzyłbym sobie, żeby w Polsce na dworcach było tak jak na dworcach ukraińskich i w pociągach ukraińskich.

W tym pierwszym jeszcze momencie, w kolejach radzieckich, stało się w kilometrowych kolejkach przez pół dnia na rozpalonym lwowskim dworcu, żeby kupić bilety, tzw. kwitki, które pani pracowicie wypisywała ręcznie. Nie miała praktycznie żadnego sposobu sprawdzenia ile już tych biletów wykupiono po drodze, dzwoniła na ostatnią stację, gdzie spływały wszystkie informacje, trwało to więc



Podczas pomiarów

godzinami, ludzie się denerwowali, pachniei czosnkiem i cebulą – dziwne to wszystko funkcjonowało.

Owszem, żal mi, że w tej chwili coraz rzadziej mamy możliwość zatrzymania na leśnej drodze tzw. hruzawika czyli ogromnej ciężarówce, takiej do przewozu drewna, czy po prostu z wielką „kipą” i pojechania parunastu czy parędziesiątu kilometrów w góry razem z grzybiarzami, którzy wynajęli

Można trafić na siano do ludzi, to bardzo dobry, wygodny nocleg, pachnący, z różnymi dodatkowymi atrakcjami. Np. nie dosuszone siano, którego temperatura mocno rośnie wewnątrz takiej szopy i siano zaczyna parzyć przez śpiwór. W takim momencie trzeba się z takiej szopy ewakuować. No i można zanoćować w namiotach, rozbitych w jakimś lepszym lub gorszym miejscu”.

wiadomo, że będzie tak upalny, że trudno będzie oddychać.

Góry są nieodłącznym elementem tych wypraw. One są elementem rozrywki oczywiście i to jest najprostsze wytłumaczenie, ale pełnią też w jakimś stopniu funkcję edukacyjną, wychowawczą. W tej chwili młodzi ludzie, mieszkający w miastach znacznie mniej chodzą po górach niż niedługo. Taka jest większość osób na naszych wyprawach, osób które po raz pierwszy znalazły się w – dla nich – bardzo trudnych warunkach funkcjonowania, wobec pewnego rodzaju reżimu, który trzeba zachować. Dys-

Pomiar służy czemuś dobremu

No a potem zaczynają się już pomiary, mozolne całonocne ślęczenie przy obiektach, domierzenie do centymetrów. Bardzo mozolne, bardzo męczące, w gruncie rzeczy można powiedzieć – nudne, ale to jest tak, że każdy z nas przez inwentaryzację powinien przejść, ponieważ z zawodowego punktu widzenia jest to potrzebne i bardzo przydatne architektowi.

Kontekst kulturowy, to jest kwestia dostania się do obiektu, przekonania tych ludzi, że nie mamy złych zamiarów, że ten pomiar służy cze-

ludźmi, najpierw stwierdzać jak bardzo ci ludzie różnią się od nas, żeby potem we wniosku końcowym dojść do tego, że są tacy sami, że wszyscy jesteśmy tacy sami i nie ma między nami znaczących różnic. Tak samo tu i tam jesteśmy – dobrzy i źli, duzi i mali, i tyle.

Zgodnie z umową spotkałam się z Włodkiem i uczestnikami wyprawy w Jablonicy, w domu Iwana Droniaka. Na pewno będzie on bohaterem innej opowieści więc, nie chcę pisać za wiele, dość powiedzieć że lokalne muzeum stworzył sam, ocalając i gromadząc wypatrzone „starocię”. Od wielu lat kolejne grupy studentów zatrzymują się u jego rodziny na jeden lub kilka noclegów, a gospodarze każdego lata wypatrują ich niecierpliwie. Nagle okazuje się, że w maleńkiej izbie, w letniej kuchni, mieści się za stołem ponad 20 osób. Studenci przygotowują michy sałatki, gospodarze stawiają barszcz, bryndzę, miód, ziemniaki z podlewką, z tej i tamtej strony pojawia się coś „dla rozgrzania nastroju”. Bywają śpiewy, bywają opowieści i wspomnienia – bo te przyjazdy mają już swoją historię. Słucham i patrzę i wtedy właśnie postanawiam napisać o Włodku i jego wyprawach. Ich wartość dla studentów jest oczywista i o tym mówił Włodek. Wartość tego co zostaje na papierze bardzo wymierna, biorąc pod uwagę, że stosunkowo młode i borykające się z przemianami państwo ukraińskie nie ma środków na prace, służące ocaleniu dla przyszłych pokoleń dóbr kulturalnych. Zwłaszcza tak delikatnych i nietrwałych, bo drewnianych, z tego rejonu. Wypieranych przez budynki z cegły i betonu, znikających jak cerkiew w Moskalówce z powodu pożarów. Idea zapisania tych budowli, narysowania, zachowania „na kiedyś” w szybko zmieniającej się rzeczywistości jest piękna i... I chciałam napisać, że aż prosi o wsparcie, ale się zawahałam. Bo może i fundusze, i sponsorzy ułatwią by te prace, ale czy to jest potrzebne? Czy wtedy inwentaryzacje zrobione byłyby lepiej? Czy środki nie spowodowałyby położenia nacisku na ilość obiektów, warunki bytowania ekipy pracowników etc? Czy wtedy studenci mieliby gdzie poznawać inności i podobieństwa, burzyć mity wschodniej granicy, poznawać samych siebie? Czy wtedy, przy dotacjach, znalazło by się tam miejsce dla studentów?

Bo wreszcie, jest jeszcze jeden aspekt tych wypraw, o którym Włodek wspominał w naszych rozmowach i który ma dla mnie szczególne znaczenie.

Wspólna historia Polski i Ukrainy, jak to bywa dla sąsiadów, jest historią burzliwą i budzącą wiele kontrowersji z obu stron. Zwłaszcza historia zeszłego wieku, trudna, bo ciągle świeża. Jak Włodek wspominał wyżej – wszyscy jesteśmy tacy sami. Po obu stronach ta świeża historia zostawiła wiele bólu i uprzedzeń. On i jego studenci pochylając głowę przed pięknem kultury i szanując Człowieka, zmieniają postrzeganie Polski i Polaków przez tych, których dziadków, rodziców, to co było, dotknęło najbardziej. Pokoik, poświęcony Vincenzowi w muzeum w Krzyworówni jest tego jednym z dowodów. Przyjaźnie, znajomości, konieczność i umiejętność dostosowania się i zrozumienie odmienności życia, mają inny wymiar niż dotowane inwentaryzacje z doskoku, z izolowanego pensjonatu.

Więc lepiej niech się to dzieje, jak dotychczas. I pozostaniemy przy tym, że to co robimy jest po prostu piękne.

KG



Ranek w górach

ten samochód. Ale z kolei wcześniej nie było mi dane podróżowanie buskami, ścigniętymi z Zachodu przez przedsiębiorczych ludzi, którzy wzięli sprawę we własne ręce.

Cały czas poruszamy się transportem lokalnym i to jest wartością ze względu na możliwość obserwacji, kontaktów z ludźmi, wymiany doświadczeń.

Tu ludzie łatwiej się godzą, żeby ingerować w ich prywatność

Ci ludzie, których spotykamy, są ciekawi świata, sami rozpoczynają rozmowy, sami zaczynają wypytywać co nas interesuje, gdzie jedziemy, skąd jesteśmy, co robimy, a z kolei zapytani chętnie opowiadają o sobie. Myślę więc, że jest to ciekawe doświadczenie.

Tu ludzie łatwiej się godzą, żeby ingerować w ich prywatność. Czasami sami temu sprzyjają, zapraszają. Np., sytuacja kiedy ktoś zaprasza przed cerkwią wieczorem po Słudbie Bożej do siebie do chaty, i jest to starsza osoba, i jest grupa 8-9 młodych ludzi, którzy przecież nie wiadomo jakie mają zamiary, czy nie zrobią krzywdy tej osobie, nie okradną jej w nocy.

Rzadko, bardzo rzadko lądujemy gdzieś na kwaterach, przygotowanych dla turystów, dlatego, że w ten sposób tracimy tę noc na kontakt z ludźmi. Naczyłem się tutaj tego, żeby nie martwić się pół dnia naprzód gdzie będę spał, bo przeważnie jest tak, że lepiej lub gorzej, ale mam gdzie spać.

Więc można trafić do ludzi i spać pod dachem, w izbie, i zostać ugośczone. Można wyładować w budynku, który nie jest używany, i zarówno może to być budynek nowo budowany i jeszcze nie zasiedlony, ale to rzadziej. Częściej jest to budynek już opuszczony, już nie używany a jeszcze nie zniszczony.

Góry są nieodłącznym elementem tych wypraw

A więc, zajeżdżamy na miejsce. Zazwyczaj staram się, żeby od razu było to miejsce z „mocnym uderzeniem”, czyli głęboko w górach, odebrane od cywilizacji, z jakimiś ciekawymi relikwiami przeszłości. Wtedy od razu mamy możliwość wejść w atmosferę tego, co jest do zrobienia. Łatwo dostrzegamy, że miejsce w którym się znajdujemy różni się w sposób znaczący od wszystkich miejsc, które znaleźliśmy dotychczas. Podobieństwa przychodzą dopiero potem, ale pierwszy moment jest odbierany przez uczestników z pewnym strachem i pewną dozą niepewności.

Bywają wspaniałe, piękne chwile, kiedy rozchylamy połę namiotu o świcie, takim zroszonym, lodowatym, i morze mgieł opada ku dolinom potoków wylaniając góry dookoła. Ten proces jest kilkunastominutowy i właściwie przez cały czas należałoby go kręcić kamerą czy po prostu robić zdjęcia poklatkowe, jak to się zmienia błyskawicznie, jak pięknie wygląda budzący się dzień, o którym z góry

cypliny wobec samego siebie i grupy, z którą się wędruje. Wobec faktu zmęczenia, niejednokrotnie krańcowego, wtedy kiedy po kilkunastu godzinach brakuje zwyczajnie sił, i nie ma znaczenia czy jest to ktoś, kto ma większe doświadczenie, czy jest to ktoś, kto jest po raz pierwszy w górach.

Szczyty o wysokości ok. 2000 m to nie jest nic nadzwyczajnego. Powiedzmy sobie szczerze, że są to takie trochę większe Bieszczady, nie mniej jednak, góry są zawsze w jakimś sensie groźne. Groźne dla tych, którzy nie docenią potęgi przyrody, dla tych, którzy wierzą zbyt mocno w to, co sami potrafią. Tymczasem okazuje się, że nagle zmiana pogody, ochłodzenie, silny deszcz, grad czy burza, która wychodzi nagle ni stąd ni zowąd zza grani, powoduje przestraszenie, załamanie psychiczne. Okazuje się, że wtedy trzeba bardzo mocno się wyteńczyć, żeby nie wpaść w panikę, nie zacząć popełniać błędów, które wbrew świadomości niektórych uczestników tych naszych wypraw, mogą skończyć się bardzo źle, nawet śmiercią. Telefon komórkowy nie pomoże, mimo, że od kilku lat nieźle odbiera w tych górach, gdy mamy kilka czy kilkanaście godzin drogi do najbliższych siedzib ludzkich, i to drogi nie asfaltowanej tylko ścieżki w lesie. Kiedy zapada zmrok, kiedy trzeba „przechaszczować” poprzez krzaki czy bardzo ostro podejść pod górę doliną strumienia, po śliskich kamieniach.

Szczyty o wysokości ok. 2000 m to nie jest nic nadzwyczajnego. Powiedzmy sobie szczerze, że są to takie trochę większe Bieszczady, nie mniej jednak góry są zawsze w jakimś sensie groźne. Groźne dla tych, którzy nie docenią potęgi przyrody, dla tych, którzy wierzą zbyt mocno w to, co sami potrafią. Tymczasem okazuje się, że nagle zmiana pogody, ochłodzenie, silny deszcz, grad czy burza, która wychodzi nagle ni stąd ni zowąd zza grani, powoduje przestraszenie, załamanie psychiczne.



W muzeum Iwana Franki

CZY PATRIOTYZM MOŻE BYĆ OPŁACALNYM?

ALEKSANDER NIEWIŃSKI

Lwowska ul. Kopernika w pierwszych tygodniach września br. miała szansę być w centrum uwagi kulturologów Lwowa, Ukrainy i gości z innych krajów. Część z nich zainteresowana była książkami, przedstawionymi na XVI Forum Wydawców i sprzedawanymi na dziedzińcu pałacu Potockich. Tuż nieopodal tego pałacu, znacjonalizowanego i zrabowanego po „złotym wrześniu” 1939 r., w kinie Kopernik, pamiętnym z lat przedwojennych można było też obejrzeć (w dniach 3-7 września br.) współczesne filmy polskie o tematyce wojennej z okazji 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej.

Ukraińskie mass-media zwróciły uwagę na niewłaściwy wybór miejsca do urządzenia jarmarku książek w sposób wręcz prozaiczny: „...za mało miejsca...” Natomiast filmy polskie w kinie Kopernik pozostały bez ocen krytycznych.

Rzeczywiście, skupienie uwagi na książce o dowolnej tematyce wymaga atmosfery szczególnej koncentracji, a nie gwaru ludzkiego, gdzie w powszechnej szturchaninie znacznie łatwiej jest zniszczyć buty, nie wspominając już o niewygodach innego rodzaju. Na pewno nie do tego celu zbudowany został pałac o pięknej, na szczęście zachowanej architekturze zewnętrznej. Nawiasem mówiąc historia nie pamięta czasów, by kiedykolwiek pobierano opłatę za wejście na pałacowe dziedzińce.

Natomiast powszechnie znana jest historia pałacu Potockich w Antoninach, spalonego przez bolszewików podczas rewolucji 1917 r. Nieliczni turyści, rzadko zwiedzający to małe miasteczko, pozostałe po wojnie 1918-1920 na terenie Rosji Sowieckiej (obecnie w obwodzie Chmielnickim), podziwiają resztki zespołu pałacowego: bramę wjazdową, park i stajnie dla koni. W tym miejscu należy przywołać sylwetkę Krzysztofa Potockiego, związanego z tym pałacem, a zamordowanego w Katyniu, który aresztowany został za posiadanie broni myśliwskiej. Przed II wojną światową był on nadleśniczym niedaleko Czortkowa i broń ta należała mu się z urzędu. Chociaż Krzysztof Potocki nie walczył z Sowietami po ich wkroczeniu w granice II Rzeczypospolitej, nie miało to dla władz sowieckich żadnego znaczenia. Podzielił los kilku tysięcy oficerów polskich.

Wróćmy jednak do tematu jednej z książek, nabytych na dziedzińcu pałacu Potockich w ramach wyżej wspomnianego Forum Wydawców. Jest to album fotografii i wideo (prace z lat 1965-2005) Andrzeja Dudka-Dürera, wydany we Wrocławiu w 2006 r. pod tytułem „Rekonstrukcja tożsamości”. Książkę tę dostałem w prezencie od młodej Ukrainki. Dziewczynie tej, być może jak i mnie, nazwisko na okładce Dürer, skojarzyło się najpierw z twórczością niemiec-



Krzysztof Potocki wraz z żoną Aniela ze Skibniewskich na terenie leśnictwa blisko Czortkowa

kiego artysty-malarza epoki odrodzenia Albrechta Dürera (1471-1528). W rzeczywistości okazało się, że jest to wydanie wrocławskiego artysty szkoły powojennej. Jego surrealizm polega na szukaniu w sobie samym, sięga aż w reinkarnację. Od 1969 r. Andrzej Dudek wierzy, że jest wcieleniem Albrechta Dürera...

Po zapoznaniu się z tą książką, odczułem niejako zachwyt z pożytku twórczości artystycznej Albrechta Dürera dla powojennych Niemiec, przejawiającej się właśnie w rekonstrukcji tożsamości narodu niemieckiego, bez udziału reinkarnacji. W latach powojennych, pragmatyczni Niemcy, po prostu, codziennie przypominali sobie chrześcijańskie wartości epoki odrodzenia, umieszczając reprodukcje obrazów Albrechta Dürera, urodzonego w Nowym Brzegu, na banknotach marek niemieckich. Tak trwało aż do czasu wejścia nowych banknotów (euro).

Awangardzie artystycznej brakuje może świeżego spojrzenia na świat, właściwego artystom renesansu. Natomiast rekonstrukcja tożsamości, to konieczność zapotrzebowania na realizm, odzwierciedlająca właśnie rzeczywistość (świata, otoczenia) w twórczości artystycznej. Wyraźnym przykładem to potwierdzającym jest choćby „Sztuka Butów” Andrzeja Dudka-Dürera, kiedy artysta corocznie spogląda na świat go otaczający, ubrany w te same buty, wielokrotnie naprawiane, lecz nie wymieniane na nowe. Buty artysty starzeją się wraz z nim samym. Podobne spojrzenie prezentuje „Sztuka dzinsów” czy „Sztuka jedzenia”.

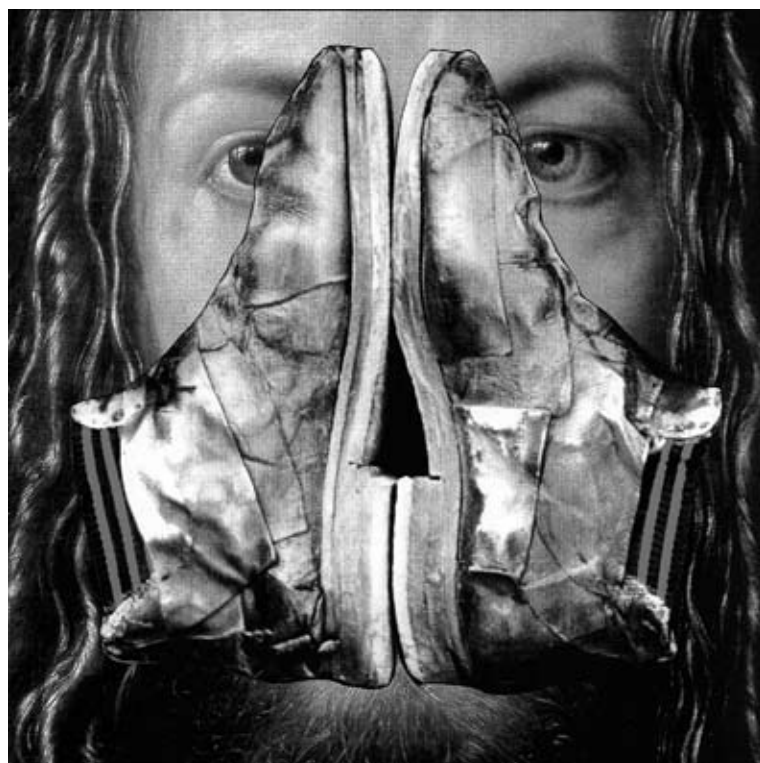
Tak prosty wniosek nie każdy potrafi wyciągnąć, gdyż nadal w sztuce surrealistycznej istnieje zapotrzebowanie na taki właśnie rodzaj. Widocznie na „terenach postkomunistycznych” wciąż trudno odnaleźć credo chrześcijańskie: „po czynach ich poznać”.

Pierwsze dwa dni przeglądu polskich filmów fabularnych (współczesnych, historycznych) – „Generał Nil” – wywarły dobre wrażenie na widzach. Wydawało się nawet, że coś zmieniło się ku lepszemu w organizacji podobnych polskich imprez we Lwowie. Niestety w trzecim dniu przeglądu (5.09.2009 – film „Generał. Zamach na Gibraltarze”) działania, chyba metafizyczne, porrzyżowały zbyt wczesny optymizm i przywróciły dawny stan rzeczy. Wolnych biletów w kasie nie było.

Kasjerki jednak łaskawie proponowały krzesła z kawiami w dodatku do biletów z odpowiednim wpisem słowa „krzesło”. Chętnych widzów okazało się tak dużo, że prawie wszystkie krzesła w taki sposób przeniesiono i ustawiono wzdłuż ściany... pół pustej widowni (sic!). Wśród widzów brakowało organizatorów przeglądu i prezesów polskich towarzystw (poza jednym). W następnym dniu, podczas projekcji filmu Andrzeja Wajdy „Katyń” i sytuacja powtórzyła się...

Trudno uwierzyć różnym wersjom podanej zmiany organizacyjnej, usłyszonym po przeglądzie filmów. Rzecz jasna, że winy Konsulatu RP we Lwowie w tym nie ma, bo w ciągu 20 lat starań o odrodzenie kultury polskiej we Lwowie zmieniło się wiele ekip konsularnych, a podobne sytuacje wciąż się zdarzają. Bo jaki interes mogą mieć Anglicy „odwieczni nasi sojusznicy”, by po raz drugi „moczyć palce” w wodach Gibraltaru? A „ręce Moskwy”? Przecież ich premier Władimir Putin, będąc w Gdańsku 1.09.2009 r., jednoznacznie stwierdził, że „(...) Każdy naród ma swoją historię”. Naiwni spodziewali się słów czy chociaż gestów przeproszenia (kategoria pojęć chrześcijańskich), ale Rosjanie mają swoje problemy w rekonstrukcji własnej tożsamości. Już 9.09.2009 r. ukraińskie wiadomości telewizyjne podały, że prawosławna cerkiew rosyjska zrehabilitowała generała A. Własowa, hitlerowskiego kolaboranta... Amerykanom, też naszym sojusznikom w koalicji antyhitlerowskiej, teraz nic do spraw polskich, a tym bardziej nie do Lwowa, z którego daleko tak do Gibraltaru jak i do Katynia. Warto dodać, że amerykańscy studenci bardzo słabo znają polską historię (świadczą o tym wywiady prowadzone przez TVP „Polonia” w przededniu 70 rocznicy wybuchu II wojny światowej). Pozostają Ukraińcy, - ależ to nasi bracia i siostry!

Wcześniej w podobnej sytuacji któryś z moich kolegów próbował dodzwonić się (teraz brak żadnych numerów telefonów na ofercie filmowej) do miejscowych samo oświeconych „organizatorów-społeczników” w celu wyjaśnienia przyczyn zaistniałej sytuacji. Odpowiedzi można było usłyszeć różne, najczęściej były to pytania typu „Pan by się poświęcił?”, „Co pana w tym pociąga?”, „Po co to panu?”, „Pan uważa siebie



Autoobserwator z cyklu „Sztuka butów”, Andrzej Dudek-Dürer

za poważnego?” Jeszcze częściej brzmiała odpowiedź: „Wyjeżdżam... Nie mam czasu”. Później, nieraz nawet ze stron lwowskich gazet polskojęzycznych udawalo się wyjaśnić, kto i dokąd wyjeżdżał: do Częstochowy (pomodlić się), do Mragowa (corocznie na koncert), do podwarszawskiego sanatorium (na wypoczynek) i nawet do Warszawy... dla złożenia hołdu Orłętom Lwowskim. Przykro, że tych stale wyjeżdżających „organizatorów-społeczników” nigdy nikt nie widział przy pracach remontowych Cmentarza Orłąt Lwowskich nawet w najtrudniejszych dniach, gdy gazety ukraińskie pisały: „Przyjechali tutaj Polacy, żeby budować swój cmentarz”.

Była jeszcze jedna wersja wyjaśniająca trudności w przeglądzie współczesnych filmów polskich na temat II wojny światowej – o zamiłowaniu miejscowych „organizatorów-społeczników” do Schtirlitza, bohatera serialu telewizyjnego z czasów ZSRR, spopularyzowanego również w PRL. Wersja ta wydaje się bardzo prawdopodobna, ponieważ niektóre programy TV Ukrainy od czasu do czasu „kręcą” powtórkę tego serialu. Kim był naprawdę prototyp Schtirlitza-Isajewa, oficera wyższej rangi służb wojskowo-politycznych hitlerowskich i sowieckich? Nikt nie wie po dzień dzisiejszy. Czyżby był nim generał A. Własow?

Podobnych pytań pozostaje wiele po zmianie czerwonego sztandaru ZSRR na różnokolorową flagę. Polacy mniej mają z tym kłopotu i dlatego być może nie wszyscy goście z Polski potrzebują lustracji, a wielu z pewnością jest jej przeciwnikami. Natomiast we Lwowie po „złotym wrześniu” 1939 r. sytuacja jest zupełnie inna. Na proste zwrócenie uwagi po galicyjsku: „nie fajnie!” nie każdy potrafi odejść po angielsku lub wyrazić się po rosyjsku.

Wielki Polak i lwowianin Zbigniew Herbert wszystkim rodakom pozostawił jednoznaczna zapowiedź: „Idź i świadcz!” Na szczęście obecnie mamy wolną i niezależną od przyjacielsko-rodzinnych kółek (różnych

stronnictw patriotycznych?) prasę i każdy może publicznie zaprezentować własne zdanie na wspólne tematy, jeżeli oczywiście nie ma co ukrywać. Więc po co gdziekolwiek dzwonić i cokolwiek wyjaśniać? Po co wspólne tematy omawiać dwa razy do roku w kolejkach po kilo cukru, przestarzałą aspirynę w nieoznakowanych opakowaniach wraz z podartymi butami i z jedną książką w dłoni, w dodatku o jakiegokolwiek treści? Czyżby kultura polska polegać miała li tylko na działalności charytatywnej oraz na układaniu kwiatuśków pod pomnikami?

Oczywiście, najbardziej nieśmiało, lub mało zdolni mogą poddać się medytacji wzorem sztuki Andrzeja Dudka-Dürera, która jest poszukiwaniem drogi wyjścia z pustki duchowej – drogi do źródeł ideowych. Ta sztuka wskazuje, że „twory sztuczne” nie reprezentują tak naprawdę idei wolności, czyli faktycznie świadczą o ich „fikcyjności”. Statua Wolności w USA jest tylko ideowym symbolem wolności, a nie jej źródłem. Podobnie jest z patriotyzmem, jego sztuczność pojawia się wtedy, gdy chciwość prywatnych interesów dominuje nad interesami narodowymi. Razem z tym odbywa się jednoznaczna zmiana tożsamości osobowej. W sztuce jedzenia, na przykład, czarnego kawioru nigdy nie podaje się wraz z czerwonym. Czyżby nie wiedzieli o tym wielbiciele „furszetów” poimprezowych? Patriotyzm nie może być opłacalnym, ale może być jedynie ofiarnym.

Wyciągnięcie koncepcji umiarkowania własnego egocentryzmu z twórczości Andrzeja Dudka-Dürera staje się być zrozumiałe. Pozostaje pytanie, czy warto sięgać do awangardowego postmodernizmu, odwołującego do akceptacji innych (wschodnich) kultur, gdy żyjemy nie w Azji i nawet nie na przesterżeni euroazjatyckiej, lecz w europejskim Lwowie? Żyjemy dzięki ofiarności takich bohaterów, jak Rotmistrz Pilecki, Generał Nil, Premier Władysław Sikorski i Rodacy, spoczywający w dolach katyńskich i innych grobach Golgoty Wschodu.

JUBILEUSZ W ŻÓŁKIEWSKIEJ KOLEGIACIE



Uroczysta Msza św., w centrum ks. Ludwik Kamilewski



KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcia

Wiele wspólnot Kościoła rzymskokatolickiego w tym roku uroczysto obchodziło 20-lecie odzyskania świątyni. Na terenie Archidiecezji Lwowskiej jednym z pierwszych kościołów, w którym po długich latach znów zabrzmiało słowo Boże, była sławna kolegiata w Żółkwi.

Wzniesiony w XVII wieku kościół jest jedną z najpiękniejszych świątyni łacińskich nie tylko na Ukrainie, ale również wśród wielkich zabytków kultury polskiej. Działalność parafii została przerwana w 1945 roku. Proboszcz ks. Zmora, tak jak i większość Polaków żółkiewskich, został zmuszony przez władze sowieckie do wyjazdu do powojennej Polski. Kościół św. Wawrzyńca oddano pod magazyn, a budynki parafialne przejęto dla celów administracyjnych. Dopiero w 1989 roku zniszczoną i splądrowaną świątynię przekazano wspólnocie rzymskokatolickiej. 28 października w 1989 kościół poświęcił ojciec Rafał Kiernicki OFM Conv, długoletni proboszcz Katedry Lwowskiej, który powierzył parafię żółkiew-

ską swemu wikaremu, ks. Ludwikowi Kamilewskiemu.

Ks. prałat Ludwik Kamilewski obecnie pełni posługę kapłańską w Żytomierzu. Ku wielkiej radości wiernych starszego i średniego pokolenia nie tylko z Żółkwi i okolic, ale i ze Lwowa, przyjechał na zaproszenie ks. Bazylego Pawełki, długoletniego proboszcza żółkiewskiego. Radość obchodów 20-lecia odzyskania kościoła św. Wawrzyńca dzielił również grekokatolicki wraz z ks. Włodzimierzem Walewskim z Bojańca.

Z wielkim wzruszeniem przemawiał do licznie zgromadzonych w kościele wiernych ks. prałat Ludwik Kamilewski, który przewodniczył uroczystej Mszy św.

Przypomniał on, jak w ciągu 17,5 lat posługiwał wraz z ojcem Rafałem w Katedrze Lwowskiej oraz ratował w tych czasach od całkowitego zniszczenia świątynię na Ziemi Lwowskiej oraz na terenach sąsiednich. Zwrot kościołów zaczął się od Rudek, koło Sambora, potem w Rawie-Ruskiej, Kamionce-Buskiej i na Wołyniu. Na poświęcenie zwróconych kościołów wierni przyjeżdżali z bliskich i dalekich wiosek. Po raz pierwszy po II wojnie światowej szli wtedy na czele procesji z krzyżem, nie kryjąc łez w oczach.

„Jaka ta była radość, jakie to było przeżycie! – przypominał kapłan. – To nie moja w tym zasługa, a zasługa tych ludzi. Zasługa Pańska”.

Ks. prałat Kamilewski powiedział także, że w tych czasach z wielką pomocą wiernym przyszła Polska. W szczególności przypominał wydarzenia z lat walki rzymokatolików o zwrot zniszczonej kolegiaty w Żółkwi i o remontach kościoła. Wtedy wśród góry śmieci znaleziono też kuchnię wojskową. Po wojnie w tej świątyni zbierano ludzi, których reżym komunistyczny wygnał na daleką Syberię. W imieniu wszystkich zgromadzonych w tej świątyni ks. Ludwik dziękował Panu Bogu za to, że udało się odzyskać oraz tak pięknie odnowić ten zabytkowy kościół i prosił, aby tutaj jednoczył się lud Boży na modlitwę.

Bardzo wzruszającym wydało się spotkanie ks. prałata Ludwika Kamilewskiego z parafianami, a także byłymi ministrantami lwowskiej katedry, którzy przyjechali na jubileusz.

Wielką zasługę w odrodzeniu Kolegiaty Żółkiewskiej odniósł długoletni proboszcz ks. Bazyli Pawełko. Ks. Pawełko długo wymieniał nazwiska gorliwych parafian, którzy otrzymali pamiątkowe różańce. Dziękował Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych i Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, których studenci w ciągu praktyk letnich odwiedzają Kolegiatę Żółkiewską. Podkreślił, że dr Janusz Smaza prawie się zakochał w tej świątyni i ze swymi studentami już od 19 lat przyjeżdża z Warszawy, aby wykonywać tutaj prace, które przekraczają możliwości miejscowej wspólnoty.

Po zakończeniu Eucharystii w kościele św. Wawrzyńca odbył się koncert muzyki organowej z udziałem znanej organistki z Kijowa Anny Bubnowej. Z okazji jubileuszu został wydany też oryginalny kalendarz parafii żółkiewskiej na 2010 rok.

LIST OTWARTY

Polskie Towarzystwo Radiowe,
Społeczna Redakcja „Radia Lwów”

Nawiązując do „Komunikatu bez scriptum”, opublikowanego w „Kurjerze Galicyjskim”, nr 20 z dnia 2-16 listopada 2009 roku, a dotyczącego mojego artykułu we wcześniejszym numerze tejże gazety, chciałbym zauważyć, że:

Przede wszystkim, w swoim artykule odniosłem się do pominięcia w radiowym serwisie informacyjnym wydarzenia kulturalnego, jakim było rozpoczęcie, na reprezentacyjnej scenie lwowskiej, czyli w dawnym Teatrze Skarbkowskim, 51. sezonu artystycznego Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie. Nasze inauguracyjne przedstawienie poświęcone było dwusetnej rocznicy z dnia narodzin Juliusza Słowackiego. I tu pragnę stwierdzić, że zaproszenia na tę imprezę były kolportowane właśnie przy pomocy „Radia Lwów”. Nie sposób więc zgodzić się z sugestią autorki „komunikatu”, że „Radio Lwów” nie zostało poinformowane o mającym się odbyć spektaklu. Rozumiem, że misją dziennikarza (w tym przypadku – radiowego) jest przede wszystkim szybko reagowanie na istotne wydarzenia w środowisku bliskim dla jego słuchaczy.

„Radio Lwów”, to robi to głównie z ciekawości, co dzieje się w środowisku tutejszej społeczności polskiej. Jeżeli więc dziennikarz tego radia, zainteresowany festiwalem filmowym w Cannes, nie potrafi znaleźć czasu dla spektaklu inaugurującego kolejny sezon artystyczny Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie, a o nagrodzie „Fidelis Poloniae” wspomina dopiero po mojej interwencji, to musi to budzić zaniepokojenie. I jeśli w związku z tym ktoś publicznie poddaje taką postawę krytyce, to chyba należałoby po prostu przyjąć to za dobrą monetę, a nie zasłaniać się brakiem formalnego zaproszenia, czy - co gorsze - niewybrednie atakować osobę krytykującą. Warto chyba wykorzystać krytyczne uwagi dla doskonalenia pracy redakcji (w tym także dla większej dbałości o czystość języka polskiego na antenie). A już kompletnym nieporozumieniem jest odzew w postaci inicjowania wśród słuchaczy swojej „kampanii obrony” jakoby „znieważonego” zespołu.

Zbigniew Chrzanowski

Post Scriptum:

1) Moje krytyczne słowa w tej konkretnej sprawie nie dotyczą bynajmniej całokształtu działalności polskiego „Radia Lwów”. Wręcz przeciwnie, dostrzegam bardzo udane przejawy tej działalności, choćby audycję w dniu Święta Zmarłych, której zresztą zdążyłem już pogratulować Prezesce Polskiego Towarzystwa Radiowego we Lwowie, Pani Teresie Pakosz;

2) Co do wywiadów radiowych z członkami zespołu Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie, to – wbrew sugestii autorki – nie wprowadzam tu żadnych ograniczeń i tylko cieszyłbym się, gdyby Społeczna Redakcja „Radia Lwów” takimi wywiadami była zainteresowana.

3 grosze od „Kuriera Galicyjskiego”

Od kilku numerów łamy naszej gazety stały się trybuną polemiki pomiędzy zespołem „Radia Lwów”, a dyrektorem Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie Zbigniewem Chrzanowskim. Myślę, że mamy prawo zabrać głos i my, chociażby jako słuchacze NASZEGO „Radia Lwów” i widzowie NASZEGO Teatru Ludowego we Lwowie. Odpowiadamy na niektóre, zadane w trakcie tej polemicznej dyskusji, pytania pod adresem słuchaczy, widzów i czytelników.

1. „Radio Lwów” jest POTRZEBNE i NIEZBĘDNE polskiemu środowisku we Lwowie i nie tylko tam.

2. To samo dotyczy Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie.

3. Myślę, że dotyczy to również kilku drukowanych po polsku periodyków (w tym, mam nadzieję także naszej gazety). Ach, jakby jeszcze była telewizja!!!

4. Wszystkie te podmioty mają jeden cel. By go osiągnąć należy dążyć do nieustannego doskonalenia się, przekazywać sobie uwagi, także krytyczne, co nie oznacza, że z każdą ze zgłoszonych uwag należy się zgodzić. Szanujmy się wzajemnie. A nawet więcej...

KOCHAJMY SIĘ!

MARCIN ROMER

Myśl.pl o Kresach

pismo społeczno-polityczne

myśl.pl

nr 15, jesień 2009
indeks 219134

cena 8,90 PLN
w tym 7% VAT

ISSN 1896-2084
9 727896 208900 09

KRESY
ROMANTYCZNA NOSTALGIA,
CZY POLITYCZNA SZANSA?

→ Ł. Trzeciak O kresach uwag kilka str. 13	→ prof. B. Grott Białoruś wobec Polski i polskości str. 18	→ W. Tomaszewski Chcemy łączyć Litwinów str. 22	→ gen. L. Kobierski Potrzeba organizacji str. 60	→ R. Wyrostkiewicz Polski bank na Ukrainie str. 66
--	--	---	--	--

Ukazał się nowy numer społeczno-politycznego kwartalnika Myśl.pl (nr 15, jesień 2009) w całości poświęcony Kresom.

Ten niezmiernie ciekawy, nie tylko ze względu na swoją tematykę, numer otwiera artykuł „Kresy jutra” autorstwa Sylwestra Chruszcza i Bartłomieja Królikowskiego. Zamieszczamy go obok, razem z komentarzem, o jaki zwrócili się do nas autorzy artykułu. W ramach „Ankiety myśl.pl” zamieszczamy wypowiedź prezesa Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” – Macieja Płażyńskiego. Zapraszamy do dyskusji naszych Czytelników. Co myślicie o „Kresach jutra”? Czy można wokół tego zbudować realny program, czy też jest to kolejna mrzonka i nic się nie da zrobić?

Bartłomiej Królikowski



Publicysta m.in. kwartalnika „Myśl.pl” i portalu opinii o tej samej nazwie. Członek Rady Programowej TVP Szczecin oraz Polskiego Radia Szczecin.

Kim jestem? – pisze o sobie na swoim blogu.

- Myślę, że wciąż endkiem, choć kiedy widzę niektórych

spośród tych, którzy używają tego terminu, kusi mnie by powiedzieć: za cholerę nie jestem endkiem, jeśli narodowcami są oni. Być może będąc nieświadomym ewolucji poglądów stałem się już konserwatystą... z całą pewnością Polska leży mi na sercu, nazwijcie więc to, jak sobie chcecie.

Sylwester Chruszcz



W latach 2004 – 2009 poseł do Parlamentu Europejskiego. Z wykształcenia architekt.

Architektura to moja życiowa pasja, którą realizuję od czasu studiów – pisze o sobie. Interesuję się historią Ziemi Zachodnich oraz polskich Kresów Wschodnich – skąd pochodzili moi dziadkowie. Od wielu lat czynnie uczestniczę w życiu społeczno-politycznym.

BARTŁOMIEJ KRÓLIKOWSKI,
SYLWESTER CHRUSZCZ

KRESY JUTRA

Jakiegolwiek projekty, które można określić jako „Kresy jutra” w Polsce po prostu nie istnieją, a nie będą istnieć bez poważnej debaty. Nie ma mowy o jakichkolwiek ambitnych projektach, połączonych w bogatą koncepcję i realizowanych za granicami kraju, dopóki dopóty w Polsce nie zostanie przełamany pat w tej materii.

W Polsce temat Kresów Wschodnich i Polaków zamieszkujących te tereny jest tematem niemal zarezerwowanym dla organizacji, skupiających Kresowian oraz różnych grup katolickiej prawicy, które to wpisały sobie tę kwestię do swojego repertuaru argumentów mających udowodnić tezę o powszechnym antypolonizmie. Już nawet środowiska umiarkowanej prawicy kilka razy zastanowią się nim podejmą uczestnictwo w dyskusji na

temat Wilna, Grodna czy Lwowa. Widać to doskonale w postawie środowiska Prawa i Sprawiedliwości – z prezydentem Kaczyńskim na czele – które bardzo obawiają się zajęcia wyraźnych stanowisk w sprawach Kresów. Owszem, w tym konkretnym przypadku możemy usprawiedliwić to gorącym pragnieniem utrzymania dobrych relacji z „pomarańczową” Ukrainą, która na samo wspomnienie Polski na Kresach reaguje niezwykle kategorycznie. Nie sposób jednak nie zauważyć, że temat ten został sprowadzony niemal wyłącznie do ukraińskiej części Kresów, niemal wyłącznie do kwestii rzezi wołyńskiej i związanego z tym kultu UPA. Wygląda to tak, jakby cały ogromny potencjał Kresów został zastąpiony jednym tylko – ważnym i tragicznym co prawda – wydarzeniem. Dominacja ludobójstwa wołyńskiego przesłoniła cieniem całą bogatą problematykę

Kresów Wschodnich, a retoryka dominująca w tym temacie w połączeniu z wizerunkiem środowisk, które się jej podejmują zdeprecjonowała temat Polaków ze Wschodu w polskiej debacie publicznej. Dziś problem ten jest zagadnieniem niepopularnym, tematem, po którym poznaje się środowiska niepoważne, które oplakują wymagowaną Rzeczpospolitą, które dawno już straciły kontakt z rzeczywistością. Aspekt nostalgiczny czy historyczny oczywiście jest potrzebny, ale tylko jako element uzupełniający, czynnik przeniesienia myśli kresowej, prawdy historycznej.

Nie będzie przesadą, jeśli postawi się tezę, że główną przeszkodą do całkowicie nowego, otwartego i jak najbardziej twórczego spojrzenia i zarazem przekierowania na ten sposób polityki polskiej, jest wypaczony obraz Kresów. Jest to obraz skrajnej nostalgii, wykrzywionego w chimeryczny spo-

sób sentymentu, który byłby – jak się wydaje – raz na zawsze zaspokojony, gdyby Ukraina i wszyscy Ukraińcy raz na zawsze pokajali się za swe zbrodnie przed całym światem. Ta zdewaluowana postać celu politycznego poprzez zgilek środowisk, które zdominowały ten temat, przysłoniły całą paletę innych, ważniejszych celów. W takich warunkach nie może rozwijać się zdrowa, pozbawiona niepotrzebnych emocji debata, nie mogą powstać poważne projekty dotyczące Kresów Wschodnich i mieszkających tam Polaków. Ważnym interesem Polski są „Kresy jutra”, „Kresy przyszłości”, w których polski kapitał – zarówno ten w rozumieniu demograficznym, finansowym jak i intelektualnym, politycznym czy kulturalnym – będzie poważnym czynnikiem budującym codzienność od Wilna aż po Kamieniec Podolski. Być może wraz z realizacją tego projektu, wraz z realizacją „Kresów jutra” łatwiej będzie rozwiązać problemy przeszłości. Wraz z intensywniejszą współpracą z narodami sąsiednimi,

znalezieniem tam naszych realnych partnerów, wymianą gospodarczą, kulturalną, wraz z zaprezentowaniem otwartej i atrakcyjnej Polski, którą będzie można oglądać codziennie w sklepie w Grodnie czy na uczelni we Lwowie, łatwiej będzie pokonać demony przeszłości, obalić negatywne stereotypy na temat Polski i Polaków.

Wydaje się jednak, że największym wrogiem podjęcia choćby dyskusji o otwarciu się Polski na Kresy, jest retoryka „Kresów przeszłości”. Dominuje ona, dusząc każdą dyskusję na temat projektów przyszłości. A to już w wielu kręgach jest odbierane jako poważny nietakt historyczny, intelektualny. Ten stan rzeczy trzeba przełamać, narażając się niestety na emocjonalnie nacechowane zarzuty środowisk, które zmonopolizowały prawo do dyskusji o Kresach, oczywiście sprowadzonej do postaci requiemu o Wołyniu. Jakiegolwiek projekty, które można określić jako „Kresy jutra” w Polsce po prostu nie istnieją, a nie będą istnieć bez poważnej de-

baty. Nie ma mowy o jakichkolwiek ambitnych projektach, połączonych w bogatą koncepcję i realizowanych za granicami kraju, dopóki dopóty w Polsce nie zostanie przełamany pat w tej materii.

Tożsamość kresowa – ważny składnik polskości

Polacy zamieszkujący znajdujące się poza granicami kraju tereny kresów wschodnich z całą pewnością nie przedstawiają takiego bogactwa zarówno intelektualnego, jak i gospodarczego w porównaniu do swoich przodków, zamieszkujących Lwów czy Wilno w czasach II Rzeczypospolitej. Przed wojną bowiem wspomniane kresowe metropolie były wybitnymi ośrodkami nie tylko na skalę regionalną, ale z całą pewnością ogólnopolską. Mało tego, były ważnymi ośrodkami w całym regionie centralnej i wschodniej Europy. Dziś, owszem jest to przyznawane, jednak beznamietne potraktowanie tego tematu często owocuje brakiem uznania rzeczywistej wartości tego niewątpliwego sukcesu. Sukcesu, który był dziełem Polaków szczególnego typu, Polaków kresowych.

Dziś na Kresach cały czas spotykamy się czarującą polskością, usposobieniem mieszkających tam rodaków, niespotykaną kulturą bycia, które przetrwały tam w niemal nienaruszonym stanie od czasów II Rzeczypospolitej. Cały czas spotkamy tam Polaka, przedstawiciela kultury zachodniej, przedstawiciela cywilizacji łacińskiej, która piękno, kulturę i filozofię wykrystalizowała w sobie poprzez starcie z narodami ze Wschodu. A przecież Kresy były przez całe wieki tygłem narodów i to głównie narodów wschodnich. Ta oszlifowana w licznych konfliktach, walce o tożsamość, specyfika Polaka stała się doskonałym środowiskiem dla rozwoju wielu wybitnych postaci, w które obfituje historia Kresów Wschodnich. Jeśli dodamy do tego specyficzne, wyjątkowe połączenie polskiej ludowości z ogromnym potencjałem intelektualnym ważniejszych ośrodków akademickich, łatwo zrozumiemy, że naród polski stracił jeden z najważniejszych swoich składników. Można nawet powiedzieć, że oprócz sylwetki Polaka z Wielkopolski jest to jeden z dwóch najważniejszych typów osobowości polskiej, która razem ukształtowała uniwersalną świadomość polską.

Polacy po obu stronach granicy II Rzeczypospolitej doświadczyli szczególnie wiele. Oprócz zbrodniczej okupacji niemieckiej, czy też barbarzyńskiej okupacji sowieckiej, doświadczyli ludobójstwa ze strony faszystów ukraińskich, którzy z nienawiścią zalali krwią całe województwa. Jak wiele znaczy tożsamość kresowa, ta duchowa odrębność, łatwo wskazać na przykładzie Wrocławia czy innych większych ośrodków Ziemi Odzyskanych, w których to niemal z miejsca przesiedleni mieszkańcy Kresów zaczęli odgrywać znaczącą rolę w kulturze, nauce, życiu społecznym. Rzecz jasna potencjał ów był zbyt słaby, zbyt zdziesiątkowany, pozbawiony elit, aby móc przenieść bez utraty na wartości wzorce z miast Kresów.

Dziś oprócz ujmującego usposobienia i wciąż żywej tożsamości kresowej Polacy na Wschodzie nie znajdują tyle siły, aby zorganizować życie na Kresach Wschodnich na wzór tego

przed 1939 r. Jest to raczej odważna, zdecydowana i skuteczna, ale jednak walka o obronę podstawowych praw, o obronę prawa do polskości i wiary katolickiej. Oczywiście, nie należy tutaj generalizować. Zupełnie przecież inaczej wygląda sytuacja w Wilnie, inaczej w Grodnie i jeszcze inaczej we Lwowie, gdzie nawet podstawowe prawo własności jest w odniesieniu do Polaków brutalnie łamane.

Nie należy jednak popadać w skrajny pesymizm. Aktualna kondycja Polaków w mniejszym lub większym stopniu nie jest bardziej witalna przede wszystkim dlatego, że w kraju nie ma pomysłu na Kresy, na pomoc w pozytywnym nowym otwarciu Polaków na Wschodzie. Środki i sygnały płynące z Warszawy są po pierwsze

w mniejszym lub większym stopniu jest spowodowane obecnością świadomej narodowo ludności polskiej. Tak więc na słowa o wzmożonej aktywności Polski wobec Polaków na Wschodzie, o wielopłaszczyznowych projektach nowego otwarcia, łatwo postawić zarzut naiwności. Przecież narody zamieszkujące rzeczony tereny są niezwykle czule na każdy przejaw aktywności polskiej, na każdy argument mówiący, że Polacy są tam u siebie, że znikąd nie przyjechali, że nie są obcy.

Rzeczywiście, zmiana polityki Warszawy wobec Kresów i Polaków zamieszkujących te tereny wymaga subtelności, wyczucia i znajomości narodów sąsiednich. Polska subtelność zmutowała się do skrajnych postaci, przez co wysyłany jest jasny

sygnał o to, że nie od tego powinno się zacząć.

Nacisk położony być powinien na zupełnie inne elementy polsko-ukraińskich, ale także polsko-litewskich czy polsko-białoruskich interakcji. Przede wszystkim trzeba postawić na odbudowanie zaufania między narodami. To osiągnąć można tylko przez wzajemne poznanie się, obalenie stereotypów. Niezbędna wydaje się swego rodzaju kampania kulturalna, ilustrująca obiektywnie pozytywny wkład Polski i Polaków w najpiękniejsze walory Kresów. Winno zostać to pokazane nie jako przejaw polskiej ekspansji, ale jako wspólne dziedzictwo, które ubogaca dziś ukraińskie czy białoruskie regiony, ludności oferuje całą gamę

archaicznym języku musi zostać odrzucona. Język otwarty, ale przecież nie sprzeniewierzający się polskim wartościom i prawdom historycznym, nastawiony jednak na uznanie tego, co inne narody wniosły w budowę europejskim kontekście, ma dużo większe szanse powodzenia. Ci, którzy doszukują się w tym zaprzędania pryncypiów (takich jak choćby walka o pamięć wołyńską), mylą się. Szorstkim językiem nie da się nic osiągnąć po drugiej stronie, potrzebna jest polityka wielu kroków, które muszą w końcu doprowadzić do zrozumienia polskich racji o wielu tragicznych wydarzeniach. Już dziś powinniśmy położyć akcent w debacie z Ukraińcami na to, że z ręką zbrodniczej UPA ginęły również dziesiątki tysięcy Ukraińców.

Nikt też dziś nie określił, jakie interesy po swojej zachodniej granicy ma Rosja, gdzie one są zbieżne z polskimi a gdzie im przeciwstawne. Wydaje się, że Rosjanie już dawno rozpoczęli swoją miękką politykę, przez radio film i muzykę, tak, by odzyskać wpływ tam, gdzie istnieje ich mniejszość narodowa. Rosjanie choćby przez ofensywę swojej popkultury mocno osadzili się w świadomości społecznej państw między Polską a Rosją, gdzie w wielu regionach doprowadzili do kulturowej rusyfikacji. Dziś wygrywają różne polityczne wybory w Estonii i Łotwie, mocno wewnętrznie wzmacniają swoje organizacje w tym regionie. W Moskwie tak jak i u nas z całą konsekwencją przypomina się o zbrodniczej historii OUN i UPA. Dziś mało się w Polsce mówi o tym, że wielu litewskich Rosjan i Białorusinów woli dziś głosować na Akcję Wyborczą Polaków na Litwie, widząc w niej reprezentanta swoich interesów.

W poszukiwaniu sojuszników

Wszelkie te działania, nawet najbardziej przyjazne, twórcze i budujące działania, nie stworzą trwałych podwalin pod wzmożoną aktywność Polski na Kresach Wschodnich, gdy Polacy będą działać sami. Potrzebne jest szerokie grono podmiotów, narodów, które zostaną zaproszone do tego „europejskiego leczenia ran”. Można być przekonanym, że tego rodzaju projekty zyskują uznanie w całej Europie i to pod unijnym sztandarem będzie można wykonać całą masę pozytywnej pracy, której owocem może być właśnie przygotowanie gruntu, ochłodzenie wrogości do Polaków, obudzenie sympatii, bez której każda obecność Polski po drugiej stronie granicy będzie owocowała skandalem i manifestacjami radykałów.

Nie mniej istotna jest zmiana kursu geopolitycznego Polski w tym regionie. Jedynie kurs wobec Litwy i budowanie jednego bloku z państwami bałtyckimi może być oceniane pozytywnie. W odniesieniu do Kijowa i Mińska sprawa wygląda już mniej optymistycznie. Warszawa zdecydowanie opowiedziała się za demokratami, a więc opozycją wobec Łukaszenki. Z punktu widzenia polskich interesów jest to raczej pochopne posunięcie. Owszem, nie należy udawać, że demokratycznej opozycji nie ma, albo też że prezydent Białorusi jest demokratą na wzór zachodni. To są oczywistości, o których doprawdy nie warto debatować całymi latami. Na razie w Mińsku rządzi Łuka- ▷



Lwów, Wołoska cerkiew i kościół Dominikanów

slabe, nieśmiało ciągle oglądające się na sąsiednie stolice, a z drugiej strony defensywne, skupione na cikliwym zachowaniu szczupłego stanu posiadania. Jakże bolą słowa Polaków z Wilna, którzy mówią, że najlepszą dla nich pomocą byłoby zamknięcie polskiej ambasady w Wilnie, czy rodaków ze Lwowa, którzy mają poważny do nas zarzut, że zostawiliśmy ich a tak poparliśmy szkodliwą dla nich „pomarańczową rewolucję”. Bez jasnej, spójnej i wielopłaszczyznowej koncepcji z Polski, z Warszawy, na wspomniane nowe otwarcie, na „Kresy jutra” stan ten nie ulegnie zmianie. A przecież może mieć to nie tylko zbawcze skutki dla samych Kresów, ale i poprzez tamtejszą – jak wspomniano wcześniej, niezwykle cenną – tożsamość i potencjał także dla Polski i nowoczesnej świadomości Polaków XXI wieku. Polaków, którzy potrzebują witalności kresowej, by z pogodą ducha uczestniczyć w procesach zjednoczonej Europy.

Kresowość nie jest wroga narodom sąsiednim

Pierwszym zarzutem, jaki pojawi się w odniesieniu do powyżej wskazanych tez będzie – jak sądzę – zarzut nierealności. Faktem jest przecież, że Polacy zamieszkują najbardziej narodowo aktywne tereny Litwy, Białorusi i Ukrainy. Można nawet powiedzieć więcej, że ożywienie narodów sąsiednich w tych właśnie miejscach,



sygnał o polskiej uległości, o pozostawieniu Polaków na Wschodzie samym sobie. A to jest sygnał, który już na wstępie blokuje pewne działania. Z drugiej zaś strony wiele środowisk uderza w punkt najbardziej czuły – w tym wypadku dla Ukraińców w zbrodnie UPA i OUN. Można powiedzieć, że zaczęto zupełnie od końca. Polacy jako naród nie mając za grosz zaufania po stronie narodu ukraińskiego – mowa tu głównie o zachodniej Ukrainie – celują w najbardziej czuły, z jednej strony wstydlivy, z drugiej zaś legendarny punkt tożsamości ukraińskiej. Oczywiście, prawda historyczna jest istotna, nie można pozwolić sobie na zbyt koncyliacyjne podejście – to tylko rodzi coraz większy brak sza-

bardzo interesujących wydarzeń kulturalnych. Stale należy podkreślać, że obecność polskiej kultury, nauki, czy przede wszystkim popkultury i rozrywki na tamtych terenach to nie oznaka polskiej ekspansji, ale nasz wkład w budowę mostów między narodami, powinniśmy zaszczyć w sąsiadach myśl o budowaniu jedności w wielości. Do tego niezbędnym wydaje się zaznaczenie, że przez Polskę tak naprawdę płynie na Wschód nie tylko kultura znaną z Wisły, ale przede wszystkim świadomość zachodnia, europejska, za którą często za Bugiem tak się tęskni. Polska narracja musi być mocno zakorzeniona w wątku europejskim. Retoryka narodowa, szorstka, egoistyczna, prowadzona w

▷ szenko i prędko się to nie zmieni – wskazuje na to siła i kondycja opozycji demokratycznej. Dla dobra więc Polaków zamieszkujących w Brześciu i Grodnie winno utrzymywać się pozytywne relacje z przywódcą państwa, w którym żyją, zwłaszcza, że złe relacje odczuwają oni niemal natychmiast. Także w szerszym ujęciu – co zresztą widać było już w działaniach ministra Sikorskiego – działania w stosunku do Łukaszenki winny zostać zredefiniowane. Białoruś, z Łukaszenką czy bez niego – a jak wspomniano wcześniej, wygląda na to, że z nim, albo wcale – musi zostać przeciągnięta na stronę Zachodu, a więc i Warszawy. Będzie to sojusznik nadzwyczaj egzotyczny, ale jego pozyskanie w dobie dość chłodnych stosunków Mińska z Moskwą wydaje się dość realne. Oczywiście jest przecież, że lepszy jest Łukaszenko utrzymujący intensywniejsze relacje z Zachodem (w tym przecież także – a może przede wszystkim – z Polską) aniżeli obraz państwa satelickiego wobec Kremla – co dla Polski jest dziś niekorzystne.

Polska zbyt łatwo skreśla sojuszników, którzy być może niemedialni, są jednak często kluczem do zaistnienia Polski na Kresach Wschodnich. Mogą oni nawet w pewnym sensie rozwiać obawy wobec Polski, a nawet legitymizować polskie działania w regionie. Tutaj zwłaszcza warto zwrócić uwagę na „niemedialną” opozycję w postaci Partii Regionów Wiktora Janukowycza. Postawienie na jedną stronę w politycznym konflikcie już samo w sobie było błędem. Co ciekawe, nie zjednało to sympatii dla Polski na „pomarańczowej”, zachodniej, Ukrainie. Dziś tylko tam znaleźć możemy zwolenników prezydenta Juszczenki i premier Tymoszenko. Ci zaś – nie bez przyjemności, jak łatwo zauważyć – odplacają się ludności tego regionu kultywując zbrodniczą legendę OUN i UPA. Z kolei ci, na których Polska patrzy nieprzychylnie i odnosi się do nich wrogo – a więc zwolennicy „niebieskich” nie tylko nie popierają, nie tylko nie przechodzą obok kultu Bandery, ale wręcz raz po raz wyraźnie przeciw temu protestują. Co więcej, Partia Regionów w sposób oczywisty broni suwerenności i integralności Ukrainy, co wyraża argument z dłoni tym, którzy widzą w niej piątą kolumnę Kremla. Takich sojuszników w państwach sąsiednich jest naprawdę sporo. Co ważne, nie są to sojusznicy marginalni – nikt nie powiedział, że Janukowycz przegra, z pewnością zupełnie demokratyczne, wybory prezydenckie.

Koncepcja, podwaliny, działanie

Przemyślanej polityki wobec Kresów Wschodnich dziś Polska nie prowadzi. Są to działania odosobnione, nieśmiałe i niespójne – przez co efekty są niemal niewidoczne. Dzieje się tak, ponieważ w Warszawie wciąż panuje zawstydzenie tematem Kresów, jest to temat raczej nostalgiczny, stanowiący paliwo dla radykałów. Nie jest to z pewnością na razie smakowity kąsek dla intelektualnych salonów, a przez to dla politycznego mainstreamu i w konsekwencji dla rządu. Koniecznym jest więc przekierowanie dyskusji o Kresach, ukazanie w nich nowoczesnego waloru, który może być poważnym zastrzykiem pozytywnej energii dla Polski. Tylko w takim klimacie może narodzić się no-

woczesna, pozbawiona kompleksów, koncepcja polityki wobec Kresów. Tylko wówczas mogą powstać odważne, witalne projekty.

Projekty te połączone w jedną wspólną strategię są dziś konieczne. Trudno powiedzieć, czy jest to już za pięć dwunasta w sprawie Polaków mieszkających na Wschodzie, jednak czas już z pewnością najwyższy. Potrzebne jest utworzenie wieloelementowej sieci, która połączy Polaków ze Wschodem. Musi to być z całą pewnością dużo lepsza komunikacja, sieć transportowa, finansowa i gospodarcza, kulturalna, oświato-



wa i wiele, wiele innych, które dadzą zastrzyk energii, nowej perspektywy przez kontakt z krajem i Unią Europejską Polakom mieszkającym w krajach przecież byłego ZSRR (skupiam się w tym miejscu raczej na Białorusi i Ukrainie). Projektem koniecznym jest zbudowanie szybkich i komfortowych połączeń komunikacyjnych z Wilnem, Mińskiem i Lwowem, tak by można zacząć tam robić wspólne interesy, by nasza młodzież i rodziny mogły się spotkać. Karta Polaka nabierze wtedy realnego wymiaru, wymiany myśli i doświadczeń, dla tych, co już nie mówią po polsku, uczuciowego związku z polskością. Przecież taki sam projekt zrealizowały już Niemcy w stosunku do części mieszkańców Opolszczyzny. To właśnie w tym kierunku adresowana jest ta specyficzna retoryka i miękka polityka zza Nysy Łużyckiej, która zaowocowała pobudzeniem, czy wręcz stworzeniem pomyslnego dla Berlina narodowego kontekstu na Śląsku Opolskim.

Działania te będą tylko wtedy skuteczne, gdy zostanie utworzona podwalina w postaci zaufania do obecności Polski w tym regionie. Nie można dalej prowadzić polityki operując jedynie hasłami rewanżu historycznego (nikt nie musi rezygnować z prawdy, chodzi tylko o język). Konieczne jest obalenie stereotypów o Polsce, zniwelowanie antypolskiego radykalizmu. Tylko wtedy polskie projekty będą miały szansę się rozwijać. Kresy i Polacy zamieszkujący tamte tereny to dla Polski historyczna szansa, nie tylko smutny obowiązek, ale szansa na zastrzyk pozytywnej energii, który może pobudzić nieco ospałych Polaków z początku XXI w. i tchnąć w nich sporo obywatelskiego, zachodniego ducha. Tak właśnie, bo najbardziej zachodni duch został zrozumiany – dość paradoksalnie – na Wschodzie, we Lwowie i Wilnie.

(Myśl.pl
nr 15, jesień 2009)

Kresy jutra z południowo-wschodniej perspektywy

MARCIN ROMER

Dawno już nie czytałem podobnego tekstu. Artykuł redakcyjny Bartłomieja Królikowskiego i Sylwestra Chruszcza „Kresy jutra”, zamieszczony w ostatnim numerze kwartalnika Myśl.pl (patrz obok) to rzadka w dzisiejszej polskiej publicystyce próba postawienia nie tylko diagnozy, ale i przedstawienia nowej koncepcji polskiej polityki wschodniej i poddanie jej pod narodową



Podczas „Pomarańczowej rewolucji” na Majdanie w Kijowie

dyskusję. To próba wyjścia poza obręb panujących stereotypów i niemożności. To także propozycja dla państw i narodów żyjących na wschód od polskiej granicy, wspólnego zagospodarowania przestrzeni geopolitycznej od Bałtyku po Morze Czarne i skierowania jej ku wartościom Zachodu.

Od innych tego typu koncepcji, różni ją propozycja stosowania odmiennych metod realizacji, choć autorzy nie odrzucają już stworzonych, w tym przy walnym udziale Polaki przez Unię Europejską.

W przedstawionej koncepcji dużą rolę przypisują mniejszości polskiej na Wschodzie. Stawiają tezę, że wyraźne wsparcie Polaków na Wschodzie, przy jednoczesnym poparciu sił i środowisk poza wschodnią granicą, jakie już dziś wyznają idee europejskie powinno przynieść długo oczekiwany rezultat.

Trudno się z tym nie zgodzić, bowiem stawiane czasem pytanie: czy lepiej wspierać mniejszość polską (np. na Ukrainie), czy też skupić się na wsparciu środowisk proeuropejskich i polonofilskich wśród ukraińskiej inteligencji i miejscowych elit, przypomina pytanie: czy myć ręce, czy nogi?

Poważny stosunek Państwa Polskiego do swoich mniejszości za wschodnią granicą, w tym wyraźne wsparcie jej praw według kanonów europejskich, przysporzy mu tylko szacunku, także ze strony państw ościennych. Przy-

kład Litwy i sprawa pisowni polskich nazwisk wyraźnie tą prawidłowość potwierdza – niestety nie w sensie pozytywnym. Nie dość silne poparcie ze strony Macierzy sprawiło, że litewska polityka podwójnych standardów stała się normą.

Z większością tez, postawionych w artykule „Kresy jutra” zgadzam się całkowicie. Diabeł tkwi jednak w szczegółach. Skupię się więc na tych ocenach, które uważam za błędne, tym bar-



Wiktor Janukowycz

dzie, że stają się one coraz bardziej widoczne w publicystyce polskiej. W swojej polemice ograniczę się do spraw, dotyczących Ukrainy.

Ad rem:

W rozdziale: „Tożsamość kresowa – ważny składnik polskości” autorzy piszą:

Jakże bołą słowa Polaków z Wilna, którzy mówią, że najlepszą dla nich pomocą byłoby zamknięcie polskiej ambasady w Wilnie, czy rodaków ze Lwowa, którzy mają poważny do nas zarzut, że zostawiliśmy ich a tak poparliśmy szkodliwą dla nich „pomarańczową rewolucję”.

Z ostatnią frazą pozwolę się sobie nie zgodzić. To tak jakby zdezawuować ruch polskiej Solidarności z lat 1980 – 81, dlatego, że nie wszystko co nastąpiło po 1989 roku można uznać za udane.

Nigdy też nie spotkałem się wśród żyjących na Ukrainie Zachodniej Polaków, z tak sformułowanym zarzutem. Pamiętam doskonale dni ostatniego kwartału 2004 roku, pomarańczowe szaliki na szyjach miejscowych Polaków, białe czerwone flagi niesione w potężnych demonstracjach i entuzjazm jaki wzbudzała nawet polska rejestracja samochodu. Zupełnie inną sprawą jest późniejsze potężne rozczarowanie społeczne – ale to sprawa na odrębne opracowanie. „Pomarańczowa rewolucja” zmieniła jednak Ukrainę, wprowadziła inne standardy, jak chociażby wolność słowa. Wśród wielu Ukraińców zmieniła spojrzenie na Polskę w sensie wyraźnie pozytywnym, a państwu polskiemu przydała autorytetu. Co z tym potencjałem zrobiono później po obu stronach granicy, to jak mówił Kipling, zupełnie inna historia.

Stawiam tezę, że bez „pomarańczowej rewolucji” koncepcja „Kresów jutra” byłaby tylko mrzonką, niezależnie od tego kto w najbliższym czasie, czy też w przyszłości obejmie władzę na Ukrainie.

W rozdziale: „W poszukiwaniu sojuszników” może przecztać:

Polska zbyt łatwo skreśla sojuszników, którzy być może niemedialni, są jednak często



Oleh Tiahnybok

kluczem do zaistnienia Polski na Kresach Wschodnich. Mogą oni nawet w pewnym sensie rozwiać obawy wobec Polski, a nawet legitymizować polskie działania w regionie. Tutaj zwłaszcza warto zwrócić uwagę na „niemedialną” opozycję w postaci Partii Regionów Wiktora Janukowycza. Postawienie na jedną stronę w politycznym konflikcie już samo w sobie było błędem. Co ciekawe, nie zjednało to sympatii dla Polski na „pomarańczowej”, zachodniej, Ukrainie. Dziś tylko tam znaleźć możemy zwolenników prezydenta Juszczenki i premier Tymoszenko. Ci zaś – nie bez przyjemności, jak łatwo zauważyć – odplacają się ludności tego regionu kultywując zbrodniczą legendę OUN i UPA. Z kolei ci, na których Polska patrzy nieprzychylnie i odnosi się do nich wrogo – a więc zwolennicy „niebieskich” nie tylko nie popierają, nie tylko nie przechodzą obok kultu Bandery, ale wręcz raz po raz wyraźnie przeciw temu protestują. Co więcej, Partia Regionów w sposób oczywisty broni suwerenności i integralności Ukrainy, co wyraża argument z dłoni tym, którzy widzą w niej piątą kolumnę Kremla. Takich sojuszników w państwach sąsiednich jest naprawdę sporo. Co ważne, nie są to sojusznicy marginalni – nikt nie powiedział, że Janukowycz przegra, z pewnością zupełnie demokratyczne, wybory prezydenckie.

17 września 1939 r. stał się dniem zjednoczenia wschodnich i zachodnich ziem Ukrainy – oświadczył Wiktor Janukowycz – lider Partii Regionów, w Kaniowie, na mogile pochowanego tam ukraińskiego wieszcz Tarasa Szewczenki. Pewnie więc nie we wszystkim możemy mieć wspólne zdanie. Nie dezawuuje tu Par-

tii Regionów, która jak większość dzisiejszych partii na Ukrainie nie jest partią ideologiczną. Rozmawiać trzeba ze wszystkimi.

Za fałszywą jednak uważam tezę, że „pomarańczowa”, zachodnia Ukraina – jak piszą autorzy – jest wroga Polsce.

Prawdą jest, że silne wpływy mają tu siły skrajnie nacjonalistyczne – przeciwne Polsce, Węgrom, Rumunii, całej UE, a także werbalnie Rosji, choć niektórzy pokazują w tę stronę palcem jako źródło inspiracji. Nacjonalści są obecni w różnych partiach dawnej pomarańczowej koalicji, nigdzie jednak poza ultranacjonalistyczną „Swobodą” nie stanowią poważnego procentu. Stojący na czele „Swobody” Oleh Tiahnybok wyraźnie marzy o zajęciu pozycji ukraińskiego Haidera lub Le Pena, co w przekonaniu większości politologów jest mrzonką. Dodatkowo, w zajęciu bardziej zdecydowanego i przejrzystego stanowiska przez ukraińskich polityków przeszkadza permanentna kampania wyborcza. Sprzymierzeńcem sił ultranacjonalistycznych jest niska wiedza historyczna i znajomość współczesnej problematyki europejskiej, dużej części ukraińskiego społeczeństwa. Wciąż żywe są stereotypy utrwalone zwłaszcza w czasach Związku Sowieckiego, występujące dziś w zmutowanej formie.

Jest i odwrotna strona medalu. Prawdą jest bowiem również, że właśnie Zachodnia Ukraina jest regionem gdzie nastroje prozachodnie i proeuropejskie są najsilniejsze. To tu są środowiska jakie uważają Polskę za najważniejszego partnera w dążeniu do zajęcia przyszłego miejsca w UE. Zachodnia Ukraina jest najbliższa Zachodowi nie tylko geograficznie, ale i mentalnie. Wielu ludzi wyjeżdża stąd w różnych celach (w tym do pracy) do krajów UE. Ci którzy wracają są najlepszymi ambasadorami opcji europejskiej. Zachodzi tu proces podobny do tego, jaki rozpoczął się w Polsce jeszcze w latach siedemdziesiątych. Im więcej kontaktów ludzkich po obu stronach granicy tym lepiej. W ostatnich latach, po wprowadzeniu wiz przez Polskę, a później UE, kontakty te zmalały. Nie działa to na naszą korzyść.

Polityka polska powinna być tutaj szczególnie aktywna i zdecydowana. Byłoby olbrzymim błędem odgroźnienie się od tego regionu murem. Nawet mentalnym.

„Kresy jutra” bez Ukrainy Zachodniej nie powstaną.



MARCIN ROMER

Nie pisz pan tego. Kresy to rzecz święta, uduchowiona. Co kogo obchodzi, co oni z tym teraz robią? Zniszczyli wszystko i wszystko roztrwonili. Resztę przypiszą sobie. Tfu! A ci, co tu zostali – czy to, aby Polacy? To jakieś poturczeńce, z ich dziwnymi problemami, może mafia? Prawda, jest paru sprawiedliwych... Ja tam nie chcę z tym mieć nic wspólnego!

Ta opinia nie jest wymyślona. Dostało mi się naprawdę. To zmusza do zastanowienia. Jak to jest? Czym są Kresy w świadomości dzisiejszych mieszkańców Polski, a czym dla tych „autochtonów zza kordonu”?

Do tych pól malowanych zbożem rozmaitym...

pisał Adam Mickiewicz.

Te zboża rosły w różnych miejscach. Na przestrzeni ostatnich 250 lat pojęcie Kresów zmieniało się kilkakrotnie, oznaczając za każdym razem inne terytorium. Za każdym też razem tworzył się mit raju utraconego. Realne wspomnienia gasły, dając miejsce legendom.

Wieść niesła, że gdzieś daleko, na wschodzie, był ład. Ład szczęśliwy. Słońce świeciło tam zawsze, zboża rosły po dachy, a żyjący tam ludzie wiedli życie spokojne i bogobojne. Potem był potop.

Każda fala rozbiorowego odpływu pozostawiała poza granicami „Polski właściwej” archipelag wysp polskich, pomału pogrążających się w żywiole miejscowego – innego już życia. Te kolejne polskie Atlantydy najdłużej istniały w pamięci ocalałych Atlantów – tych, którym udało się ewakuować z pogromu i tych co zostali.

U tych ostatnich świadomość ta istnieje niekiedy do dzisiaj. Każda następna fala tego swoistego tsunami zacierała pamięć o poprzedniej. Któż pamięta dziś o rodakach odciętych traktatem ryskim z 1920 roku? Czy żytomierszczyzna w dzisiejszym pojęciu rodaków z kraju to Kresy? Stawiam dolary przeciwko piętuszcze, że większość nie potrafi prawidłowo wskazać gdzie też ten Żytomierz leży.

Podobnie jak Winnica, Berdyczów, Płoskirów, a nawet Tamopol czy Stanisławów.

Aż przyszedł pamiętny rok 1945

- ostatni akt kresowego potopu. Ostatnie łódzie z rozbitkami z kolejnej Atlantydy dobiły do polskiego brzegu na przestrzeni 1959 roku. Byli to ci, co nie zdążyli przed trzynastoma laty na podstawię trawy lub nie zdołali zbudować swojej własnej. Byli też tacy, którzy dopiero później utracili nadzieję.

Ewakuowani Atlantycy rozpoczęli nowe, trudne życie. Życie na nowej ziemi, w miastach i wioskach o często obco brzmiących nazwach. Było to jednak życie wśród swoich.

MY – Z ATLANTYDY

Po obu stronach „linii Curzona” zapadła cisza. Cisza nie mająca precedensu w historii. Zarządzający terytoriami po obu stronach tej linii zrobili wszystko by wymazać z pamięci przeszłość „obwodów zachodnich” oraz ich obecność w świadomości żyjących tam kiedyś wspólnie społeczeństw i narodów. Nie tylko wymazać.

Kłamstwo wielokrotnie powtórzone staje się prawdą

Ta goebbelsowska zasada, prawdziwej wirtuozerii nabrała dopiero w Związku Sowieckim. Historię napisano na nowo – tyle, że nie miała ona nic wspólnego z prawdziwymi dziejami tej ziemi. Postarano się przy tym, by jak najbardziej pogłębić wytworzone podziały. Na terenach dzisiejszej Ukrainy Zachodniej, podsycane umiejętnie jeszcze od czasów ś.p. imperium Habsburgów. Dajmy jednak spokój Austriakom i ich „dobremu cesarzowi”.

Gdzie im tam do specjalistów z pod znaku sierpa i młota. Zasada „dziel i rządź” nabrała pełnego blasku dopiero w ich wykonaniu.

Ukraińców „bracia Moskale” wyzwolili od polskiego jarzma, Polaków uratowali od niechybnej zagłady ze strony tych pierwszych. Żydów chronili przed antysemityzmem jednych i drugich. Wszystkich solidarnie wyzwolono z wszelkiej własności, godności narodowej, honoru, religii i świadomości własnych korzeni.

To się prawie udało. Na szczęście nie do końca.

Nie wszyscy „polscy Atlantycy” wyjechali

Choć trzeba wyznać prawdę niepopularną. Wyjechali najbardziej świadomi i aktywni, w tym prawie cała inteligencja. Została ich niewielu. Prawie nigdzie nie tworzą zwartych skupisk polskich. Zostali z różnych powodów – to temat na głębokie studia i odrębne opracowanie. By zostać, niektórzy musieli zataić swoje pochodzenie. Nie wszyscy przekazali swym dzieciom polskie wartości i świadomość narodową. Niby dla ich dobra. Imperium szczęśliwości klasy robotniczej miast i wsi miało wszak trwać wiecznie.

Łatwo dziś wydawać sądy. Mało kto uświadamia sobie totalny nacisk sowieckiej indoktrynacji, na wszystkie dziedziny ludzkiego życia, a także skutki ewentualnego oporu.

Nawet najbardziej wredne metody stosowane w PRL-u nie wytrzymują żadnego porównania.

A jednak przetrwali

Nie anioły, nie bohaterowie ostatniego bastionu. Żywi ludzie. Z ich pokręconym życiem, problemami i materialnymi niedostatkami. Wadami i zaletami. Ale z poczuciem, że to ich miejsce na Ziemi. Nie czują się przybyszami. Są u siebie. Żyją życiem dzisiejszej Ukrainy, dzieląc jej problemy, smutki, czasem i radości. Są Polakami. Choć często mają problemy z poprawną polszczyzną, ze znajomością historii swojego narodu. Ale i w Polsce z tym nie zawsze najlepiej.

Czym różni się Polak z Polski od Polaka z Ukrainy?

Pytanie wydaje się być retoryczne. Pozornie niczym. A jednak. Różni-

my się... wspomnieniami. Stoją między nami dwa, trzy, a czasami i więcej, pokoleń, wychowanych w innych warunkach. Mających często krańcowo różne doświadczenia. To utrudnia porozumienie. Przeszkadzają też stereotypy. Raj wyśniony nie zawsze okazuje się być nim w rzeczywistości.

Opowiadał mi kiedyś znajomy „ukraiński” Polak, inżynier, jak wyglądało jego pierwsze zetknięcie z wymarzoną Ojczyzną. Kiedy już było można, pojechał do swojej ciotki pod Szczecinem. Co tu dużo mówić – na status turysty stać go nie było. Zaczepił się jako robotnik w firmie budowlanej. Był zafascynowany nowymi dla niego technologiami. Pracował dużo i dobrze. Za dobrze. Kolegom z pracy było to nie w smak. Pewnego sobotniego popołudnia przyjechała ekipa w mundurach z psami. Otoczono budynek. Do granicy odstawiono go w kajdankach.

Dostał zakaz wjazdu do Polski na trzy lata. Niby wszystko zgodnie z prawem...

Ojczyzna nie kocha się za coś,

choć czasem jest to miłość trudna. Jeszcze trudniejsza, jeżeli ma się dwie. Tę w sercu, wszczepioną w domu rodzinnym i tą drugą z podwórka, ze szkoły, z pracy. Tę, której symbole możemy obejrzeć we własnym paszporcie, z własnym nazwiskiem pisanym cyrylicą i alfabetem łacińskim, ale w transkrypcji angielskiej. A przecież chce się żyć, tak jak wszyscy ludzie. Żyć, kochać. Trudno być „innym”.

Jak zlikwidować wkradający się dysonans?

Recepty pozornie proste, są bardzo trudne do wykonania. Łatwo powiedzieć – trzeba być dobrym i atrakcyjnym, a będziesz zaakceptowany. Uzasadnione poczucie własnej wartości zawsze wywołuje szacunek otoczenia. Kultura polska jest atrakcyjna. Do szkół polskich garnie się coraz więcej dzieci z rodzin de facto ukraińskich, często o dalekich już polskich korzeniach. Trzeba też szanować swoich ukraińskich sąsiadów, nawet swoją ukraińską teściową. To wszystko wymaga odrzucenia narosłych, często przy wydatnej pomocy sił wrogich obu narodom, stereotypów. Trzeba więc w pełni odkłamać historię. I to po obu stronach. Nie wystarczy zrobić tego w instytucjach naukowych. Trzeba to doprowadzić do świadomości zwykłych ludzi. A to, jak każdy proces społeczny, jest procesem trudnym i długotrwałym. A historię, czy chcemy, czy nie – mamy w dużej części wspólną.

Czy miejscowi Polacy mogą zrobić to sami?

Być może. Na codzień nie widać problemów. Choć są. Zawsze też można liczyć na garstkę zapaleńców. Niezmiernie jednak wątpliwe. Zapaleńcy są słabi, często skłóćeni. Tu mała dygresja. Odwiedził mnie niedawno pewien profesor z Polski. Gdy rozmowa nasza weszła na podobne tematy, dał żartobliwą poradę. „Trzeba by namówić ukraińskie władze, by zakazały działalności organizacji polskim. Już widzę tych ludzi

stojących za sobą murem. Te tajne komplety”.

Nie obejdzie się więc bez Macierzy

Tylko ona jest w stanie podtrzymać słaby i rozdrobniony żywioł polski. Po cóż jednak miałyby to robić?

Czy Ci potomkowie pozostających na miejscu katastrofy Atlantów staną się prawdziwymi ambasadorami polskiej czy europejskiej sprawy? Czy ma to zrobić li tylko w imię narodowej solidarności?

„Mam już dosyć trzymania nas przez Was jak zakładników. Tego nie róbcie, tam siedzicie cicho. Nie przeszkadzajcie”. To wypowiedź szefa jednej z organizacji polskich na Ukrainie. To „Was” – dotyczy rodaków z kraju.

Skąd ta frustracja? Z niezrozumienia procesów zachodzących w tej części Europy. Tylko czyje? Po tej, czy po drugiej stronie?

Co mogą zaoferować Macierzy zamieszkałej na Ukrainie Polacy?

Czy tylko konsumować przekazywane im na otarcie łez frukty, i od czasu do czasu odtaćczyć krakowiaka przed sponsorami z Polski, co sprowadza całą sprawę do festynu, a miejscowych Polaków do pozycji małolniczych aborygenów?

„Polacy na Ukrainie powinni rozpocząć dzień od modlitwy o jak najszybsze przyjęcie tego kraju do Unii Europejskiej”, - powiedział mi kiedyś znajomy ukraiński politolog. Myślę, że modlitwa to za mało.

Miejscowi Polacy powinni stać się katalizatorem procesu eurointegracji. By tak być mogło, potrzeba bardzo przemyślanych działań i celowo skierowanej pomocy ze strony Macierzy. Działań nie doraźnych, a systemowych, stwarzających perspektywę odbudowy polskich elit na Ukrainie. Pisząc o elitach mam na myśli inteligencję o polskich korzeniach, jaka biorąc aktywny udział w życiu kraju swojego zamieszkania, zaszczerpi w jego społeczeństwie wartości Zachodu. Tak pojęte działania muszą być, siłą rzeczy skierowane w stronę ludzi młodych. Byłoby jednak błędem kierowanie tak pojętych działań jedynie w stronę tzw. „biologicznych Polaków” i tworzenia kolejnego „getta”. Wsparcia wymagają też środowiska bliskie Polsce, jej kulturze, wartościom.

Zamiast zakończenia

Od wielu lat Polska wspiera europejskie aspiracje Ukrainy. To trudny proces. Droga długa i wyboista. Do tego niepewna. Klucz do sukcesu zapewnić może jedynie spójna wizja wspólnej europejskiej przestrzeni w jakiej jest miejsce dla Polski i Ukrainy – Polaków i Ukraińców, po obu stronach „granicy światów” jak nazywana jest dzisiaj często granica na Bugu i Sanie.

(tekst powstał w 2006 roku i był wydrukowany w KG, który był wtedy wkładką do „Gazety Lwowskiej”. Moim zdaniem nie stracił na swojej aktualności. Drukujemy z niewielkimi zmianami.)

Ankieta myśl.pl



MACIEJ PŁAŻYŃSKI
prezes Stowarzyszenia
„Wspólnota Polska”,
poseł na Sejm RP, w latach
1997-2001 Marszałek Sejmu
RP

- Kresy Wschodnie zamieszkuje aktualnie około 2-3 milionów Polaków. Historycy przyjmują, że na tamtych terenach pozostała nawet połowa polskiego dziedzictwa narodowego.

Mam pretensje do postawy polskiej elity ostatniego dwudziestolecia, która sprawiła, że poza głoszonymi hasłami w rzeczywistości zamknęliśmy oczy na Wschód.

Na początku przemian ustrojowych wiązało się to z brakiem pieniędzy, a później – aż do chwili obecnej – z niezrozumieniem własnych interesów, co wyraża choćby źle pojęta poprawność polityczna, według której wszystko, co polskie – odnośnie Kresów – to nacjonalistyczne.

Bez walki oddajemy tę część świata wpływowi rosyjskiej kultury.

Z perspektywy państw, które utrwalają i poszerzają swoje strefy wpływów, postawa Polski może budzić najwyższej ironiczne uśmieszki. W Hiszpanii nikt nie toczy sporu, czy być obecnym w Ameryce Łacińskiej, a we Francji – czy być obecnym we frankofońskiej części Afryki; oba kraje nie szczędzą sił i środków w zaangażowanie na tych obszarach. A przecież byli najeźdźcami, kolonizatorami.

My na Kresach nie byliśmy najeźdźcą, byliśmy tam u siebie. W sensie państwowym po prostu u siebie – przez wieki Rzeczpospolita była tam jedynym państwem. Natomiast w sensie narodowościowym byliśmy tam u siebie, tak jak u siebie były też inne narodowości zamieszkujące ten obszar.

Polska powinna położyć zdecydowanie większy nacisk na obecność na Kresach Wschodnich – i nie wstydić się tego. Przez wieki – ale również po II wojnie światowej, gdy polskie państwo wycofało się za Bug – polska kultura była dla tego obszaru atrakcyjna.

Przecież procesy asymilacyjne następowały na rzecz polskości.

Trzeba też podkreślić, że kultura nie musi spajać wyłącznie rodaków. Za polską kulturą szła też inna – atrakcyjna – wizja świata, która z powodzeniem konkurowała z ideami płynącymi z Rosji. Właśnie o to powinien się toczyć spór. Ale polskie elity zaprzestały go dwadzieścia lat temu.

(Ankieta myśl.pl)

KTO NIE BYŁ, NIECH ŻAŁUJE...

MONIKA NARMUNTOWSKA-MICHALAK

Zielona Góra, Nowa Sól, Żary, Kożuchów, Szprotawa. Oto miasta, które w dniach 16 – 18 października gościły uczestników II Prezentacji Kultury Polaków z Kresów Wschodnich i Bukowiny. Przyjechali do nas z daleka i z bardzo daleka. Ci, którzy jechali najdłużej, pokonali blisko 1700 km.

Przez trzy kolejne wieczory, lubuszenie mieli okazję podziwiać wielobarwne zespoły wokalne i taneczne,



Ludmiłka Skrypnik, Szepetówka

kultywujące polską kulturę. Przyjechało ponad 200 osób, czyli dwa razy więcej niż w roku ubiegłym. Prezentacje obejrzało blisko 1100 osób.

W zimny i deszczowy piątkowy wieczór, 16 października, odbyły się dwa równoległe koncerty. W Żarskim Domu Kultury publiczność mogła zobaczyć „Echo Prutu” z Czemiowiec, „Lechitów” z Grodna i „Polaków Budzaka” z Komrata, z dalekiej Gaugazji. Natomiast w tym samym czasie, w kożuchowskim Zamku wystąpiły „Jutrzenka” i „Stokrotki” z Szepetówki oraz „Jaskółki” z Bielce. Już tego wieczoru wyłoniła się gwiazda festiwalu, jedna z jego najmłodszych uczestniczek – 10-letnia Ludmiłka Skrypnik. Początkująca skrzypaczka z Szepetówki.

Drugi dzień prezentacji, to znów dwa koncerty, tym razem w Nowej Soli

[Dom Kultury] i w Zielonej Górze [teatr]. Bukowińskie „Echo Prutu” przygotowało przepiękny program, etniczną mieszankę, w której znalazły się pieśni polskie, ukraińskie, żydowskie i rumuńskie. Żywe, bardzo profesjonalne wykonanie programu, sprawiło, że publiczność kilkakrotnie domagała się bisów. Na ziemi lubuskiej żyje jeszcze bardzo wielu kresowiaków z Bukowiny i Pokucia, a tak rzadko można wspólnie zaśpiewać pieśni znad Prutu i Czeremosza. Po koncercie, udało mi się zamienić parę słów z panią Anną Hrynczuk z zespołu. „Bardzo jestem szczęśliwa, że mogłam tu przyjechać. Czuję się na polskiej ziemi wspaniale. Wszyscy są dla nas serdeczni, życzliwi, a praca w zespole tam, w dalekich Czemiowcach, to dla mnie kontakt z polską ziemią, z polską kulturą” Pani Anna posługuje się piękną polszczyzną. Podkreśla, że w rodzinnym domu zawsze mówiło się tylko po polsku.

Siedmioosobowe „Jaskółki” przyjechały z Mołdawii, z miejscowości Bielce. To perełka tegorocznych Prezentacji. Tradycyjne, ludowe pieśni polskie zabrzmiały w bardzo ciekawej, rzadko spotykanej aranżacji. Obok utworów narodowych, „Jaskółki” zaprezentowały tańce rumuńskie i mołdawskie. Usłyszeliśmy również



Echo Prutu, Czemiowce



Jaskółki, Bielce



Aleksander Śpiewakowski, Szepetówka

niedzielną interpretacją piosenki Jerzego Polomskiego „Cała sala śpiewa z nami”. Młode, utalentowane dziewczyny, wspaniale prezentujące się na scenie.

Również z Mołdawii, z dalekiego Komrata, przyjechał zespół taneczny „Polacy Budzaka”. Biel, czerwień i granat strojów. Bardzo wysoki poziom wykonywanych tańców, m.in. krakowiaków i polek. Duże wrażenie na publiczności zrobił dostojny, elegancki polonez. Poza sceną słychać głosy organizatorów Prezentacji, że Budzak wspaniale sprawdziłby się na zielonogórskim, corocznym Festiwalu Folkloru.

Warto wspomnieć, że obok Polaków z Kresów i Bukowiny, wystąpiły zespoły i soliści z ziemi lubuskiej. Podczas dwu pierwszych dni Prezentacji, mogliśmy usłyszeć m.in. zielonogórską „Pohulanekę” i „Kresowe Nuty”, gorzowską „Pogodną Jesień” i „Kominek” a w koncercie finałowym, bardzo ciekawą, młodą „Prymę” z Ruszowa. Dzięki tym wykonawcom, publiczność mogła przenieść się na lwowski Kleparów i Łyczaków, do Stryjskiego Parku i na Wysoki Zamek. „...bo kto się urodził we Lwowie [...] swe serce ma tylko w połowie...” Wspólne śpiewanie.

W niedzielę, wszyscy uczestnicy Prezentacji spotkali się o godz. 12-tej na Mszy w parafii Ducha Świętego w Zielonej Górze. Na początku „Gaude Mater Polonia” w wykonaniu Darii Czernuszyc z Szepetówki.

Pieśń zabrzmiała w rozległym kościele nadzwyczajnie. Wydawało się, że mocny głos Darii dociera z dawnego, odległego czasu, kiedy to polskie

gościli u nas po raz drugi, a więc dla publiczności to już dobrzy znajomi. Kujawiaki, mazurki, tańce żywieckie w ich wykonaniu były lekkie, zwiewne, bardzo płynne. Widać jak wiele pracy włożyli od zeszlorocznego występu

w przygotowanie nowego programu. W tym roku po raz pierwszy przyjechała do nas z Szepetówki Daria Kuklinowska. Jej „Sen o Warszawie”, to faktycznie sen, a ktoś z widowni zauważył – „głos-kryształ”.

W pokoncertowych rozmowach, usłyszałam i takie porównanie - „jakby wróciła Anna Jantar”... To wielki komplement.

Znana lubuskiej publiczności z zeszlorocznych Prezentacji Tania Sidorczuk, znów zachwyciła ciepłym wykonaniem współczesnych utworów i scenicznym obyciem. Tania ma już swoich fanów wśród lubuszan. Pamiętam jej zeszloroczne „Kasztany”. W przerwach między występami, kilka chwil rozmowy z opiekunem szepetowskiej grupy – panią Walentyną Pasiecznik – „My tu już jak w domu, jak u siebie. Pomimo ogromnego zmęczenia



Polacy Budzaka – Komrata



Lechici, Grodno

rycerstwo śpiewało „Gaude Mater” po odniesionym zwycięstwie.

Msza, bardzo uroczysta, z kresowym kazaniem ks. proboszcza Andrzeja Ignatowicza oraz religijnymi i patriotycznymi utworami, w wykonaniu gości ze Wschodu.

Finał zaplanowano na niedzielny wieczór, w Szprotawie. Na scenie Domu Kultury jeszcze raz mogliśmy zobaczyć wszystkich uczestników Prezentacji. Ja po raz pierwszy obejrzałam występ „Lechitów” znad Niemna. „Lechici” tańczą, śpiewają, mają swoją kapelę. „Zespół wykonuje głównie tańce tradycyjne i narodowe, na nie kładziemy największy nacisk. Bliskie nam są również dawne pieśni, zachowane wśród mniejszości polskiej na Kresach” - zaznaczyła kierownik „Lechitów”, pani Regina Zawadzka. „Najważniejsze jest to, że młodzi chcą podtrzymywać tradycję swoich przodków. Ja sama pochodzę z polskiej rodziny i kultura moich dziadków, jest mi bardzo bliska.”

„Lechici” w swym programie pokazali nam m.in. dawne obrzędy związane z polskim weselem, zupełnie innym, niż dzisiejsze.

Cały koncert finałowy, przeplatany był występami zespołów i solistów z Szepetówki. Młodzi Polacy z Wołynia

drogą, wszechobecnej grypy, bardzo cieszymy się, że znów jesteśmy na festiwalu, na gościnnej ziemi lubuskiej. Dla nas to wielka radość móc przyjechać i wystąpić tu ponownie.”

Końcówka finału należała do Ludmiłki Skrypnik i jej rzewnego mazurka oraz do Aleksandra Śpiewakowskiego, również z Szepetówki. Aleksander, to bardzo mocny akcent tegorocznych Prezentacji. Przede wszystkim niezwykle głos, ale też wielka kultura muzyczna, jakby nie z tej epoki. Widzę go, jak śpiewa w przedwojennym filmie. Na koniec koncertu Aleksander wykonał pieśń – „Bitył rusznik”.

Ten popularny utwór można usłyszeć na każdym kresowym festiwalu, ale nie każda interpretacja robi tak duże wrażenie.

Finał zakończył się późnym wieczorem. Po nim pożegnania i powrotna, długa podróż do domu. Kolejna edycja Prezentacji już za rok.

Koniecznym trzeba dodać, że główni organizatorzy imprezy to m.in. zielonogórski RČAK, Teatr Lubuski, panowie Jan Tarnowski [prezes TML] i Wilhelm Skibiński [prezes Wspólnoty Bukowińskiej], a także Domy Kultury w Żarach, Szprotawie i Nowej Soli oraz „Zamek” w Kożuchowie.

LWÓW, CZYLI JAK JEDNO MIASTO JEST PIEMONTEM DLA DWÓCH PAŃSTW

DR AGNIESZKA SAWICZ

Historia Lwowa, jako tytułowego Piemontu jest przykładem mitu z całym bogactwem narosłych wokół niego kontrowersji. Snując rozważania na ten temat trzeba się przede wszystkim zastanowić, czy Lwów w ogóle był, czy jest i czy ma szansę stać się Piemontem dla kogokolwiek.

Na przestrzeni wieków stał się on jednym z najbardziej charakterystycznych symboli i dla Polaków, i dla Ukraińców. Jest także przedmiotem gorących dyskusji - od kontrowersji na temat tego, czy miasto założył polski król czy halicki książę, po problemy jakie przyniósł schyłek XX wieku, chociażby gdy spierano się o Cmentarz Orłąt. Po dwóch stronach granicy słychać też nierzadko głosy o tak wielkim znaczeniu Lwowa dla danego kraju, jakie zyskał sobie we Włoszech Piemont, miasto, które w XIX stuleciu doprowadziło do zjednoczenia ziem włoskich stając się podwaliną niepodległości.

Lwów jako Piemont dla Polaków

Wielu Polaków wciąż nie potrafi pogodzić się z utratą dawnych wschodnich Kresów Rzeczypospolitej i postuluje „oddajcie Lwów, tam i tak sami Polacy mieszkają”. Sięgają oni do wspomnień o mieście zawsze wiernym, gdzie pielęgnowano tradycje i polską mowę, gdzie rodziły się idee narodowyzwoleńcze. Co interesujące, do podobnych haseł w ukraińskiej wersji odwołują się Ukraińcy. W ten sposób po obu stronach granicy temu samemu miastu przypisano rolę obrońcy narodowych wartości.

Wątpliwości przy tym budzi dziś swoisty galicyjocentryzm. Wydaje się, że na Ukrainie przekonanie o znaczeniu Galicji dla ukraińskiej polityki podtrzymuje ten właśnie obszar, ale i na nim coraz częściej podnoszone są głosy, iż marginalizacja Lwowa jest już faktem, dokonana się wkrótce po obraniu przez Ukrainę drogi niepodległości i obecnie rozmowy na ten temat prowadzą się do wspomnień i pobożnych życzeń. Tymczasem można odnieść wrażenie, iż kolejne polskie rządy wydają się tego nie dostrzegać. Głorzyfikują Lwów i stwarzają złudzenie, iż los Ukrainy będzie rozstrzygał się na jej zachodnich ziemiach.

Nad Wisłą utrwalał się przy tym obraz Lwowa jako centrum polskości – kultury, nauki, ruchów narodowościowych i niepodległościowych. Padają nazwiska Łukasiewicza, Grötgera, Rosena, Staffa, Zapolskiej, Tarkiewicza czy Kotarbińskiego. Przypomina się, iż już w czasie Wiosny Ludów gubernatorem Galicji został Polak Wacław Zaleski, a osoby takie jak Kazimierz Badeni, Ignacy Daszyński czy Wincenty Witos miały niebagatelny wpływ na władze monarchii. Co więcej, wpływy polskie były tak znaczne, że wiele miejscowych rodzin polonizowało się. Nawet walki, jakie toczono we Lwowie w latach 1918 – 1920, utwierdziły tylko siłę hasła „Lwów semper fidelis”.

Jeśli skonfrontujemy warunki stosunkowo liberalnego zaboru austriackiego, w jakim pozostawała Galicja, z innymi zaborami, szczególnie z rosyjskim, w którym po klęskach po-

wstań narodowyzwoleńczych i tak już niewielkie swobody uległy jeszcze zmniejszeniu, można rzeczywiście przyjąć, iż było to centrum polskości. Jednakże pytaniem pozostaje to, czy miało ono szansę oddziaływać na cały obszar ziem polskich, czy obywatele Lwowa mogli poprowadzić Polaków do niepodległości, tak jak to zrobili mieszkańcy Piemontu.

Gdy uświadomimy sobie, iż mowa jest o najuboższym obszarze Monarchii Austro-węgierskiej, w niewielkim stopniu mogącym oddziaływać na pozostałe ziemie polskie, wydaje się, że nie. Choćby dlatego trudno jest dosłownie odnieść sytuację Galicji do niezależnego Piemontu włoskiego, w którym rządy sprawowała silna dynastia, prowadząca własną politykę zagraniczną, mającego zaplecze gospodarcze, a przede wszystkim militarne wystarczające do tego, by podjąć kroki ku zjednoczeniu Włoch. Galicja owszem, posiadała autonomię, lecz w granicach innego państwa, a wprowadzenie jej problemów na arenę międzynarodową czy wręcz zgoda na utworzenie niepodległego państwa polskiego były sprzeczne z interesami Wiednia oraz innych stolic. Spowodowałyby to destabilizację sytuacji geopolitycznej całego kontynentu i mogłyby spowodować konflikty Austro - Węgier z Prusami czy Rosją oraz naraziłyby je na ostre dysproporcje w strukturze społecznej.

Lwów nie był też wystarczająco silny, i ekonomicznie, i militarnie by podjąć dzieło odbudowy państwa polskiego. Poza tym nawet na polu mentalnym rozbieżności realiów życia pod różnymi zaborami były zbyt duże, by przekonać Polaków do idei zjednoczenia pod auspicjami Lwowa. Trudno także nie zauważyć, że autonomia jaką cieszyła się Galicja powstrzymywała przed podjęciem ryzyka jej utraty. Dlatego patriotyzm w jego galicyjskiej postaci przejawiał się nie powstaniach, a pielęgnowaniu narodowych tradycji, języka, kształceniu i przede wszystkim w zachowaniu takich możliwości.

Obraz Lwowa jako polskiego Piemontu budzi dziś poważne wątpliwości. Symbol góruje nad historyczną rzeczywistością co nie dziwi, gdy używają go ludzie, jacy wyrosli na dawnych polskich Kresach, a jakim dziejowe burze nie pozwoliły być Polakami a zarazem lwowianami nie tylko w duszy, ale i formalnie. Ale Lwowa do Piemontu przyrównać nie można przede wszystkim dlatego, że Piemont odegrał swoją rolę nie tylko jako symbol, ale i rzeczywistość zjednoczył ziemie włoskie. Lwów takich działań nie podjął, pozostając tylko potencjalną kolebką odrodzonej polskości.

Lwów jako Piemont dla Ukrainy

Piemont ukraiński także osadzony jest w XIX stuleciu, kiedy to Ukraińcy w Galicji zyskali warunki rozwoju oświaty, kultury, języka. I choć zwrot Wiednia w ich stronę zakończył się w roku 1867, gdy władze nad autonomiczną prowincją przejęli Polacy, to tak jak w przypadku polskiego mitu ukraiński też otrzymał wówczas swoją bazę. Utrwalono ją na przełomie lat '80 i '90 XX wieku, gdy mieszkańcy Galicji włączyli się aktywnie w procesy polityczne i przyczynili do odrzucenia przez Ukrainę udziału w odbudowie ZSRR. To tutaj, jeszcze zanim Ukraina przestała być republiką radziecką, wybory samo-

ządowe 1990 roku wygrali antykomuniści, wprowadzono reformę oświaty usuwając ze szkół język rosyjski, grekokatolikom oddawano cerkwie.

Możemy w tym miejscu zaryzykować tezę, iż „bycie Piemontem” sprwadza się do odgrywania przewodniej roli, rozpoczynania procesów zjednoczeniowych i przemian na danym obszarze i w określonym przedziale czasowym. Nie jest możliwym, by stan ten trwał wiecznie, jako że każda „wieczność” ma swoje granice. W odróżnieniu od sardyńskiego Piemontu, który po zjednoczeniu ziem włoskich scedował stołeczne przywileje na Rzym, Lwów, w gruncie rzeczy miasto prowincjonalne i nie przygotowane do odgrywania roli administracyjnego czy wojskowego centrum kraju, nie potrafił oddać władzy Kijowowi. Zachował się tak, jak gdyby została mu ona odebrana siłą i przeszedł do opozycji wobec stolicy, jaką stworzył.

Dokonawszy wspomnianych już wielkich kroków Lwów wskazał Ukraincom drogę do niepodległości, lecz sygnałem, że na tym misja Galicji się kończy, powinna stać się przegrana jej kandydata, Wiaczesława Czornowila, w pierwszych wyborach prezydenckich 1 grudnia 1991 roku. Potwierdzeniem tej tezy stał fakt, dotąd zachodnia Ukraina nie potrafiła wykreować polityka, jaki przekonałby do jej ideologii Lewobrzeże czy centrum. Hasła płynące ze Lwowa częstokroć postrzegane są jako agresywne, nacjonalistyczne w negatywnym tego słowa znaczeniu, a brak identyfikacji z myślą Zachodniej Ukrainy powoduje, że Lwów ma niewiele do zaferowania swojemu państwu. Nawet politycy, jakim Galicja udziela największego poparcia, zwykle zapominają o swoich wyborcach i stawiają na oligarchów z dominującego gospodarczo wschodu kraju. Tak naprawdę to Donieck czy Dniepropietrowsk mogłyby mienić się Piemontami Ukrainy, gdyż to tam podejmowane są ważne dla kraju decyzje, tam są pieniądze mogące utrzymać gospodarkę i kształtować politykę. Finansowej karty przetargowej Lwów pozbawił się u progu niepodległości, kiedy skoncentrował się na poszukiwaniu ideologii dla młodego państwa, której nawiasem mówiąc nie znaleziono do dziś, zamiast zająć się sprawami gospodarczymi. Dyskusje ideologiczne niczego nie przyniosły, poza zubożeniem ekonomicznym miasta, co niewątpliwie odróżnia lwowski Piemont XX wieku od włoskiego, XIX-wiecznego.

Zachód Ukrainy budzi dziś obawy swymi projektami ukraińskimi, nacjonalizmem, a przywoływanie antyrosyjskich haseł kreuje obraz regionu nieprzyjaznego i ksenofobicznego. Głoszone tu postulaty zwrotu ku Europie nie przynoszą żadnych wymiernych korzyści, nie mają przełożenia na boom gospodarczy, a tym samym nie przekonują o słuszności drogi w stronę Unii Europejskiej czy NATO. Dziś 70% mieszkańców miasta nie identyfikuje się z nim. Lwów nie przyciąga tak, jak miało to miejsce nieco ponad 100 lat temu, nie jest atrakcyjnym rynkiem pracy, co wręcz prowokuje do ucieczki tam, gdzie można po prostu więcej zarobić. Oczywiście, można wysuwać argumenty, iż dzięki temu politykę w Kijowie kreują przybysze z Galicji, oni tworzą przekazy medialne czy kształcą młodych ludzi, jednakże nie możemy być pewni, na ile ta domyślna „hegemonia Lwowa”

Dr Agnieszka Sawicz jest absolwentką stosunków międzynarodowych o specjalności wschodznawstwo na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Na UAM obroniła także dysertację doktorską na temat „Problematyka Ukraińska w prasie polskiej w latach 1991-1996” uzyskując stopień doktora nauk humanistycznych w zakresie historii. Ukończyła także studia podyplomowe z zakresu dziennikarstwa na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Doświadczenie naukowe i dydaktyczne zdobywała zarówno w Polsce, jak i na Ukrainie, a także biorąc udział w przedsięwzięciach realizowanych przez Irish Association for Russian and East European Studies czy Tunity College w Dublinie.

Obszarem jej zainteresowań jest przede wszystkim Ukraina, zaj-



muje się także aktualną sytuacją polityczną obszaru byłego ZSRR oraz zagadnieniami związanymi z życiem mniejszości narodowych, przede wszystkim mniejszości polskiej na Wschodzie. Tematyka badawcza znajduje odzwierciedlenie w opracowanych publikacjach, wygłaszanych podczas konferencji i sympozjów naukowych.

w Kijowie jest autentyczna. Dopóki nie zostaną przeprowadzone na ten temat badania opinii samych migrantów z Galicji nie możemy tej tezy podważyć, ale trudno też przyjmować ją za słuszną. Nie możemy mieć pewności, na ile lwowianie poza Lwowem mogą tworzyć swoiste lobby, w jakiego interesie będzie podniesienie znaczenia rodzinnej ziemi. Jak dotąd wydaje się, że z faktu, iż ludzie ci pracują poza miejscem swojego pochodzenia, nic dla Galicji nie wynika.

Wątpliwości budzą również przekonania o sile języka i kultury Galicji. Trudno mówić, by Lwów mógł być kulturalnym centrum państwa, w którym po prostu nie ma jednolitej kultury. Trudno też by pretendował do tego miana nie mogąc pochwalić się żadną imprezą, jaka rozślawiłaby to miasto w Europie. Mimo, że jest ich wiele, to międzynarodowość takich przedsięwzięć często zamyka się w na politycznym uczestnictwie gości z sąsiednich państw o nazwiskach nawet i tam niewiele znaczących. Przyciągające wielu gości targi książki to trochę za mało, by mówić o kulturalnej stolicy kraju. Problemem we Lwowie jest także znaczna popularność języka rosyjskiego. Wydaje się, że ukraińskojęzyczność miasta jest obecnie zaledwie deklaratywna. To prawda, że na wschodzie kraju proporcje te są w stosunku do Galicji odwrócone, lecz we współczesnym świecie coraz częściej fakt, iż nie wyrażamy myśli w danym języku nie oznacza, że nie identyfikujemy się z danym państwem. Pod tym względem Ukrainie bliżej dziś do państw takich jak Szwajcaria czy Kanada, niż do jednolitych krajów językowo, takich jak chociażby Polska. Dlatego możemy powiedzieć, że pielęgnowanie mowy ukraińskiej to także za mało, by pretendować do miana centrum.

Widzimy coraz wyraźniej, że współczesnej Ukrainie brakuje wspólnego mianownika. Stanowi raczej zlepek obszarów, które mają swoje małe stolice, bohaterów, kulturę, nawet i język, jeśli wziąć by tu pod uwagę bogactwo możliwości korzystania chociażby z ukraińskiego, rosyjskiego czy surżyka. Wśród nich mamy Ga-

licję, której nie udało się wykreować Lwowa na narodowy symbol. Zdał on egzamin jako wschodnioeuropejski Piemont oferując pomysł na Ukrainę, ale po ugruntowaniu jej niepodległości jednostki, w jaką wierzono we Lwowie, stała się iluzją i dziś wydaje się mało prawdopodobne, by kraj ten zjednoczył się pod wspólnymi hasłami jednej cerkwi, jednego języka, jednej drogi, i drugorzędną sprawą jest tu czy byłby to zdecydowany zwrot na wschód, czy zachód Europy. Lwów jako Piemont jest dziś mitem potrzebnym, dającym oparcie historykom i politykom, ważnym jako argument w dyskusjach o niezależności Ukrainy i ugruntowaniu jej w historii. Ale jak na każdym mitem trudno na nim budować dzisiejszą i przyszłą potęgę.

Piemonckość Lwowa?

Wydaje się że zarówno w przypadku polskim, jak i ukraińskim, Lwów odegrał swoją historyczną rolę zbliżoną do włoskiego Piemontu. Zbliżoną, ponieważ znaku równości pomiędzy sytuacją włoską i galicyjską postawić na pewno nie możemy. Względnie ekonomiczne, militarne, uwarunkowania geopolityczne wykluczyły powodzenie starań o bycie czy to polskim, czy ukraińskim centrum w wymiarze innym, niż symboliczny.

Polacy przewartościowują swój stosunek do współczesnego Lwowa. Mają świadomość nierealności jego „powrotu do macierzy” i niepoprawności politycznej takich postulatów. Prawdopodobnie póki żyć będą ci, którzy pamiętają dawny Lwów, polska koncepcja Piemontu będzie co pewien czas przywoływana, nie mniej jej miejsce jest na kartach historii i z tym faktem trudno polemizować. Lecz wyobrażenie Piemontu ukraińskiego ma szansę przetrwania nieco dłużej. Hasła „projektu Ukraina” i ukraińskości Ukrainy realizowane pod przywództwem Lwowa są jednak kolejnymi imaginacjami i mitami ukraińskiej rzeczywistości, a Lwów sprawa wrażenie jak gdyby nie przebudził się jeszcze ze snu o swojej potędze. Buduje własny pomnik jako Piemontu kraju, w którym Piemontu być dziś nie może.

HUMOR ŻYDÓW GALICYJSKICH

WG HORACEGO SAFRINA

Za panowania Mikołaja I zdarzały się w miasteczkach rosyjskich łapanki dzieci żydowskich. Chwymano na ulicy pierwszego lepszego wyrostka, odsyłano do jakiejś szkółki wojskowej i wychowywano na oddanego carowi żołnierza. Ponieważ od obowiązku długoletniej służby wojskowej wolni byli ojcowie rodzin. Żydzi wpadli na pomysł: żenili małe dzieci...

Koło chaty ojcowskiej bawi się ośmioletni lcek. Chłopak jest bosy, ma na sobie jedynie koszulkę i łapserdak. Przechodzący ulicą Żyd pyta go:

- Słuchaj no, lconiu! Dlaczego nie siedzisz w chederze?

- Ja już nie chodzę do chederu – odpowiada malec. – Przedwczoraj było moje wesele...

- Jeśli ożeniłeś się i jesteś głową domu – zauważa Żyd – to dlaczego chodzisz bez portek?

- Musiałem je pożyczyć młodszemu braciśkowi. Dzisiaj odbywa się jego ślub...

Z cyrku w Charkowie uciekł niedźwiedź. Całe miasto poruszone. Policjanci uganiają się po ulicach z gotowymi do strzału karabinami. Chodnikiem biegnie wystraszony Żyd. Kupiec z przeciwka zastępuje mu drogę:

- Dokąd tak śpieszysz?

- Niedźwiedź!... Cyrk!... Policja!... Strzelby!...

- Więc dlaczego uciekasz? – dziwi się kupiec. – Przecież nie jesteś niedźwiedziem?

- To prawda... Ale zanim ktoś się zorientuje, zastrzelą Żyda... A potem idź i udowadniaj, że to nie ty jesteś niedźwiedziem.

Zdarzyło się, że podczas zamieszek antysemitycznych w Mohylowie rzeźnik Chaim Riwes dotkliwie poturbował jednego z napaśników. Policja aresztowała go i wkrótce krewki Żyd stanął przed karnym trybunałem. Sędzia, spisując generalia, zadaje pytanie:

- Czy służyliście w wojsku?

- Nie, wasza wielmożność.

Rzecznik sprawiedliwości, z przekąsem:

- A coście robili w roku tysiąc dziewięćset piątym?

- Przepraszam waszą wielmożność, a co wtedy było?

- Jak co? Wojna rosyjsko-japońska!

Rzeźnik po chwili:

- Przepraszam, a co wasza wielmożność robiła w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym czwartym?

- A co wtedy było? – dziwi się sędzia.

- Jak co? Wasza wielmożność nie wie? Epidemia cholery...

REPERTUAR OPERY LWOWSKIEJ na listopad 2009 r.

Piątek 20 listopada – G. Puccini-M. Skoryk balet „POWRÓT BUTTERFLY”, początek godz. 18.00

Sobota 21 listopada – H. B. Hluk opera „ORFEUSZ I EURYDYKA”, początek godz. 18.00

Niedziela 22 listopada – L. Delib balet „COPPELIA”, początek godz. 12.00

Czwartek 26 listopada – F. Lehara operetka „WESOŁA WDÓWKA”, początek godz. 18.00

Piątek 27 listopada – L. Minkus balet „BAJADERKA”, początek godz. 18.00

Sobota 28 listopada – G. Verdi opera „TRAVIATA”, początek godz. 18.00

Niedziela 29 listopada – S. Hulak-Artemowski opera „ZAPROŻEC ZA DUNAJEM”, początek godz. 12.00

L. Minkus balet „DON KICHOT”, początek godz. 18.00

RADIO PRZEZ INTERNET

Andrzej Nowogrodzki
Kijów

Coraz częściej słuchamy radia w pracy, czy też w domu przy komputerze. W tym wypadku, zamiast łapać ledwo co dochodzące na Ukrainę polskie rozgłośnie przez zwykły odbiornik radiowy, możemy skorzystać z możliwości słuchania radia przez Internet. Oczywiście, jeśli nasz komputer jest do niego podłączony i nasz dostawca nie rozlicza nas za każdy kilobajt przesłanych danych, czyli za – tak zwany – „trafik”.

Poniżej przedstawiam krótki wykaz najpopularniejszych polskich rozgłośni, które są obecne w Internecie.

Polskie Radio

Na stronie Polskiego Radia możemy słuchać poszczególnych jego rozgłośni (Jedynka, Trójka) na żywo:

<http://polskieradio.pl/sluchaj/> albo wybranych audycji

<http://polskieradio.pl/podcasting/>

Na tej ostatniej znajdziemy na przykład wypowiedzi polityków z porannych Sygnałów Dnia w Jedyńce, czy też reportaże, a nawet starych pocztowych Matysiaków. Z kolei na stronie

<http://www.polskieradio.pl/zagranica/ua/>

znajdziemy informacje po ukraińsku – część także do odsłuchania.

RMF FM

Na głównej stronie krakowskiej rozgłośni – www.rmf.fm

jest po prawej stronie archiwum audycji. Z kolei, wciskając trochę wyżej przycisk „Posłuchaj RMF FM”, będziemy mogli posłuchać stacji na żywo. Warto odwiedzić także inną stronę tego radia:

www.miastomuzyki.pl

Tam znajdziemy co najmniej kilkadziesiąt internetowych „stacji”, które nadają właściwie każdy rodzaj muzyki. Warto zwrócić uwagę na RMF Polski Rock, RMF Polskie Przeboje czy RMF PRL.

Radio Zet

Warszawska rozgłośnia ma trochę mniej rozbudowaną stronę internetową. Na

<http://www.radiozet.pl/Sluchaj/Default.aspx>

możemy posłuchać aktualnie nadawanych audycji. Z kolei na głównej stronie znajdziemy zapisy wywiadów Moniki Olejnik z politykami. Nagrania nie tylko audio, ale też wideo.

Radio Maryja

Katolicki głos w Twoim domu może brzmieć także z komputera. Wystarczy wpisać: www.radiomaryja.pl i po lewej stronie znajdziemy zakładkę „Słuchaj”. Wcześniej trzeba zainstalować Real Player – można go ściągnąć na stronie www.real.com.

To tylko niektóre najpopularniejsze stacje radiowe, których możemy słuchać przez Internet. Inne znajdziemy na przykład na stronach www.radiostacje.com i www.nadaje.com



KONSULAT GENERALNY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ WE LWOWIE

Wydział Wizowy:

ul. Smiływych 5, 79044 Lwów,
tel.: (032) 235-30-22, fax: (032)235-30-18,
e-mail: konsulat@mail.lviv.ua

Wydział Wizowy i Paszportowy:

ul. Iwana Franki 110, 79011 Lwów,
tel.: (032) 297-08-61, 2970862, (032) 297-08-63,
faks: (032) 276-09-74,
e-mail: konsulat@mail.lviv.ua

Wydział Karty Polaka,

ul. Smiływych 5, 79044 Lwów,
tel.: (032) 235-21-60, (032) 235-21-61,
(032) 235-21-70, faks: (032) 235-21-77,
e-mail: konsulat3@mail.lviv.ua

Wydział Polonijny:

ul. Kociubińskiego 11 A,
tel.: (032) 260-10-00, (032) 260-08-55,
fax: (032) 260-29-38,
e-mail: konsulat2@mail.lviv.ua

Dni przyjęć: poniedziałek, wtorek, czwartek, piątek, godz. 10.00-14.00,

W celu ułatwienia kontaktu prosimy o uprzednie umawianie się na wizytę drogą telefoniczną

Wydział Opieki Prawnej i Konsularnej:

ul. Kociubińskiego 11 A,
tel.: (032) 260-10-00, fax: (032) 260-29-38,
e-mail: konsulat2@mail.lviv.ua

Dni przyjęć: poniedziałek, wtorek (zapomogi), czwartek, piątek, godz. 10.00 - 14.00.

W celu ułatwienia kontaktu prosimy o uprzednie umawianie się na wizytę drogą telefoniczną

Wydział Obywatelski, Repatriacji i Ochrony Miejsc Pamięci Narodowej:

ul. Kociubińskiego 11 A,
tel.: (032) 260-10-00, fax: (032) 260-29-38,
e-mail: konsulat2@mail.lviv.ua

Dni przyjęć: poniedziałek, czwartek, piątek, godz. 10.00-14.00.

W celu ułatwienia kontaktu prosimy o uprzednie umawianie się na wizytę drogą telefoniczną

REKLAMA W KURIERZE GALICYJSKIM

Na zlecenie naszych klientów umieszczamy ogłoszenia w prasie ukraińskiej

ПЕРША СТОРІНКА
PIERWSZA STRONA

1 cm² - 8,5 грн.
1 cm² - 8,5 UAH
повноколірний
pełny kolor

ВНУТРІШНІ СТОРІНКИ
STRONY WEWNĘTRZNE

1 cm² - 6 грн.
1 cm² - 6 UAH
повноколірний
pełny kolor

ВНУТРІШНІ СТОРІНКИ
STRONY WEWNĘTRZNE

1 cm² - 4,5 грн.
1 cm² - 4,5 UAH
чорно-білі
czarno-białe

ОСТАННЯ СТОРІНКА
STRONA OSTATNIA

1 cm² - 7,5 грн.
1 cm² - 7,5 UAH
повноколірний
pełny kolor

Ogłoszenia niekomercyjne, po uzgodnieniu z redakcją, mogą być drukowane nieodpłatnie



Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 8 listopada br. społeczność polskie Lwowa poniosło ogromną stratę. W wieku 79 lat zmarła

JADWIGA JAMROZÓWNA,

nieprzeciętna Osobowość o ogromnej wiedzy, wysokiej kulturze i niespotykanej w nasz czas skromności. Łączymy się w żalu z Rodziną Zmarłej.

W imieniu przyjaciół
Teresa Dutkiewicz



8 listopada 2009 przeżywszy 79 lat odeszła od nas na zawsze
JADWIGA JAMROZÓWNA

Człowiek wielkiego serca i umysłu. Wybitna osobowość Lwowa. Nasza wierna czytelniczka i współpracowniczka. Ciężko jest żyć bez telefonów od pani Jadwigi, jej rad, opinii. Nie dostaniemy już od niej żadnego nowego tekstu... A tyle jeszcze mogła nam przekazać. Łączymy się w żalu i smutku z Jej Rodziną i Przyjaciółmi
Cześć Jej Pamięci!

przyjaciele z redakcji
„Kuriera Galicyjskiego”



9 listopada 2009 roku zmarł w Krakowie
inżynier HENRYK KOLASA

Wielki miłośnik i przyjaciel Stanisławowa. Będąc pracownikiem Energopolu w Bohorodczanach, wniósł wielki wkład w pomoc miejscowym Polakom. Brał udział w odbudowie Kościoła pw. Chrystusa Króla w Stanisławowie, budowie cmentarza pomordowanych przez hitlerowców przedstawicieli inteligencji polskiej w Czarnym Lesie, budowie Krzyża Pamięci w miejscu zniszczonego przez władze sowieckie cmentarza w Stanisławowie. Najbliższym, Rodzinie i Przyjaciółom składamy płynące z głębi serca kondolencje. Łączymy się z nimi w żalu i smutku.
Cześć jego pamięci!

członkowie Towarzystwa Kultury Polskiej „Przyjaźń”
w Stanisławowie oraz przyjaciele ze Stanisławowa i Bohorodczan



Z ogromnym żalem i smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
w dniu 9 listopada 2009 roku

mgr inż. Henryka KOLASY

inspiratora założenia pierwszej po wojnie w obwodzie stanisławowskim organizacji polskiej, organizatora upamiętnienia miejsc pamięci narodowej Polaków na Kresach, organizatora wyjazdów dzieci do Kraju. Wszyscy ponieśliśmy bolesną stratę. Pozostanie na zawsze w naszej pamięci.

Towarzystwo Kultury Polskiej
im. F. Karpińskiego w Stanisławowie



„Spotkamy się kiedyś w Niebie”
(św. Aniela)

W dniu 09 listopada zmarł w Krakowie
inżynier Henryk Kolasa

jeden z pierwszych dobroczyńców Kościoła i parafii Chrystusa Króla w Iwano - Frankiwsku (Stanisławowie). Już w 1989 roku, czyli zaraz po odzyskaniu świątyni – włączył się w odbudowę naszego kościoła wykonując między innymi instalację gazową, i elektryczną, oraz wiele innych prac. Zawsze życzliwy i zainteresowany – wspierał nas przez wiele lat swoją radą i pomocą. Modlimy się, by Dobry Bóg przyjął Go do Swego Domu w Niebie odpłacając Mu stokrotnie za każde wyświadczony dobro. Msza Święta za św. pamięci Henryka została odprawiona w naszym kościele w dniu 13 listopada o godz. 9.00.

Proboszcz Parafii Chrystusa Króla w Stanisławowie
Ks. Kazimierz Halimurka wraz z Parafianami



Z żalem zawiadamiamy, że 2 listopada br. zmarł

JAN TRACZ

członek Towarzystwa „Przyjaźń”

Odszedł od nas Człowiek niezawodny, ambitny, wierzący.

Wyrazy współczucia Rodzinie zmarłego

składa Towarzystwo Kultury Polskiej „Przyjaźń”

w Stanisławowie

POLSKIE RADIO PRZEZ SATELITĘ

Czas warszawski

07.00 - 07.59 SAT
09.00 - 09.59 SAT
12.30 - 12.59 mkHz
31.769445 41.187285 SAT
17.30 - 18.29 mkHz
48.856140 SAT
23.00 - 23.59 mkHz
49.586050 31.059660 SAT
00.00 - 00.59 SAT
SAT - program Polskiego Radia dla Zagranicy rozpowszechniany jest w systemie DVB przez satelitę HOT BIRD, pozycja orbitalna 13æE, częstotliwość odbiorcza 10,892 Ghz, polaryzacja pozioma (H) FEC, SR 27500, Audio PID 119. Audycje Polskiego Radia dla Zagranicy emitowane są przez platformę cyfrową Cyfra+
Ukraina - Lwów – Radio Niezależnist UKF 106,7 MHz - Winnica - Radio TAK 103,7 FM - Chmielnicki - Radio Podilla Center 104,6 FM - Równie - Radio Kraj 68,2 FM- Żytomierz – Radio Żytomyrska Chwyła 71,1 FM i 103,4 FM - Dibrowica - Radio Melodia 105,3 FM

AUDYCJE O POLAKACH NA UKRAINIE W RADIU OPOLE

Kliknij: <http://www.radio.opole.pl/moduly/akcje/ukraina/>
Do poprawnego odtworzenia audycji polecamy program WinAmp. Do pobrania ze strony www.winamp.com
Klikając na <http://www.radio.opole.pl/moduly/akcje/ukraina/> można posłuchać o osobach, związanych ze Stanisławowem.

PYTANIA DO KONSULA RP WE LWOWIE

Szanowni Czytelnicy! Jeżeli macie jakieś pytania pod adresem Konsulatu Generalnego RP we Lwowie, prosimy je przekazywać (najlepiej w formie pisemnej) do naszej redakcji. Odpowiedzi uzyskacie Państwo na łamach naszego pisma.

Adres e-mail:
kuriergalicyjski@wp.pl
Adresy pocztowe:
w Stanisławowie:
вул. Івасюка 60,
м. Івано-Франківськ 76002
we Lwowie:
вул. Дудаєва, 12/9
м. Львів 79005

JAK SŁUCHAĆ POLSKICH AUDYCJI NA UKRAINIE

Lwowska Fala jest nadawana od godz. **8.15** czasu polskiego. W porze emisji można także słuchać Lwowskiej Fali na stronie internetowej Polskiego Radia Katowice: www.prk.pl, a wszystkie archiwalne nagrania – będą, jak dotąd dostępne na stronie internetowej Światowego Kongresu Kresowian: www.kresowianie.com

Audycja Radia „Rzeszów” o polskim dziedzictwie kulturowym i o Rodakach na Ukrainie

Od marca ub. roku Polskie Radio „Rzeszów” emituje nową audycję „Kresowe Dziedzictwo”, która zajmuje się głównie stanem polskiego dziedzictwa kulturowego na Ukrainie oraz losem zamieszkałych tu Rodaków. Aby jej posłuchać kliknij: www.radio.rzeszow.pl, następnie - spośród wielu ikonki, widniejących na dole strony - kliknij na „Kresowe Dziedzictwo” i na jedną z czterech ostatnio wyemitowanych audycji. Do ich wysłuchania serdecznie zaprasza autor - Jacek Borzęcki i Polskie Radio „Rzeszów”.

Radio Lublin na 103,2 i 99,6 MHz słyszeć bardzo dobrze aż po Lwów (we Lwowie już nie).

Polskie Radio Warszawa I - na falach długich 225 kHz

Polskie Radio Lwów

Zachęcamy też wszystkich do słuchania Polskiego Radia Lwów (ze Lwowa) w każdą sobotę od godz. 8.00 do godz. 12.00 (czasu polskiego) oraz w niedzielę od godz. 18.15 do 20.15 na fali: <http://www.radio-n.com/eng/OnAir/onair.htm>. W eterze program jest nadawany na fali 106,7 FM (Radio „Niezależnist”) i jest dobrze słyszalny w promieniu 100 km od Lwowa.

Radio Polonia (godz. 18.30 – czasu miejscowego)

- Lwów – Radio Niezależnist UKF 106,7 MHz
- Winnica – Radio TAK 103,7 FM
- Chmielnicki – Radio Podilla Center 104,6 FM
- Równie – Radio Kraj 68,2 FM
- Żytomierz – Radio Żytomyrska Chwyła 71,1 FM i 103,4 FM
Radio Maryja: Chełm 102,8; Hrubieszów 95,8; Lubaczów 102,3; Przemyśl 105,1; Ustrzyki Dolne 94,5
Włodawa 104,5; Rzeszów UKF 104, 5

KURIER galicyjski

«КУР'ЄР ГАЛІЦІЙСЬКИЙ»

REDAKCJA:

Skrytka pocztowa (a/c) nr 80
Iwano-Frankiwsk 76000,
абонентська скринька №80
siedziba gazety:
Iwano-Frankiwsk 76002
ul. Iwasiuka 60,
Івано-Франківськ
вул. Івасюка 60
tel. redakcji w Stanisławowie:
+38 (0342) 71-38-66
tel./faks redakcji we Lwowie:
+38 (032) 261-00-54
e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl
konto bankowe w Polsce:
(w PLN) złotych
Bank Zachodni WBK S.A.
PL 92 1090 1014 0000 0001 0929 0990
konto bankowe na Ukrainie:
WAT „KREDOBANK”
r/r 2600401025253
ПП Ровіцькі М.М.
Код ЄДРПОУ 1965816635
p/p 2600401025253 в ІФФ ВАР
«КРЕДОБАНК»,
м. Івано-Франківськ
МФО 336161

Świadectwo rejestracji
Seria KW nr 12639-1523 R
wydane 14.05.2007
Свідоцтво про державну
реєстрацію Серія KB
№ 12639-1523 Р
від 14.05.2007 р.

Założyciel i wydawca:
Mirosław Rowicki
Засновник і видавець
М. М. Ровіцькі

Skład redakcji:

redaktor naczelny: Marcin Romer
zgrodurevery@wp.pl
dział fotoreportażu oraz dział
grafiki komputerowej:
Maria Basza mariabasza@wp.pl
dział kulturalno – historyczny:
Jurij Smirnow
dział reportażu i informacji
regionalnej: Konstanty Czawaga
konstantyczawaga@wp.pl
i Halina Ptugator

Stale współpracują:

Nadzieja Kuśnierz, Krzysztof Szymański, Irena Kulesza, Szymon Kazimierski, Piotr Janczarek, Tadeusz Olszański, Tadeusz Kurlus, Jacek Borzęcki, Renata Kłęczkańska, Maciej Dęboróg-Bylczyński, Wojciech Krysiński, Aleksander Szumański, Włodzimierz Osadczy, Taras Prochaśko, Eugeniusz Tuzow-Lubański, Natalia Kostyk, Olga Ciwkacz, Wojciech Grzelak, Zbigniew Lewiński, Eugeniusz Niemiec, Barbara Stasiak, Katarzyna Łoza, Dmytro Antoniuk, Tadeusz Zubiński, Elżbieta Lewak, Eustachy Bielecki i inni.

Drukujemy również teksty autorów, z którymi się nie zgadzamy!

Pismo wspierane przez Senat RP za pośrednictwem Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie. Za treść ogłoszeń, oświadczeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności, nie zamawianych rękopisów nie zwraca i pozostawia sobie prawo do skrótów.

ТЗОВ Видавничий Дім «Молода Галичина»
Індекс на пренумераті 98780
Індекс передплати 98780
Газета виходить 2 рази на місяць

Jak nas widzą, tak nas piszą

KRYZYS NA UKRAINIE

MARIUSZ WASZAK

Swojego czasu byłem na Litwie – wypadło. Obejrzałem Wilno, zwiedziłem zamek w Trokach – wypadło. Jednym słowem Litwę „zaliczyłem”. Jestem zadowolony, ale po raz wtóry tam się nie wybieram. Jakoś mnie nie ciągnie.

Zupełnie inaczej ma się sprawa z Ukrainą. W ostatnich latach odwiedziłem ten kraj ośmiokrotnie i zapewne jeszcze nie raz tam się wybiorę. Z przyjemnością obserwowałem jak spadają z niego radzieckie skorupy, po koszarnej sowieckiej nocy. Z każdym moim pobycem podziwiałem zmiany na lepsze. Zresztą pisywałem o tym na rozmaitych łamach. Tak było.

Właśnie wróciłem ze Lwowa – tym razem tylko ze Lwowa – miasta, którego moja małżonka, czyli „Pimpus” jeszcze nie widziała, a ciekawa była, jak prosię. Tak, więc siadłem za kierownicą i przez noc upaliłem te siedemset kilometrów, dzielących Puszczkowo od Lwowa.

Niestety, tym razem, Ukraina, a konkretnie Lwów i okolice zaskoczyły mnie niekorzystnie. Kryzys widać gołym okiem. Dotychczas Lwów piękniał z każdą moją wizytą. Tym razem jest odwrotnie. Odnawione wcześniej kamienice zaczynają się znowu sypać – widać remontowano je byle jak, korzystając z najtańszych materiałów. Te chodniki, które zostały zrobione noszą ślady pęknięć, a w czasie deszczu stoją na nich kałuże – zostały wykonane bardzo tandetnie. Wyremontowano wprawdzie nawierzchnię i torowisko np. na ulicy Ruskiej, remontuje się Zieloną, ale cała reszta stanęła.

Czasem wygląda to niesamowicie – zerwany przedwojenny bruk, ułożony na wielkich stosach w bocznych ulicach, zaś ulica remontowana, to właściwie wielki rów, wykopany w celu wykonania podłoża i instalacji. Niby wszystko prawidłowo, ale robót nikt nie kontynuuje – wszystko stoi, a ludzie żyją nie przy ulicy, ale przy wielkim rowie, nierzadko pełnym błota. O dojeździe samochodem do posesji w ogóle nie ma mowy!

Niedawno odremontowany „na błysk” dworzec główny jest z powrotem brudny i cuchnący. W czasie mojej poprzedniej wizyty remontowano, ze



sporym rozmachem, skrzyżowanie w pobliżu tego dworca. Modernizację przerwano, nie robiąc nawet połowy koniecznych napraw – wygląda to rozpaczliwie, a jazda samochodem po takim czymś zalicza się do sportów ekstremalnych.

W sklepach spożywczych dawniej było mnóstwo wyrobów z Polski – dziś nie ma ich niemal zupełnie. Zastanawia mnie zawsze wielka ilość salonów z telefonami komórkowymi – jest ich tu wielokrotnie więcej niż w Polsce. Kto je kupuje w takiej ilości?

Ceny wzrosły o połowę, ale dalej jest wyraźnie taniej niż w Polsce. No, z wyjątkiem cen żywności, bo te dorównują już polskim. Trudno oprzeć się wrażeniu, że Ukraińcy nie bardzo rozumieją mechanizmy wolnego rynku – lwowska starówka, latem, w czasie weekendów, a zwłaszcza długich weekendów jest pełna Polaków – język polski słyszy się tu częściej niż jakikolwiek inny; klientela staromiejskich knajpek to w większości Polacy. Przy takiej masie turystów z Polski próżno szukać menu w naszym języku – czasem mają po angielsku, ale i to niezmiernie rzadko. Tablice informacyjne na Cmentarzu Łyczakowskim są wyłącznie po ukraińsku. Jest to całkowicie niezrozumiałe, bo turyści z naszego kraju zostawiają tam gigantyczne (jak na ukraińskie stosunki) ilości twardej waluty, a mogliby jeszcze więcej – niestety, z rynkową operatywnością Ukraińcy są mocno na bakier.

Można, za to, kupić tanio nieruchomości. Sami spaliśmy w maleń-

kim, ale świetnie położonym hotelu, którego właścicielem jest Polak. Facet kupił, po prostu, część kamienicy, wyremontował i przerobił na hotel – nastawiony, rzecz jasna, na turystów z Polski. Bo, na kogo innego niby?

Ukraina przypominała mi kraj w stanie jakiejś dziwacznej hibernacji. Dystans cywilizacyjny, jaki dzielił nasze dwa kraje dotąd się zmniejszał – dziś się powiększa i to mocno. Najostrzej widać, to, kiedy wracamy do Polski po kilku dniach, spędzonych na Ukrainie. Nasi sąsiedzi najwyraźniej nie radzą sobie z własnym państwem. Taki stan rzeczy odbija się też na poglądach Ukraińców – do niedawna mocno sceptycznie przyjmowali pomysł włączenia swojego kraju w strukturę „Ewrosójuz”; dziś bardzo ich tu ciągnie – jedyny ratunek upatrują w pomocy ze strony UE.

Zmieniła się jeszcze jedna rzecz – muzyka na Ukrainie jest wszechobecna. Dotychczas z wszechobecnych głośników płynęła, niemal wyłącznie, muzyka ukraińska. W sumie niezła, ale po kilku dniach bezustannego słuchania miało się jej serdecznie dość; dziś z głośników wydobywa międzynarodowa mieszanka, podobnie jak u nas.

Czy, zatem, warto wybrać się na Ukrainę? Warto i to koniecznie! Myślę, że każdy Polak, co najmniej raz w życiu powinien odwiedzić Lwów, Kamieniec Podolski, Wiśnicz, Zbaraż, Krzemieniec, Chocim, Stanisławów, Sambor etc. Jedźcie – gorąco polecam!

KG

KURIER galicyjski

Można zaprenumerować na poczcie!!!

KOD PRENUMERATY
УКРПОШТА 98780

Cena prenumeraty pocztowej na rok 2010

3 miesiące - 17,88 hrywien

6 miesięcy - 35,76 hrywien

12 miesięcy - 71,52 hrywien

Organizacje i instytucje mogą też zamawiać prenumeratę bezpośrednio w naszej redakcji: osobiście, telefonicznie, listownie lub drogą mailową (kuriergalicyjski@wp.pl)

PRENUMERATA W POLSCE

Możliwa jest prenumerata redakcyjna do Polski i innych krajów. W sprawie prenumeraty gazety do Polski, prosimy o kontakt pod naszym adresem e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl lub listownie, telefonicznie, faxem na numery i adresy podane w stopce redakcyjnej.

Ponadto przeczytać i zaprenumerować, a także kupić „Kurier Galicyjski” można:

w Warszawie:

w Słowiańskiej Księgarni Wysyłkowej „Slavica” przy ul. Gagarina 15

tel. +48 (022) 851 39 66 (kod pocztowy 00-753)

w Domu Spotkań z Historią ul. Karowa 20

tel. +48 (022) 826 51 95 (kod pocztowy 00-324)

oraz

w Krakowie w Księgarni „Nestor” przy ulicy Kanoniczej 13

tel. +48 (012) 421 92 94 (kod pocztowy 31-002)

CIEKAWY STRONY INTERNETOWE O KRESACH

www.kresy.pl

oraz:

www.kresy24.pl
www.pogranicze.eu
www.kresy.najlepsze.net
www.stanislawow.net
www.kresy.webpark.pl
www.kresy-krakow.com.pl
www.kresy-wschodnie.webpark.pl
www.kresy.co.uk www.stanislawow.pl
www.kresy2000.pl
www.fotojonny.republika.pl
www.poznajukraine.com
Pełne wydanie Kuriera Galicyjskiego w PDF na:
www.lwow.com.pl
www.duszki.pl

Korzystaj z usług polskich przewodników ze Lwowa!

Fachowe oprowadzanie po Lwowie, pilotowanie grup turystycznych po Kresach
tel.: 0-0380679447843

Proponujemy usługi turystyczne, oprowadzanie po Lwowie i Kresach w języku polskim
tel.: 0-380677477329, 0-380676750662, 0-380504304511

Kantorowe kursy walut na Ukrainie
16.11.2009, Lwów

KUPNO UAH		SPRZEDAŻ UAH
8,17	1USD	8,23
12,22	1EUR	12,28
2,90	1PLN	2,97
13,40	1GBP	13,70
2,80	10 RUR	2,84

KURIER GALICYJSKI można kupić

Na terenie całej Ukrainy można kupić nasze pismo w kioskach „Ukrpoczty” (w wypadku jego braku, zwróćcie się do sprzedawców i powiadomiacie redakcję!) Ponadto: w kioskach „Wysoki Zamek” we Lwowie, Drohobyczu, Truskawcu, Borystawiu, Samborze, Starym Samborze, Turce i Stebnyku; w kioskach „Interpres” we Lwowie; w Katedrze Lwowskiej, w kościele św. Antoniego, a także przy kościele w Żółtki i Krzemieńcu; w „Sklepie Żelaznym” – Rynek 7; pismo jest też dostępne w hotelu „Dniestr” we Lwowie oraz w Instytucie Polskim w Kijowie

Przewozy pasażerskie we Lwowie oraz na terenie całej Ukrainy

Tanio i szybko!

Zniżki dla STALYCH KLIENTÓW

594 z komórkowego

2-419-111

Life:) 093 343 3 100
Kyivstar: 067 350 47 48
Beeline: 068 137 54 37
MTS: 050 358 48 48

Możliwość opłaty przelewem